KARNET

WYDANIE SPECJALNE NR 289

EGZ. BEZPŁATNY
NAKŁAD 5000 EGZ.

WWW.KARNET.KRAKOW.PL
ISSN 1426-6873

NR **4** /2020

WYDANIE SPECJALNE

Świat w harmonii
Wspomnienie o Krzysztofie Pendereckim
s. 4

Tradycje Krakowa
Pisanki, Rękawka, pucheroki i nie tylko
s. 6

Miasto kultury
Dziedzictwo i współczesność: miejsca, ludzie, wydarzenia
s. 18

WELCOME TO
CRACOW
WELCOME TO
THE NEW DECADE OF STYLE

250 brands
ALWAYS
30 to 70% off

adidas OUTLET
Marc O'Polo
Pepe Jeans LONDON
CONVERSE

FACTORY

ul. Prof. A. Rożańskiego 32, 32-085 Modlniczka

Szanowni Państwo,

niezależnie od wszelkich ograniczeń, jakie spotykają nas w trudnych dniach zagrożenia epidemicznego, Kraków pozostaje najbogatszym, jeżeli chodzi o ofertę kulturalną, polskim miastem. Właśnie w takich chwilach doświadczamy niezwykłej kreatywności zarówno twórców, jak i mieszkańców, instytucji kultury i nieformalnych grup, ludzi nieustających w staraniach o podtrzymanie międzyludzkich więzi i poczucia wspólnoty. To, że kultura stanowi takie mocne społeczne spoiwo, wiemy w Krakowie od zawsze. To tutaj możemy od lat obserwować, jak historyczne dziedzictwo wchodzi w dialog ze współczesnością, inspirując kolejne wydarzenia, programy czy inicjatywy, zarówno lokalne, jak i o wymiarze międzynarodowym.

Jednym z twórców, których postawa i dokonania łączyły Polaków nawet w najtrudniejszych latach ze światowym obiegiem kultury, był Krzysztof Penderecki. Żegnając wielkiego Maestro – krakowianina z wyboru – wierzę, że pozostanie on z nami jako symbol przywiązania do wartości i tradycji, a zarazem artystycznej śmiałości w odkrywaniu nowych terytoriów i wiary w to, że sztuka niesie nam nadzieję i moc odrodzenia.

Jacek Majchrowski
Prezydent Miasta Krakowa

KOPALNIA SOLI
WIELICZKA
SALT MINE

4 Wspomnienie o Krzysztofie Pendereckim

6 Tradycje

18 Kulturalny Kraków

84 Kids in Kraków

90 Cracoviana

106 Informacje praktyczne

← Spis treści

Wydawca:
Krakowskie Biuro Festiwalowe
ul. Wygrana 2, 30-311 Kraków
tel. 12 354 25 00, fax 12 354 25 01

Redakcja:
ul. Dworska 1c, 30-314 Kraków | tel. 12 354 27 30
karnet@karnet.krakow.pl

Redaktor Naczelny:
Grzegorz Słącz | grzegorz.slacz@karnet.krakow.pl

Redagują:
Dorota Dziunikowska | dorota.dziunikowska@karnet.krakow.pl
Anna Mazur | anna.mazur@karnet.krakow.pl
Izabela Osiadły | izabela.osiadly@karnet.krakow.pl
Justyna Skalska | justyna.skalska@karnet.krakow.pl
Barbara Skowrońska | barbara.skowronska@karnet.krakow.pl
Bartosz Suchecki | bartosz.suchecki@karnet.krakow.pl
Wojciech Zając | wojciech.zajac@karnet.krakow.pl

Korekta:
Dorota Bednarska

Projekt / Design:
mill studio

Skład, opracowanie graficzne:
Studio graficzne JMP Design | www.jmp.design

Druk:
Drukarnia Leyko

Reklama:
Agata Kubec | tel. 511 832 762 |
agata.kubec@biurofestiwalowe.pl
Agnieszka Wyrobek-Kaczor | tel. 515 137 990 |
agnieszka.wyrobek@biurofestiwalowe.pl

Okładka:
Fot. Przemysław Czaja dla KBF

Mapa centrum Krakowa:
Amistad

Świat w harmonii

Był koniecznym zwornikiem pewnej nieuchwytnej i niewypowiedzianej logiki dziejów, w której iskra geniuszu jak ogień olimpijski przechodzi sztafetą na kolejne wybitne postaci – Krzysztofa Pendereckiego wspomina Robert Piaskowski.

Czasem myślę sobie o tych chwilach, których znaczenia nie jesteśmy w stanie rozpoznać od razu. Rozmowa przy winie z Andrzejem Wajdą o przyszłej wystawie jego dzieł albo palenie papierosów z Wojciechem Kilarem (choć nie palę, nie miałem odwagi odmówić), albo wejście do mieszkania Miłosza 10 lat po jego śmierci i dotkliwa obecność-nieobecność. Jakby na chwilę wyszedł. Okruchy zdarzeń, które mieszczą w sobie wspólny wątek: wielkość ludzi, którzy koło nas żyli, tu w Krakowie – i ich obecność w ludzkim wymiarze. Byli elementem naszej codzienności i naszych zbiorowych świąt. Dawali nam dumę i poczucie zakorzenienia. W czymś większym niż codzienna bieganina.

Na zawsze zapamiętam te wszystkie momenty, w których Krzysztof Penderecki stawał koło nas, na uroczystościach miejskich, festiwalach, jubileuszach twórców swojego pokolenia, kiedy był członkiem naszej społeczności, a zarazem kimś, kto ponad nią wyrasta. Był dla mnie – jak dla całego świata kultury – tytanem, niezbędnym ogniwem łączącym świat kultury przeszłości i przyszłości. Pan Profesor czuł się częścią wielkiej przestrzeni humanistycznej łączności. Dlatego tak wiele u niego odwołań do starożytnych ksiąg, Biblii i Talmudu, poezji japońskiej i chińskiej, romantycznych filozofów i poetów, do żarliwości ludowej, sakralnych rytuałów, mszy, oratoriów, pasji, jutrzni.

Poznałem Go najpierw jako młody chórzysta. Śpiewałem w kilku zespołach, ale i w federacji EuropaChorAkademie. Wróciłem właśnie z festiwalu w Aix, aby wpaść w oko cyklonu: próby BundesjugendOrchester i ECA do wykonania *Te Deum* Pendereckiego w najważniejszych miastach Polski i Niemiec. Dyrygował wielki Gerd Albrecht, a koncerty w Krakowie, Wrocławiu, Gdańsku, Warszawie, Berlinie, Frankfurcie, Monachium i Hamburgu miały w sobie potężne przesłanie: „Polska i Niemcy. Razem w sercu Europy". Krzysztof Penderecki pojawiał się

Krzysztof Penderecki (1933-2020), fot. Grzegorz Ziemiański

zawsze w poświacie, otoczony asystentami, dyrygentami, dawał uwagi do prób i znikał. Nie mieliśmy śmiałości do niego podejść. Był bogiem dla dyrygentów i muzyków: kiedy wchodził, wszyscy podnosili się automatycznie z szacunkiem i w ciszy, spijając każde słowo.

Jednym z największych formujących mnie przeżyć był udział w prawykonaniu *VIII Symfonii* Pendereckiego „Lieder der Vergänglichkeit" („Pieśni przemijania") do słów Rainera Marii Rilkego. Zamówiono ją na otwarcie Salle de concert Grande-Duchesse Joséphine-Charlotte. Profesor osobiście poprowadził China Philharmonic Orchestra. Miłość Pendereckiego do poezji i filozofii była powszechnie znana. W *Ósmej* zawarł swoje przeczucie odchodzenia – twórcy, poety, kompozytora, ogrodnika. Był rok 2005. Profesor oklaskiwany przez elity tamtej Europy, my jako część tej wielkiej rodziny. Piękny moment dumy i wzruszenia.

To była pierwsza myśl o poranku, kiedy światowe media obiegła wiadomość o odejściu Profesora. By jej znów posłuchać ponownie. Mam w swoich zbiorach piękne nagranie dla NAXOS z NOSPR i Chórem Polskiego Radia pod Antonim Witem.

A potem dostąpiłem wielu zaszczytów, zapraszany od czasu do czasu do domu na Woli, a później do Lusławic. Profesor szybko zorientował się, że znam nazwy roślin i drzew, że niczego na nim nie wymuszam, że znam dobrze jego dzieła, ale nie próbuję się tym popisywać. Nie miał zaufania do tego typu wiedzy. Wystarczyła mu Pani Elżbieta, która zawsze niezawodnie potrafiła wymienić wszystkich wykonawców, orkiestry, trasy koncertowe, nagrody czy doktoraty *honoris causa*.

Kiedy przyjechał na FMF pierwszy raz? Na koncert jubileuszowy Wojciecha Kilara – i to był piękny gest. Wjechał w ostatniej chwili na tyły hali ocynowni, wraz z wnuczką. Uściskać Jubilata. Potem następnego dnia wrócił na koncert Elliota Goldenthala. Ten, zdobywca Oscara i Pulitzera w dziedzinie opery, był wniebowzięty. Jeszcze gdy był uczniem Coplanda w Nowym Jorku, odkrył *Tren – Ofiarom Hiroszimy*. Jak mówił: „Dzieło, które pokazało mi, jak genialna może być muzyka".

Spotkali się na jubileuszowej gali *Scoring for Wajda*. To w ogóle był wyjątkowy rok. Elliot Goldenthal przyleciał ze swoją partnerką, wielką reżyserką filmową, teatralną i operową Julie Taymor. W jednym rzędzie siedzieli zdobywcy Oscara, Nagród Grammy, Pulitzera: Wajda – Taymor – Zachwatowicz – Pendereccy – Goldenthal. Potem, w roku Jubileuszu Krzysztofa Pendereckiego (2018) zorganizowaliśmy kolejny wielki hołd dla twórcy. *Penderecki to Cinema* pokazał paradoks: kompozytor poza kinem eksperymentalnym lat 60. nie tworzył dla filmu, ale po jego autonomiczne dzieła i tak wielokrotnie sięgali najwybitniejsi reżyserzy filmowi i telewizyjni. Był to ważny, zapadający na zawsze w pamięć moment w historii festiwalu.

W przededniu koncertów Państwo Pendereccy zaprosili nas do Lusławic. To był upalny majowy dzień. Podjechaliśmy z bukietem piwonii na podjazd pięknego dworku otoczonego kwitnącymi krzewami. To był piękny czas, rozmowa o Bernsteinie, Coplandzie, Szostakowiczu i Strawińskim. O literaturze, Beethovenie i Nowym Jorku. Potem wyszliśmy zobaczyć ogród. Potężne drzewa sadzone ręką Mistrza. Wyobraźcie Go sobie, jak w lusławickich ogrodach pogania nas, zmęczonych od gorąca i obiadu, próbujących za nim nadążyć. A On z żartobliwym błyskiem w oku odwraca się do nas, wołając: „Szybciej, prędzej, no co się tak guzdracie?". Nigdy za nim nie nadążaliśmy. Zawsze był przed nami: w muzyce, w życiu, nawet teraz, przed nami odchodząc. Nie zapomnę tego Pendereckiego prywatnego: ciepłego, żartującego, w hipsterskich czerwonych okularach i szelkach, z czułością mówiącego o żonie Elżbiecie i swoich najbliższych, łakomczucha i ogrodnika, człowieka tak wielu odcieni.

Krzysztof Penderecki stał się jednym z największych autorytetów w dziedzinie muzyki poważnej oraz jedną z najbardziej rozpoznawalnych postaci polskiej kultury na świecie. Zostawia po sobie nie pustkę, ale tytaniczne dzieło muzyczne, pedagogiczne, instytucjonalne, orkiestry, które zakładał i wspierał (Sinfonietta Cracovia i Orkiestra Akademii Beethovenowskiej), Centrum Muzyki w Lusławicach, Festiwal Beethovenowski, którego był zawsze duchem opiekuńczym. Zostawia tysiące posadzonych drzew wszystkich gatunków, świat w harmonii i pięknie, który rozkładał na czynniki pierwsze i ponownie składał.

***

Kiedy wracaliśmy do samochodu, zmierzchało. Na tyłach dworku Malczewskiego, w lusławickiej arkadii rozbrzmiały skrzeczącymi harmoniami tysiące żab. Goldenthal i Penderecki zastygli w słuchaniu. Rozkładając na czynniki pierwsze wszystkie alikwoty i dźwiękowe tekstury. Kompozytorzy postrzegają świat w sposób szczególny. Organizują chaos istnienia, tworzą ogrody, poszukują światła. Ten dzień był pełen światła.

Wracam do słów Profesora wypowiedzianych w rozmowie z Mieczysławem Tomaszewskim. „Niekiedy trzeba otworzyć drzwi za sobą. Choć pejzaż, który się ogląda za sobą, z dystansem, jawi się rzeczywiście inny".

Pan Profesor zawsze otwierał nam drzwi, zawsze za sobą. Będziemy za Nim tęsknić. **(Robert Piaskowski)**

Szuflada z pisankami

Wielkanocna pisanka symbolizuje wiosenne odrodzenie się życia, a chrześcijanom przypomina o nadziei płynącej z wiary w zmartwychwstanie Chrystusa.

Nie ma Wielkanocy bez jajek – na stołach i w świątecznych dekoracjach. Kto z nas nie kocha pisanek? Każdy robił je w dzieciństwie, a w wielu domach wciąż żywa jest tradycja ich wspólnego rodzinnego zdobienia. Najpiękniejsze wydmuszki z poprzednich lat często pieczołowicie przechowujemy w szafkach i szufladach, by raz w roku mogły zdobić koszyczki ze święconką i cieszyć oczy na wielkanocnych stołach. Poświęconym jajkiem dzielimy się podczas uroczystego niedzielnego śniadania. Czy ktoś zapamiętał z rodzinnych opowieści, że jeszcze w dwudziestoleciu międzywojennym jajko – czasem bogato zdobione czy opatrzone wierszowaną dedykacją, a czasem zupełnie zwyczajne – było tradycyjnym wielkanocnym podarunkiem? Jajka wręczano z życzeniami pomyślności członkom rodziny oraz świątecznym gościom. Ofiarowywano je także wiosennym kolędnikom i ubogim. Dziewczęta dawały je chłopcom w dowód sympatii lub w rewanżu za polanie wodą w Poniedziałek Wielkanocny czy tańce w zapusty. Wzajemne obdarowywanie się trwało niekiedy aż do Zielonych Świątek. Jednocześnie jaja służyły do najróżniejszych świątecznych zabaw. Popularna, także na krakowskiej Rękawce, była gra w turlanie ich jak najdalej ze wzgórza. Grano także w stukanie się pisankami, a właściciel tej z twardszą skorupką otrzymywał stłuczone jajo przeciwnika.

Skrywające w sobie zalążek życia malowane jajko to nie tylko ozdoba, to przede wszystkim symbol przejęty przez tradycję chrześcijańską jeszcze z czasów pogańskich. Słońce pokonuje mrok, Chrystus zwycięża śmierć, życie triumfuje – tę uniwersalną historię opowiadają tradycyjne wzory na pisankach, niezależnie od czasu czy regionu, z którego pochodzą. Także na tych w kolekcji Muzeum Etnograficznego w Krakowie, które posiada blisko dziewięć tysięcy pisanek – z Polski, Białorusi, Bułgarii, Chorwacji, Czech, Rosji, Rumunii, Słowacji, Ukrainy i Węgier. Historia zbioru rozpoczęła się w 1902 roku, kiedy Seweryn Udziela – wybitny badacz kultury ludowej Małopolski, późniejszy założyciel, a dziś patron Muzeum Etnograficznego – przekazał Muzeum Narodowemu około 100 pisanek z regionu ówczesnej Galicji.

„Najłatwiej zrobić malowanki, nazywane też kraszankami i byczkami, bo jaja gotuje się w łupinach cebuli na kolor brązowo-żółty, w listkach młodego żyta na kolor szaro-zielony [...]. Albo owija się jaja gałgankiem farbowanego w kształty lub jakieś wzory perkalu, który puszcza farbę, owija nicią, aby gałganek nie zsunął się i tak gotuje. Farba z gałganka złazi i odbija się na jaju" – zanotował na początku XX wieku Udziela. Sposobów zdobienia jajek jest wiele. Najstarsze i najpopularniejsze jest „pisanie" roztopionym woskiem za pomocą „pisaka" – patyczka z osadzonym na końcu małym metalowym lejkiem. Pokryte woskowym wzorem jajko zanurza się w barwnikach. Ta popularna już na przełomie XIX i XX wieku technika nazywana jest batikową. Można także wyskrobywać wzór nożykiem, malować, wytrawiać kwasem z kiszonej kapusty, naklejać kawałki papieru, tkaniny i rdzenia sitowia. Po rodzaju zdobienia specjaliści są w stanie rozpoznać, z jakiego regionu wywodzi się pisanka. Do „pisania", obok najczęściej stosowanych kurzych, używano także jaj gołębich, indyczych, gęsich czy kaczych. Najmniejsza pisanka w kolekcji powstała na jajku przepiórczym, a największa – na strusim.

Pisanki na wystawie Muzeum Etnograficznego w Krakowie *Od-nowa*, fot. Marcin Wąsik

Kraszanki, prawd. 1935, zbiory Muzeum Etnograficznego w Krakowie

Najstarsze znane pisanki pochodzą z rejonu sumeryjskiej Mezopotamii, zwyczaj malowania jajek istniał w starożytnym Egipcie czy na terenach cesarstwa rzymskiego, a na ziemiach polskich archeolodzy odnajdywali pisanki datowane nawet na X wiek. Najbardziej wiekowy eksponat w kolekcji Muzeum Etnograficznego w Krakowie to tzw. pisanka „monasterska". Powstała w roku 1880 w żeńskim klasztorze prawosławnym (monastyrze) na terenie obecnej Ukrainy i jest dziełem sztuki niemal jubilerskiej. Pusta skorupka jaja została zabarwiona na czerwono, a następnie pokryta przejrzystym woskiem, w którym zatopiony jest dekoracyjny wzór z kolorowego staniolu („sreberka") i spiralnej metalowej nici. Na Ukrainie takie bogato zdobione (także koralikami czy cekinami) pisanki wieszane były w domach w pobliżu ikon, w „świętym kącie" izby. Czasami do środka wkładano koraliki lub ziarna grochu, by wydmuszka wydawała dźwięk podobny do grzechotki. Co ciekawe, pisanka z krakowskich zbiorów powstała pięć lat przed pierwszym z serii wielkanocnych jaj podarunków wykonanych na zlecenie rosyjskiego cara w pracowni Fabergé. Być może nadworny jubiler Romanowów, realizując swoje najsłynniejsze zamówienie, inspirował się pisankami podobnymi do dzieła ukraińskiej mniszki?

W muzealnym magazynie wysokie na dwa metry regały ze 192 szufladami, w których przechowywane są pisanki, mają długość 4,5 m! Każda pisanka ma w nich własne bezpieczne „gniazdko". Każda posiada też portret – dzisiaj jest to fotografia, a u początków kolekcji tworzono rysunki, których ponad tysiąc znajduje się w archiwum. Delikatne, nierzadko stuletnie eksponaty wymagają troskliwej opieki, zwłaszcza że z niektórymi należy obchodzić się szczególnie ostrożnie. Okazuje się, że niewypróżnione jajko z upływem czasu przekształca się w małą bombę: żółtko zamienia się w kamyk, a białko – w siarkowodór, więc trzymana zbyt długo w ręce pisanka, ogrzana ciepłem dłoni, wybucha! Dlatego najlepiej jest opróżnić ją z całej zawartości. Delikatnie rozcięte skalpelem i oczyszczone skorupki łączy się z powrotem, podklejając je od wewnątrz bibułką. Tak samo rekonstruuje się uszkodzone pisanki, cierpliwie niczym w puzzlach dopasowując wszystkie kolory i ornamenty.

W muzealnej kolekcji zdarzają się wyjątkowo ciekawe okazy (niektóre są na co dzień pokazywane na wystawie *Od-nowa* w dawnym kazimierskim ratuszu). Ale przecież także pisanki z naszych domowych szuflad mają wielką wartość – bo wraz z nimi przechowujemy ważne wspomnienia wielu minionych świąt. **(dd)**

Tekst powstał w oparciu o materiały Muzeum Etnograficznego w Krakowie. www.etnomuzeum.eu/zbiory

Wojciech Jastrzębowski, pisanka batikowa, pocz. XX w., zbiory Muzeum Etnograficznego w Krakowie

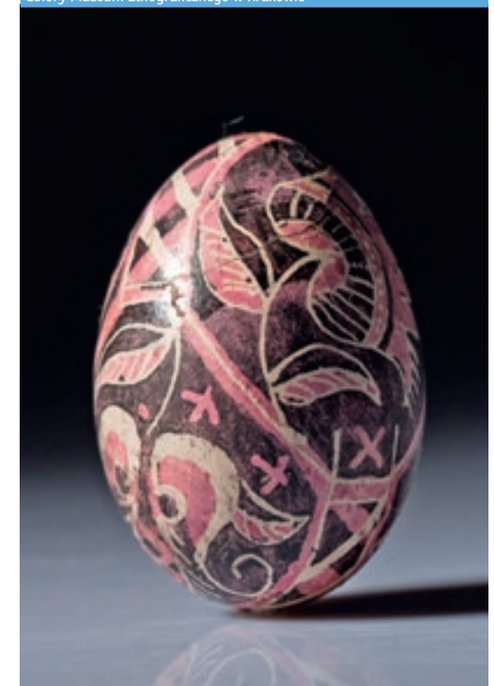

Wielkanocne cuda i dziwy

Czym byłyby święta bez dziesiątków towarzyszących im barwnych zwyczajów, obrzędów i symboli? Czas wielkanocny od wieków obfituje w różnorodne, choć dziś już niekiedy zapomniane rytuały.

Chleb, kiełbasa, babka, sól, pieprz, chrzan i oczywiście jajko będące symbolem życia. Do tego gałązki bukszpanu, kolorowe pisanki, figurki zająca, kurczątka i baranka – oto najczęściej spotykana zawartość wielkanocnego koszyka. Tradycja święcenia pokarmu w Wielką Sobotę znana jest niemal każdemu. Obrzędy Triduum Paschalnego praktykowane są we wszystkich kościołach na terenie Polski, jednak na przestrzeni wieków w wielu regionach zwłaszcza na wsiach świętom Wielkiej Nocy towarzyszyły piękne, unikatowe zwyczaje i rekwizyty.

Obchody Wielkiego Tygodnia zaczynają się już w **Niedzielę Palmową**, kiedy wierni zmierzają do świątyń, aby poświęcić wiązanki suszonych roślin. Moda na popularne obecnie farbowane kwiaty przywędrowała do Krakowa z Wilna na początku XX wieku. Wcześniej palmy, czyli tzw. **bagnięcia**, wito z gałązek wierzby lub leszczyny, ozdabiano baziami, rozkwitłą trzciną i czerwonymi wstążkami. Później wykonywano z nich krzyżyki, które umieszczane na polach czy zawieszane na budynkach chroniły od nieurodzaju, chorób i nieszczęść. Słynny konkurs palm wielkanocnych odbywa się co roku w Lipnicy Murowanej – prezentowane tam barwne wiązanki osiągają wysokość powyżej dwunastu metrów! W Niedzielę Palmową w podkrakowskich Trojanowicach, Babicach czy Zielonkach pojawiały się również tzw. **pucheroki**, czyli chłopcy noszący stożkowate, owinięte bibułą czapki. Ci wiosenni przebierańcy trzymali charakterystyczne długie kije zakończone młotkiem, siekierą lub czekanem, którym wybijali rytm w czasie oracji i śpiewów, za co zbierali do koszyka jedzenie, głównie jajka. Zwyczaj ten nawiązywał do dawnych występów krakowskich żaków przy kościołach.

Krzyżyk z palmy wielkanocnej na wystawie Muzeum Etnograficznego w Krakowie, fot. Marcin Wąsik

Młotek pucheroka, 1939, fot. dzięki uprzejmości Muzeum Etnograficznego w Krakowie

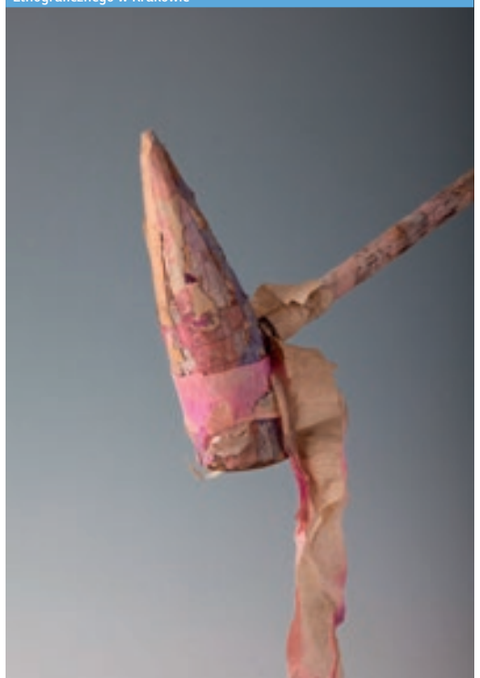

Wielka Środa to czas **topienia Judasza**. W podkrakowskich wsiach robiło się wówczas kukłę ucharakteryzowaną na zdrajcę Jezusa, po czym wleczono ją po drogach i okładano kijami, póki nie trafiła do jeziora lub rzeki. W Wielki Czwartek i Wielki Piątek natomiast **żegnano się z żurem**, wylewając go do ziemi (lub przybijano do drzewa postnego śledzia), by w ten sposób pożegnać się ze spożywanymi przez cały Wielki Post potrawami. Dookoła zaś, zamiast dźwięku dzwonów, rozlegało się

ŚCIĄGNIJ APLIKACJĘ KRK AIRPORT TAXI

Pobierz w App Store

POBIERZ Z Google Play

KRAKÓW AIRPORT

KRAKÓW AIRPORT TAXI

I RUSZAJ DALEJ!

KRAKÓW AIRPORT TAXI

dysponujemy również samochodami elektrycznymi electric

klekotanie kołatek i terkotek, które trwało aż do rozbrzmienia hymnu Wigilii Paschalnej. W Wielką Sobotę oczywiście **święcono pokarm** w koszyku.

Wraz z nadejściem pierwszego dnia świąt Wielkiej Nocy w ludziach budziła się radość. Pod koniec XIX wieku i do połowy XX wieku w nocy z Wielkiej Niedzieli na Poniedziałek Wielkanocny po domach w okolicach Dobrej, Limanowej, Jodłownika i Wiśniowej chodzili **wiosenni kolędnicy**, zwani też dziadami śmingustnymi: słomiakiem i babką. Pod ich słomianymi strojami czy kożuchami na opak kryli się młodzi mężczyźni w maskach lub z twarzami posmarowanymi sadzą. Ich tańcom przed domostwami towarzyszyły pomruki i bełkot. Od mieszkańców w zamian za obietnicę pomyślności otrzymywali jajka; obrzędowi towarzyszyło także polewanie wodą, przy czym źródła nie są zgodne, czy to goście polewali gospodarzy, czy na odwrót, a być może wszyscy polewali się nawzajem. Podobny zwyczaj pod nazwą **Siuda Baba** był znany na krakowskim Zwierzyńcu i w okolicach Wieliczki. Kobieta trzymająca lalkę oraz dziad z batem łapali przechodniów, ściskali ich i brudzili sadzą. Jeszcze inny zwyczaj, typowy dla ziem krakowskich do końca XIX wieku, polegał na **wożeniu figurki baranka** umieszczonej na umajonym wozie lub postumencie, która symbolicznie przecinała piłą belkę drewna. Było to nawiązanie do ludowej opowieści, według której Jezus miał wyręczać św. Józefa w pracach ciesielskich.

Na początku XX wieku w Poniedziałek Wielkanocny krakowianie tłumnie wyruszali na zwierzyniecki **Emaus**. Nazwa tego odpustu i towarzyszącego mu festynu nawiązuje do biblijnej miejscowości, do której podążał zmartwychwstały Chrystus w towarzystwie swoich dwóch uczniów, pozostając przez nich nierozpoznany. W okolicach kościoła ss. Norbertanek stawiano barwne kramy z zabawkami i słodyczami, strzelnice oraz loterie. Jedną z najsłynniejszych pamiątek krakowskiego Emausu były figurki żydowskich grajków, jak również gliniane dzwonki, drewniane siekierki i „drzewka życia", których wyrobem na przełomie XIX i XX wieku zajmowali się murarze i cieśle podczas zimowych przerw w pracy. Emaus wciąż co roku przyciąga setki odwiedzających.

Bardzo krakowską tradycją związaną z okresem wielkanocnym jest też **Rękawka**. O historii tego zwyczaju więcej piszemy na stronie obok. Na koniec – **Babasik**, przypadający we wtorek po Wielkanocy. Dziewczęta odwdzięczały się wtedy chłopcom za Lany Poniedziałek, a że psotom i gonitwom nie było końca, zabawa trwała jeszcze przez długi czas. Stąd właśnie zrodziło się przysłowie „Aż do Zielonych Świątek można lać się w każdy piątek". **(io)**

Tekst powstał w oparciu o materiały Muzeum Etnograficznego w Krakowie.
www.etnomuzeum.eu/zbiory

Franciszek Kuthan, flisacy-retmani, lata 30. XX wieku, fot. dzięki uprzejmości Muzeum Etnograficznego w Krakowie

Ku czci króla

Kopiec Krakusa to najstarsza w naszym mieście budowla wzniesiona ludzką ręką – został usypany prawdopodobnie już w VIII wieku. Wiąże się z nim jeden z najdawniejszych krakowskich zwyczajów – Rękawka.

Dawno, dawno temu, w przedchrześcijańskich czasach wczesnego średniowiecza, kiedy zwierzęta i rośliny powoli budziły się do życia po mroźnej zimie, a wszystkie znaki na niebie i ziemi zwiastowały nadejście nowej pory roku, Słowianie przygotowywali się do obchodów święta wiosennych dziadów, podczas którego oddawali cześć przodkom. Ślad tych pradawnych praktyk przetrwał w Krakowie do dziś: w formie święta **Rękawki** obchodzonego we wtorek po Wielkanocy pod kopcem Krakusa.

Kurhan znajdujący się na Wzgórzu Lasoty (dziś w dzielnicy Podgórze) wzniesiono według dawnych kronikarzy ku czci króla lub księcia Kraka, legendarnego założyciela Krakowa. Mieli go usypać jego poddani, nosząc ziemię w rękawach, stąd nazwa Rękawka. Niektórzy językoznawcy wywodzą ją także od starosłowiańskiego słowa *raka/rakew* oznaczającego trumnę lub grób, bliskiego określeniom używanym współcześnie m.in. w języku czeskim i serbskim. Podczas badań archeologicznych prowadzonych na terenie kopca w latach 30. XX wieku nie znaleziono wprawdzie szczątków króla Kraka, warto jednak pamiętać, że Słowianie nie chowali ciał zmarłych w kurhanach: zwłoki przodków palili, a prochy umieszczali w urnach, które następnie pozostawiali na szczycie kurhanu.

Podczas pogańskiego święta wokół kopca Słowianie urządzali stypy pogrzebowe za zmarłych, aby „nakarmić" dusze budzące się na wiosnę. Obrzęd polegał na poświęceniu duchom przodków chleba, jabłek, a przede wszystkim jajek, które – jak wierzono – były symbolem śmierci, miały moc obrony przed złem i zjednywania dobra. Oprócz tego

Rękawka, fot. dzięki uprzejmości Centrum Kultury Podgórza

Rękawka, fot. dzięki uprzejmości Centrum Kultury Podgórza

palono ogniska, sadzono gaje czy urządzano walki i igrzyska ku czci zmarłych.

Zwyczaj świętowania wokół kopca przeniósł się i w czasy chrześcijaństwa, choć w przekształconej formie, gdyż krzewiciele nowej religii starali się odciągnąć wiernych od pogańskich praktyk. Może o tym świadczyć wzniesienie na Wzgórzu Lasoty prawdopodobnie już ok. 1000 roku kościoła św. Benedykta. Patrona tej świątyni czci się 21 marca, wtedy też przypada równonoc wiosenna. Wówczas odbywał się przy kościele odpust, który wchłonął elementy dawnych zwyczajów. W połowie XV wieku wciąż palono ognie, a młodzież ćwiczyła fechtunek. Aż do końca XIX wieku, póki zakazu tych praktyk nie wydały władze austriackie, ze stoków kopca rzucano obwarzanki, placki, pierniki czy monety, które trafiały w ręce zbierającej się u jego stóp biedoty.

Na początku XX wieku Rękawka kojarzona już była jedynie z festynem i jarmarczną atrakcją. Przy kościele św. Benedykta stawały karuzele, kramy i strzelnice. Krakowianie tłoczyli się, żeby zakupić baloniki, słodycze i zabawki.

W 2001 roku z inicjatywy Centrum Kultury Podgórza i drużyny Wojów Wiślańskich KRAK po raz pierwszy udało się powrócić do historycznych korzeni święta i przygotować rekonstrukcję wydarzeń sprzed ponad tysiąca lat. Od tamtej pory co roku pod kopcem Krakusa można przenieść się w czasie i zobaczyć, jak wyglądało życie we wczesnośredniowiecznych osadach, spróbować potraw przyrządzonych według przepisów z kuchni Słowian czy usłyszeć muzykę, jaka mogła przygrywać niegdyś naszym przodkom. Ogromne wrażenie robi inscenizacja wielkiej bitwy Wiślan z najeźdźcami – dwie potężne armie stają naprzeciw siebie u stóp kopca, krzyżują miecze, topory i tarcze i nie szczędząc sił, walczą o zwycięstwo. **(io)**

Tekst powstał w oparciu o materiały Centrum Kultury Podgórza.
www.ckpodgorza.pl

Na wielkanocnym stole

Co kraj to obyczaj, języki mieszają się jak pod wieżą Babel, a i kuchnia inaczej smakuje w zależności od regionu! Podobnie w czasie świątecznego posiłku wokół każdego stołu unoszą się inne zapachy i zdobią go różnorodne potrawy.

Niedzielne śniadanie to jedna z najważniejszych tradycji świąt wielkanocnych. Co znajdziemy wówczas na stołach? Na pewno nie może zabraknąć jaj symbolizujących nowe życie, podawanych w rozmaitych formach: na twardo, na miękko, w koszulkach czy faszerowanych na przykład pastą paprykową lub chrzanem i posypanych szczypiorkiem albo rzeżuchą. Obowiązkowo musi pojawić się żurek, najlepiej z białą kiełbasą. Do tego często podawane są popularne sałatki, pasztety, ryby i oczywiście ciasta: wielkanocna babka, mazurek, makowiec czy sernik.

Małopolskie tradycje

W każdej kuchni regionalnej istnieją jednak świąteczne przysmaki, które nie są przygotowywane nigdzie indziej. W Małopolsce do takich dań zaliczymy **krzonówkę**, czyli sycącą gęstą zupę z chrzanem, do której wrzuca się jajka oraz pokrojone kawałki mięsa i wędlin. Podaje się ją na przykład w Sułkowicach – już od ponad stu lat! Inną potrawą jest **strząska** przygotowywana we wsi Siedliszowice. Ta mieszanina mięsa, wędlin, jajek i przypraw zalewanych wodno-octowym roztworem znana była tu już w latach 20. i 30. XX wieku. Z kolei mieszkańcy Łomnicy nie wyobrażają sobie świąt bez **pierogów łomniczańskich**, które wyglądem przypominają... dość duże kurze jajka. Ich ciasto wyrabia się z ziemniaków, a farsz robi się z sera białego. Na Podhalu w okresie wielkanocnym warto zjeść **fizioły** – danie składające się z fasoli, wędzonych śliwek i leśnych grzybów, często podawane z oscypkiem, doprawione świeżym tymiankiem, cząbrem i pieprzem.

Podlaskie smaki

Na Podlasiu przygotowania do świąt zaczynają się dużo wcześniej. Tamtejsza kuchnia w sporej części nawiązuje do tradycji wywodzących się z Białorusi i Rosji. Wśród podlaskich potraw wielkanocnych wyróżnić trzeba **barszcz z kiszonych buraków**, jak również **paschę**, czyli deser z twarogu zmieszanego z masłem, śmietaną, cukrem, jajkami i wedle uznania orzechami lub rodzynkami, przypominający kształtem stożek lub kopiec. Święta nie obejdą się tam także bez **sękacza** – ciasta z nutą cytryny i wanilii. Taki „wałek z wypustkami" pieczono chociażby z okazji odwiedzin królowej Bony w Berżnikach na Suwalszczyźnie. Na koniec specjał kuchni syberyjskiej, który rozpowszechnił się na terenie Podlasia za sprawą powracających z Rosji uchodźców. Mowa o małych pierożkach z farszem zwanych **pielmieni**. Przepis na tę potrawę przedstawiamy w wersji z łososiem dzięki uprzejmości firmy Suempol. Zapraszamy do własnoręcznego lepienia!

Ciasto
700 g przesianej mąki
ok. 200 ml ciepłej (letniej) wody
duża szczypta soli
Farsz
250 g łososia wędzonego na gorąco
kilka suszonych pomidorów w oliwie
cebula
czosnek
natka pietruszki
mielona słodka papryka

Najpierw przygotowujemy farsz: cebulkę i czosnek bardzo drobno siekamy i podsmażamy na oliwie z suszonych pomidorów, które za moment również kroimy i dodajemy. Łososia rozdrabniamy i łączymy z podsmażonym farszem, do którego wsypujemy także posiekaną pietruszkę. Całość doprawiamy solą, pieprzem i mieloną słodką papryką. Teraz kolej na ciasto: mąkę mieszamy z solą i powoli wlewamy wodę w letniej temperaturze. Ciasto wyrabiamy tak długo, aż będzie miękkie, jednolite i swobodnie odejdzie od rąk. Następnie dzielimy je na części – te odłożone na później przykryjmy, aby nie wyschły. Ciasto rozwałkowujemy dość cienko i odciskamy szklanką krążki, na których wyłożymy farsz. Zlepione okrągłe pierożki wrzucamy do wrzącej wody i po wypłynięciu gotujemy jeszcze przez trzy minuty. Pielmieni najlepiej smakują polane oliwą i posypane podsmażoną cebulką.

Łemkowskie specjały

Kuchnia łemkowska za najważniejszą zasadę przyjęła to, że nic nie może się zmarnować. Etniczni górale karpaccy swoje dania przygotowywali z najprostszych

składników, na które każdy mógł sobie pozwolić; były zatem skromne, lecz smaczne. Dawniej przestrzegano ściśle postu, dlatego dania są bezmięsne, a także bez miodu czy masła. Do najczęściej przygotowywanych potraw postnych kuchni łemkowskiej należą **adzymka**, **tartianyk**, czyli placek na liściu kapusty, i **kiszeniaki** – gołąbki w liściach kiszonej kapusty. Przepisy na te dania publikujemy dzięki uprzejmości restauracji Gościnna Chata. Spróbujcie koniecznie!

Adzymka
0,5 kg mąki pszennej
1 szklanka śmietany 18%
1 średnie jajko
1 płaska łyżeczka sody oczyszczonej
pół płaskiej łyżeczki soli

Z podanych składników wyrabiamy ciasto jak na pierogi. Dzielimy je na dziesięć części i każdą z nich rozwałkowujemy na placek grubości jednego centymetra. Placki pieczemy z obu stron na płycie kuchennej lub na żeliwnej patelni. Podajemy na ciepło lub na zimno, w wersji niepostnej – z masłem albo miodem.

Tartianyk
5 średnich ziemniaków
sól
duży liść kapusty
masło (może być czosnkowe)

Ziemniaki ścieramy na małych oczkach, solimy i odciskamy. Masę z ziemniaków układamy na liściu kapusty i pieczemy w rozgrzanym piekarniku. Gotowy placek podajemy z masłem.

Kiszeniaki
kiszona kapusta w główce
1 kg kaszy jęczmiennej
0,5 kg kaszy gryczanej
3 kg mięsa surowego mielonego (wieprzowego)
0,5 kg grzybów (leśne i pieczarki)
0,2 kg grzybów suszonych
4 cebule średnie (ok. 40 dkg)
0,5 kg skwarek ze smalcu
5 jajek

Główkę kiszonej kapusty obgotowujemy w osolonej wodzie. Kaszę jęczmienną wyparzamy, gotujemy w osolonej wodzie (jedna szklanka kaszy na dwie szklanki wody)

Tartianyk, fot. dzięki uprzejmości restauracji Gościnna Chata

i pozostawiamy pod przykryciem w ciepłym miejscu. Podobnie przygotowujemy kaszę gryczaną i mieszamy ją z jęczmienną. Następnie do kaszy dodajemy surowe zmielone mięso. Smalec rozgrzewamy, odcedzone skwarki wrzucamy do kaszy, a na pozostałym tłuszczu podsmażamy pokrojoną w kostkę cebulę. Później wsypujemy drobno pokrojone grzyby (najpierw suszone, potem pozostałe) i wysmażamy. Dodajemy jajka, tak aby się lekko ścięły. Całość mieszamy z kaszą, doprawiamy solą i pieprzem. Na koniec obieramy liście z kapusty (w razie potrzeby odcinamy grube części). Na każdy liść nakładamy farsz, zawijamy i układamy ściśle na blasze. Każdą warstwę kiszeniaków przekładamy kawałkami papryki, plastrami boczku i liśćmi kiszonej kapusty. Podlewamy rosołem i zapiekamy, aż liście będą miękkie. Mmm, smacznego! **(io)**

Przepisy pochodzą od naszych partnerów: firmy Suempol oraz restauracji Gościnna Chata.

Kiszeniaki, fot. dzięki uprzejmości restauracji Gościnna Chata

Święcelina, polewacka i śmierztecka – jak wygląda Wielkanoc na Podhalu

Górale cenią i kultywują tradycję. Zwyczaje, także te wielkanocne, przekazują z pokolenia na pokolenie, dbając, by przetrwały nie tylko w pamięci mieszkańców Podhala, ale także wśród turystów.

Jeszcze na początku XX wieku rytm życia mieszkańców podhalańskich wsi dyktowały pory roku, a wraz z nimi zwyczaje i obrzędy. Nieodłącznym elementem świąt, także tych wielkanocnych, chociażby w Bukowinie Tatrzańskiej są regionalne stroje, śpiewy i muzyka.

„Wiele zwyczajów wielkanocnych odeszło w niepamięć. Część z nich zachowała się tylko w opowieściach starszego pokolenia. Są jednak takie obrzędy, które przetrwały, i trudno sobie bez nich wyobrazić święta wielkanocne na Podhalu" – mówi Joanna Panek, Brand Manager BUKOVINA Resort.

Wielki Post

Wielkanocne obrzędy zaczynają się od Wielkiego Postu. W Środę Popielcową gospodynie wyparzały garnki i smarowały je popiołem, by nie został na nich tłuszcz. Najstarsi górale pamiętają „śmierzteckę" – przygotowywaną w czwartą niedzielę Wielkiego Postu kukłę przedstawiającą śmierć, z którą okoliczne dziewczęta chodziły od domu do domu, a potem topiły w potoku. Podobnym zwyczajem jest też palenie słomianej kukły Judasza.

Niedziela Kwietna

Na Podhalu Niedziela Palmowa zwana jest Kwietną. W ten dzień święcono gałązki wierzbowe pokryte baziami, po góralsku zwane „bazickami". Nie było zwyczaju robienia ozdobnych palm. Dzieci chodziły po gałązki wierzby, przybierały je wstążeczkami lub bibułą. Takie wielkanocne palmy gospodynie nawet dziś przechowują w domach przez cały rok, co ma chronić gospodarstwo przed pożarem i nieszczęściami. Lata temu gazda przy pierwszych uprawach w polu kładł bazie wraz z kawałkiem chleba lub moskola pod skibę, by był dobry urodzaj.

Wielki Tydzień

Ostatnie dni przed Niedzielą Wielkanocną to czas intensywnych porządków w gospodarstwach. W Wielki Czwartek szło się do kościoła, by „pożegnać dzwony", w Wielki Piątek przed wschodem słońca mieszkańcy wsi w pobliskim potoku poddawali się obrzędowemu myciu, koniecznie w bieżącej wodzie. Zapewniało to zdrowie i urodę. W Wielki Piątek gospodynie robiły masło do święcenia, które przechowywano potem przez cały rok jako skuteczny lek, zwłaszcza dla zwierząt w gospodarstwie. Gospodarze przycinali w tym dniu koniom grzywy i ogony, znaczyli jagnięta. Wierzono, że rany w tym dniu goją się szybciej. Nie wolno było natomiast wychodzić do pracy w polu, bo w ziemi złożono tego dnia ciało Jezusa. Obowiązywał też ścisły post. Gaździny robiły na ten dzień kwaśnicę z kiszonej kapusty i piekły grule w szabaśniku. A w Wielką Sobotę rano zabierało się z kościoła do domów poświęconą wodę i węgielki, które miały chronić od nieszczęść.

Fot. BUKOVINA Resort

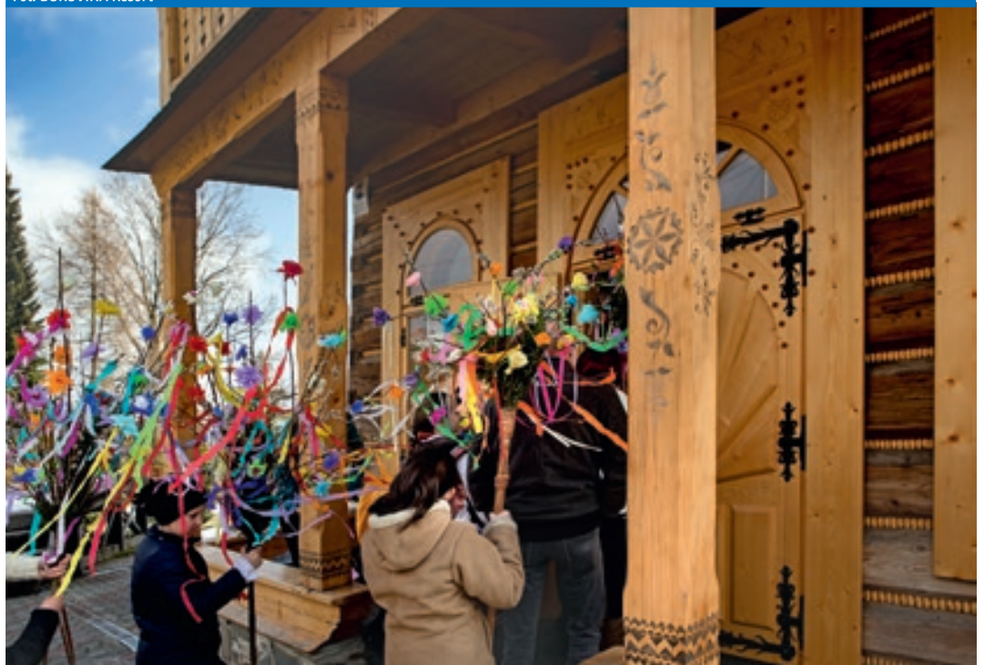

Fot. BUKOVINA Resort

Święcelina

Dawniej pokarmy przynoszone były do święcenia w wełnianych torbach. Dziś są to, podobnie jak w całym kraju, koszyczki. Tradycyjna święconka zwana jest tu święceliną. Na Podhalu jajka barwiono, gotując je w łupinach cebuli, a po zjedzeniu skorupki zakopywano w ogrodzie. Oprócz jajek w koszyczku musiał znaleźć się też oscypek, słonina, moskol, baranek z masła, kiełbasa, sól, chrzan i wykrawki ziemniaków. Wszystko to ozdabiano mirtem i gałązkami jałowca, których razem z wodą święconą używano dawniej przed wiosennym redykiem do okadzania i pokropienia owiec, a także koszarów i pasterskich szałasów na hali. Gospodarz ze święceliną w ręku obchodził dom dokoła, mówiąc: „Uciekoj syckie niescęście z domu, bo idem ze święcelinom du domu!".

Niedziela Wielkanocna

Niedziela Zmartwychwstania rozpoczynała się poranną mszą. Po rezurekcji wracano do domu na śniadanie. Zanim jednak wszyscy zasiedli do stołu, każdy musiał zjeść kawałek korzenia chrzanu, co miało zapewnić zdrowie na cały rok. Mówiono także, że chrzan je się na pamiątkę cierpienia Chrystusa.

Polewacka

Lany Poniedziałek zwany jest na Podhalu Polewacką. Nikt nikogo tego dnia nie oszczędzał. W ruch szły wiadra, konewki i garnki. Sąsiad oblewał sąsiada, dzieci rodziców, rodzice dziadków. Kawalerowie szli oblać panny, do których chcieli się zalecać. I co oczywiste, żadna panna nie chciała uniknąć oblania, które było gwarancją powodzenia w przyszłym roku – któż by tego odmówił!

***

Te wielkanocne obrzędy do dziś są symbolem przejścia z zimowego uśpienia do wiosennego życia. I takiego przebudzenia w ten wyjątkowy, świąteczny czas wszystkim czytelnikom „Karnetu" życzy BUKOVINA Resort. Spokojnych, pełnych zdrowia świąt wielkanocnych!

Jak się robi festiwal

To jest właśnie to, dla czego żyję – mówi Joanna Broniec w opowieści o tym, jak zorganizować Festiwal Misteria Paschalia.

Jak długo trwa twoja przygoda z festiwalem?

Od 2007 roku – przez kilka lat jako pilot opiekowałam się wtedy artystami przyjeżdżającymi na festiwal. Potem już jako pracownik organizującego to wydarzenie Krakowskiego Biura Festiwalowego, a od edycji w 2018 roku jestem menedżerem festiwalu.

Mamy więc festiwal o ustalonej marce, który ma renomę w Polsce i jest nieźle rozpropagowany także w Europie. Jak wymyślić jego kolejną edycję?

Teraz to jest właściwie dość proste *(śmiech)*. Przed dużym wyzwaniem stanęliśmy wobec zaplanowania edycji na rok 2017, bo po odejściu dotychczasowego dyrektora artystycznego poczuliśmy, że to jest właściwy moment na nowe otwarcie. Było jasne, że bez zmian pozostaje główna idea festiwalu, chcieliśmy go jednak odświeżyć, spróbować zbudować jego program w trochę inny sposób. Postanowiliśmy, że dyrektora artystycznego będziemy wybierać na rok i że jego postać i dorobek mają być bardzo mocno związane z tematem, który chcemy w danej edycji prezentować. A tym tematem, motywem przewodnim postanowiliśmy uczynić różne kręgi kulturowe, które pozwolą nam pokazać muzykę powstającą w poszczególnych ośrodkach europejskich. Zaczęliśmy od Francji, bo mieliśmy znakomitą relację z Vincentem Dumestre'em, bardzo popularnym i lubianym przez krakowską publiczność, a jego pomysły są zawsze gwarancją sukcesu. Potem były Wielka Brytania i Włochy.

Kiedy już weszliśmy w nurt kręgów kulturowych, to właściwie trzeba było tylko wymyślić, jakie kraje zaprezentujemy w następnych edycjach. Często decydują o tym względy praktyczne: dostępność danych artystów w terminach naszego festiwalu. Wiele decyzji wpływających na jego kształt artystyczny jest zresztą podejmowanych w oparciu o kwestie tak prozaiczne, jak kalendarze artystów – to one często decydują, co pokażemy publiczności.

No zaraz, a wartość artystyczna?!

Wybierając kolejnych dyrektorów rezydentów, obserwujemy naturalnie aktualne trendy, szukamy artystów, którzy mają moc przyciągania publiczności. Sprawdzamy także, co dzieje się na innych festiwalach o podobnej tematyce, a ponieważ Misteria Paschalia to jeden z największych festiwali w Europie poświęconych muzyce dawnej, musimy czerpać z różnych źródeł. Obserwujemy uważnie festiwale operowe (choć to z reguły zupełnie inny repertuar), festiwal muzyki dawnej w Utrechcie, a także programy sal koncertowych, np. Concertgebouw Brugge, scen włoskich, no i oczywiście francuskich, gdzie dzieje się wiele ciekawych rzeczy.

Misteria Paschalia 2017, fot. Wojciech Wandzel

Czy to dyrektor tworzy cały program festiwalu?

Bywa różnie – bo nasi dyrektorzy artystyczni mają różne style pracy. Vincent Dumestre zbudował cały program francuskiej edycji sam. Podobnie Antonio Florio, który w 2019 roku przygotował edycję włoską – nam udało się dorzucić od siebie bardzo niewiele. W przypadku Raphaëla Pichona, który opracował tegoroczną – niestety niedoszłą – edycję niemiecką, był to jego autorski program, choć powstał w wyniku intensywnej wymiany pomysłów między nami. Zupełnie inny model współpracy zaproponował John Butt, dyrektor rezydent edycji brytyjskiej w 2018 roku, gdzie część koncertów była jego pomysłem, a część zaproponowaliśmy my.

Mamy więc wybranego dyrektora artystycznego i ułożony program. Co dalej?

To proste: zaczynamy pracę nad wszystkimi innymi elementami. Tworząc program, musimy brać pod uwagę nie tylko czynniki artystyczne i dostępność artystów, ale też np. jakimi salami dysponujemy. Bo miejsce koncertu powinno być dopasowane do repertuaru i odwrotnie. W kościołach, w których odbywa się spora część festiwalowych koncertów, staramy się grać głównie muzykę sakralną. Ważna jest także architektura. Muzyki średniowiecznej nie ulokowałabym w barokowym kościele św. św. Piotra i Pawła albo u oo. Bernardynów, tylko szukałabym dla niej przestrzeni gotyckiej – to kwestia dopasowania stylistycznego i nawiązywania do autentycznych warunków wykonania dzieł. Przy wyborze miejsca bardzo liczą się również kwestie techniczne, m.in. akustyka, jak duży jest zespół i ile mamy miejsca, by ustawić scenę. Dalsza sprawa, która wymaga naszej uwagi, to zapewnienie instrumentów – tych dużych, których artyści nie przywożą ze sobą, np. klawesynu. Zwykle robi się z tego długa debata, bo każdy klawesynista ma swoje preferencje, a do tego instrument musi być dopasowany do repertuaru. Trudno się spodziewać, że włoski zespół grający włoską muzykę zagra na francuskim klawesynie. No i zawsze najważniejsze są wymagania i oczekiwania artystów.

Czego jeszcze potrzebują?

Znów: rzeczy całkiem prozaicznych. Musimy zapewnić przeloty, noclegi, transport tu na miejscu – z lotniska i po mieście, catering...

Czy gwiazdy muzyki dawnej miewają takie zachcianki, jak idole popowi czy rockowi?

Nie, to wyjątkowo skromni ludzie. Nie spotyka się raczej zespołów muzyki dawnej czy solistów, którzy mieliby w riderze [spisie wymagań technicznych – przyp. red.] większe potrzeby w tej kwestii niż woda *(śmiech)*.

Muzycy są już więc w Krakowie, czas przyjrzeć się miejscu, w którym wystąpią.

Powiedziałabym, że od strony technicznej Misteria Paschalia to festiwal relatywnie prosty. W przypadku muzyki dawnej gra się „na biało", czyli bez nagłośnienia – i jedna rzecz z głowy. Na naszych koncertach zawsze operujemy światłem i kolorem, więc potrzebny jest sprzęt oświetleniowy. Trzeba też zbudować scenę lub zorganizować przestrzeń dla artystów, a na niej ustawić pulpity dla instrumentalistów i śpiewaków, podesty dla chóru, krzesła... O właśnie, krzesła to cała epopeja. Są takie z oparciem i bez oparcia – lepsze dla skrzypków, są niższe i wyższe, są ławy fortepianowe, które często preferują lutniści, są krzesełka do klawesynów, dopasowane stylistycznie do instrumentów. Nieprostą sprawą jest też pulpit dla dyrygenta, zazwyczaj nieco większy od przeciętnego, bardziej płaski i bardzo stabilny.

Zespół staje na tak przygotowanej scenie i zaczyna się koncert.

Nie! Jeszcze nie teraz! Jeszcze trzeba odpowiednio artystów na tej scenie ustawić. Każda grupa przysyła nam *stage plan*, czyli po polsku plan tego, jak chce się rozlokować w przestrzeni sceny. I my to realizujemy, rozstawiamy, układamy, a potem zespół przyjeżdża i najczęściej okazuje się, że plany planami, a ustawienie i tak trzeba całkiem zmienić *(śmiech)*.

Jest jeszcze trudniej, jeśli koncertowi towarzyszy transmisja lub nagranie telewizyjne (Festiwal Misteria Paschalia współpracuje z francuskim kanałem Mezzo) czy radiowe (dla Programu Drugiego Polskiego Radia – to nasz stały partner), bo to wymaga dodatkowo ustawienia sprzętu do zbierania dźwięku. Na przykład w ubiegłym roku przed koncertem w Wielki Piątek spędziliśmy godzinę, rozważając ustawienie jednego mikrofonu, podkreślam – jednego. Było bardzo dużo emocji!

Uff, czy to już – artyści stoją na scenie i zaczyna się koncert?

Nie, znowu nie! Omówiłyśmy dopiero kwestie techniczne. A teraz musimy się cofnąć w czasie, bo pominęłyśmy cały etap promocji festiwalu! Bo równocześnie do pracy nad *stage planami*, lokalizacją koncertów, lotami i noclegami trwają przygotowania do oficjal-

nego ogłoszenia programu i potem rozprowadzania o nim informacji. Zbieramy opisy koncertów, biogramy artystów, szczegółowe repertuary, składy zespołów, pozyskujemy teksty librett, które później drukujemy lub wyświetlamy, aby przybliżyć treść dzieła odbiorcom. Wymyślamy kampanię promocyjną – jakie motywy warto szczególnie podkreślić, w jaki sposób opowiadać odbiorcom o wydarzeniu, jak ich zachęcić do przyjścia na nasze koncerty: gdzie i jak będziemy je reklamować. Powstaje tzw. kreacja festiwalu, czyli jego wizualna identyfikacja, to, co potem widzimy na wszystkich plakatach, ulotkach, materiałach prasowych; ona też decyduje o wyglądzie stron www i naszych kanałów w mediach społecznościowych.

Kompletujemy listę partnerów medialnych, którzy nas będą wspierać. Organizujemy sprzedaż biletów. Piszemy teksty, zapowiedzi prasowe, posty na Facebooka promujące i przybliżające festiwal. Przygotowujemy książkę programową, ulotki informacyjne, inne potrzebne druki, także te, które potem możemy zobaczyć w miejskiej przestrzeni...

Naprawdę, tego jest strasznie dużo – jak się o tym kompleksowo pomyśli. Prawdziwy cud, że to się wydarza! I to regularnie co rok! No, prawie co rok...

Do tego przejdziemy za chwilę, a na razie pytanie, które się samo nasuwa: ile osób nad tym pracuje?

Sprawdzałam te liczby na przykładzie tegorocznego festiwalu, który nie doszedł do skutku z powodu epidemii. Jeśli policzymy wszystkich artystów, towarzyszący im pion administracyjny, organizacyjny i produkcyjny, naszych pracowników i współpracowników (podobnie jak po stronie artystów: administracja, organizacja, promocja i produkcja), obsługę techniczną, realizację telewizyjną i radiową – jeśli policzymy to wszystko, to w sumie około 350 osób.

Kiedy więc wysiłek tych 350 osób spełnia się na scenie, co czuje menedżer festiwalu?

To jest nieopisana fala pozytywnych emocji. Kiedy festiwal jest już w pełnym biegu, gładko idą koncert za koncertem i widzimy przyjęcie publiczności – zawsze fantastycznej, bardzo ciepłej i ogromnie zainteresowanej tym, co artyści mają do zaoferowania – to jest prawdziwa euforia. To jest właśnie to, dla czego żyję, właśnie dlatego to robię!

A co się czuje, kiedy trzeba odwołać festiwal tuż przed jego rozpoczęciem? Mam na myśli oczywiście sytuację z tego roku, gdy szerząca się epidemia koronawirusa wywróciła do góry nogami wszystkie plany.

Och... Najpierw ogromny sprzeciw wewnętrzny i niedowierzanie, myśl, że to się nie dzieje naprawdę. Przecież pracowaliśmy nad przygotowaniem tego festiwalu 2,5 roku... Ale potem dociera do ciebie, jakie to ogromne ryzyko i jaka ogromna odpowiedzialność spoczywa na nas, organizatorach – za zdrowie i być może życie publiczności, artystów, ekipy organizującej festiwal. Jest mi strasznie smutno, że tak się stało, ale czuję też ulgę, że tej odpowiedzialności nikt z nas nie musiał na siebie brać.

Żeby nie zostawiać słuchaczy bez muzyki dawnej na Wielki Tydzień i Wielkanoc mamy za to Misteria Pachalia 2.0, czyli festiwal w wersji cyfrowej. Jak to będzie wyglądało?

Jedną z pierwszych decyzji rządu, jakie zapadły w związku z epidemią koronawirusa, było zawieszenie działalności instytucji kultury. Ale przecież żyjemy w epoce cyfrowej, wielu naszych słuchaczy ma dostęp do internetu, a dysponujemy zasobami audio i wideo. Postanowiliśmy więc, że oczywiście w innej formie, ale jednak zrobimy ten festiwal! Pomogli nasi partnerzy – dzięki telewizji Mezzo, która koncerty z poprzednich edycji festiwalu pokazuje aktualnie na swoich obu kanałach, pojawią się one także na naszym profilu na Facebooku. Zaczynamy w Niedzielę Palmową 5 kwietnia i aż do Poniedziałku Wielkanocnego 13 kwietnia zapraszamy na codzienne streamingi o 20.00, a potem poszczególne koncerty będą dostępne na naszym fanpage'u jeszcze przez tydzień. Zobaczymy m.in. trzy koncerty Le Poème Harmonique z Vincentem Dumestre'em: nagrane w 2017 roku *Selva morale e spirituale* Monteverdiego, fantastyczne *Il terremoto* w wersji półscenicznej i program z 2018 roku *Son of England* z muzyką Purcella lub inspirowaną postacią tego kompozytora. Pokażemy dwa koncerty Dunedin Consort i Chóru Polskiego Radia pod batutą Johna Butta z 2018 roku: oratorium Handla *Samson* oraz *Arie i ody* z kompozycjami Purcella i Handla. Przypomnimy także koncert *Tristes erant Apostoli* zespołu Cappella Neapolitana i jej szefa Antonio Florio z 2019 roku. W ten sposób w państwa domach będą gościć dyrektorzy artystyczni i zespoły-rezydenci trzech poprzednich edycji festiwalu. A wraz z Programem Drugim Polskiego Radia przygotowujemy cykl streamingów audio, które startują już 3 kwietnia – codziennie o 18.00 będziemy słuchać najlepszych festiwalowych koncertów z radiowego archiwum. Zapraszamy na Misteria Paschalia 2.0!

Rozmawiała Barbara Skowrońska

SUEMPOL
JEŚLI ŁOSOŚ TO SUEMPOL. OD 1989 ROKU.

PAN ŁOSOŚ
W PEŁNI SWOJEGO MAJESTATU

JAKOŚĆ ŚWIEŻOŚĆ SMAK ZDROWIE

szukaj nas na @Suempol.Pan.Losos

kbf

Opowieść o Zmartwychwstaniu

Na szczęście nie wszystkie koncerty odwołanego w tym roku Festiwalu Misteria Paschalia miały być wykonaniami premierowymi. Na szczęście, bo dzięki temu repertuaru, który miał zabrzmieć w Wielki Wtorek w kościele św. Katarzyny, możemy wysłuchać, nie wychodząc z domu. Płyta *Larmes de Résurrection* (Łzy Zmartwychwstania) jest niekonwencjonalną kompilacją dzieł dwóch wielkich humanistów niemieckich – Heinricha Schütza i Johanna Hermanna Scheina. Dla wielu specjalistów i miłośników wykonawstwa historycznego Simon-Pierre Bestion zdaje się przekraczać tu kilka granic naraz. Nie tylko łączy obydwa dzieła w sposób zupełnie niespotykany – przeplatając ich fragmenty między sobą – ale też obsadza w roli Ewangelisty śpiewaka bizantyjskiego, który ornamentuje recytatywy na modłę wschodnią. Oburzające lekceważenie tradycji wykonawczych? Być może. A jednak wszystko to w jakiś tajemniczy sposób działa. Śpiew bizantyjski nadaje programowi medytacyjny, niemal mistyczny charakter, a czyste, jasne głosy solistów snują opowieść o Zmartwychwstaniu z zupełnie nowej perspektywy powstałej dzięki zestawieniu dwóch znakomitych dzieł niemieckich mistrzów.

***Larmes de Résurrection*, La Tempête, Simon-Pierre Bestion, Alpha Classics / Outhere Music 2017**

Anamorfozy

Zmiłuj się nade mną, Boże, w łaskawości swojej… Od słów Psalmu 51 w bodaj najsłynniejszym muzycznym opracowaniu Gregoria Allegriego rozpoczyna się zupełnie niezwykła płyta Le Poème Harmonique *Anamorfosi*. Tytułowe anamorfozy to przekształcenia, które możemy zaobserwować w budujących program utworach. Wychodząc od początkowego *Miserere* Allegriego, wykonanego w wersji z ozdobnikami i przypadkowymi zmianami, którymi obrosło przez lata nielegalnego kopiowania, poprzez oryginalnie świeckie utwory przekomponowane na potrzeby nowego, religijnego tekstu Vincent Dumestre pokazuje, jak żywa i zmienna jest muzyka. Jednak to nie program albumu – choć tak precyzyjnie przemyślany – czyni go godnym polecenia, ale absolutnie niezwykły ładunek emocjonalny, tak trudny do uzyskania w nagraniu studyjnym. Do tego dodajmy krystalicznie czysty dźwięk i fenomenalną jakość nagrania – i bez trudu możemy wyobrazić sobie, że słuchamy tej muzyki w średniowiecznym klasztorze w samym sercu Francji.

***Anamorfosi*, Le Poème Harmonique, Vincent Dumestre, Alpha Classics / Outhere Music 2019**

Balet Nocy

W źródłach z dawnych epok znajdujemy liczne i bardzo szczegółowe opisy wydarzeń muzycznych, premier oper i oratoriów; nader często natrafiamy też na szkice kostiumów czy scenografii. Czy na ich podstawie możliwe byłoby dokładne ich odtworzenie? To pytanie zadał sobie zapewne Sébastien Daucé, gdy w jego głowie rodził się pomysł na choćby częściowe odtworzenie jednego z najbardziej niezwykłych wydarzeń muzycznych baroku – *Królewskiego Baletu Nocy*. Oryginalne wykonanie tego baletu dworskiego trwało ponad trzynaście godzin, a na jego koniec piętnastoletni Ludwik XIV wystąpił jako Apollo, Król Słońce. Oczywiście, powtórzenie tego wyczynu nie byłoby dziś możliwe, jednak i bez tego dokonanie Sébastiena Daucé i jego Ensemble Correspondances jest imponujące. Przygotowany przez nich spektakl, będący połączeniem opery, performansu i sztuki cyrkowej, trwał niemal cztery godziny.

Słuchana z płyty muzyka nic nie traci na uroku bez dodatkowych efektów wizualnych, a samo brzmienie zespołu – specjalizującego się w wykonawstwie muzyki francuskiego baroku – wystarczy, byśmy mogli przenieść się do Paryża Ludwika XIV. Wśród znakomitych solistów wyróżnić warto Lucile Richardot, której głos o zupełnie niezwykłej barwie prawie mieliśmy okazję podziwiać w tym roku na Festiwalu Misteria Paschalia.

***Le Ballet royal de la Nuit*, Ensemble Correspondances, Sébastien Daucé, Harmonia Mundi 2018**

Mozart i opera

Jeśli szukacie czegoś o kompletnie innym charakterze i zabarwieniu emocjonalnym, koniecznie sięgnijcie po album *Libertà! Mozart et l'opéra* francuskiego zespołu Pygmalion, który miał być rezydentem tegorocznego Festiwalu Misteria Paschalia. Jest to bardzo ciekawa programowo kreacja, w której Raphaël Pichon wziął na warsztat nieznane i zapomniane dzieła Mozarta – arie koncertowe, fragmenty niewykorzystane lub niedokończone – i zestawił je ze sobą, dodając zarys narracji, tak aby całość przybrała kształt „opery". Najważniejsze jest jednak samo wykonanie – doprawdy mistrzowskie! W każdym temacie, w każdej frazie można wyczuć doskonałe zrozumienie niuansów, które budują prawdziwie Mozartowski styl. Soliści dają popis wokalny najwyższej próby, a orkiestra i chór jak zwykle prezentują niespotykanie jednorodne brzmienie i niespożytą energię. Ale znów – i tu najważniejsze są emocje. Z niemal każdego dźwięku zarejestrowanego na tej płycie bije niesamowita radość życia, którą warto się zarazić!

***Libertà! Mozart et l'opéra*, Pygmalion, Raphaël Pichon, Harmonia Mundi 2019**

Rekomendacje płyt z muzyką dawną przygotowała Joanna Broniec, menedżer Festiwalu Misteria Paschalia, pracownik Działu Muzycznego Krakowskiego Biura Festiwalowego.

Spiż i operetka

Największy reformator muzyki polskiej po Chopinie, twórca onirycznej opery *Król Roger* czy *Stabat Mater*, w którym oddał to, „co w tajemnym życiu duszy jest zarazem najbardziej nieuchwytne" – i operetka?! A jednak!

„Podnieść polskość do europejskości – oto trud, który postanowił podjąć Szymanowski" – pisał w *Gwiazdozbiorze muzycznym* Stefan Kisielewski, wskazując, że aż do początku XX wieku żaden z polskich twórców nie ośmielił się rozwijać zasygnalizowanych u Chopina wyzwań harmonicznych, chromatycznych czy technicznych. W modzie było raczej poszukiwanie skojarzeń narodowych i pisanie ku pokrzepieniu serc. Postęp był gdzie indziej.

To zawieszenie przerwał dopiero geniusz Karola Szymanowskiego, który w osobliwym *stretto* przeszczepił na polski grunt wszystko to, co zdarzyło się na świecie przez ponad pół wieku. Najpierw zachwycił się niemieckim neoromantyzmem i ekspresjonizmem spod znaku Richarda Straussa. Na tym gruncie powstały m.in. *Symfonia nr 1* i opera *Hagith*. Fascynacja dokonaniami francuskich impresjonistów – z Claude'em Debussym, ulubionym kompozytorem Szymanowskiego na czele – silnie zabarwiona zainteresowaniami kulturą antyku, greckimi mitami i egzotyką Orientu zaowocowała dziełami migotliwymi, hipnotyzującymi i onirycznymi: *Symfonią nr 3* „Pieśń o nocy", *Mitami* na skrzypce i fortepian czy operą *Król Roger*. Pobrzmiewa w nich także zapożyczona u Skriabina chromatyka, a tu i ówdzie sucha, niemal mechaniczna motoryczna energia każe wspomnieć Strawińskiego czy Bartóka. Przerobiwszy te europejskie zdobycze, Szymanowski był gotów, by zwrócić się ku polskości i (pra)słowiańskiej kulturze – trwającej jego zdaniem szczególnie w folklorze Podhala – i stworzyć styl narodowy, który zarazem będzie nosił znamiona uniwersalne. Ten okres zrodził m.in. cykl pieśni do słów Juliana Tuwima *Słopiewnie*, *Rymy dziecięce*, *Stabat Mater* czy zachwycający balet *Harnasie*.

„Kiedy słuchamy muzyki Karola Szymanowskiego, ogarnia nas czasem zachwyt, czasami zniecierpliwienie wobec zbyt skomplikowanej faktury dzieła – zawsze jednak uderza osobliwa potęga jego twórczości. Poraża nas emocjonalna siła, wyraz nieprzeciętnej namiętności. Pod zmiennym pulsowaniem rytmów wyczuwamy zawsze niezwykłą indywidualność kompozytora" – charakteryzował twórczość swego kuzyna Jarosław Iwaszkiewicz.

Jak pogodzić tę postać ze spiżu z operetką – gatunkiem lekkim i błahym, służącym wyłącznie rozrywce? By tego dokonać, trzeba cofnąć się do czasów sprzed I wojny światowej i do położonej na dzisiejszej Ukrainie Tymoszówki, w której wychował się Szymanowski i do której wracał z licznych młodzieńczych podróży po świecie. To tam Karol wraz ze swoim także utalentowanym muzycznie rodzeństwem i kuzynostwem oddawał się odgrywaniu kwartetu włoskiego, który akompaniował sobie na gitarach z rakiet tenisowych, tańca Salome z opery Straussa z głową Jana Chrzciciela wyciętą z dyni czy arii Małgorzaty przy kołowrotku z *Fausta* Gounoda wykonanej – z wszystkimi koloraturami! – przez jednego z młodzieńców. Wyniesiona z tych szczęśliwych czasów skłonność do śmiechu, żartu, pastiszu, parodii, ironii, groteski i kabaretu nie opuszczała Szymanowskiego przez całe życie. Choć bywało, że traktował sam siebie jako dobro narodowe i z lubością podkreślał ciężar spoczywającej na nim odpowiedzialności za polskość w muzyce, potrafił także spojrzeć na siebie z dystansem.

Loteria na mężów czyli Narzeczony nr 69, Opera Krakowska, fot. Andrzej Głuc

Po skomponowaniu *Króla Rogera* i *Stabat Mater* pisał: „nie mogę być ciągle taki uroczysty, to bardzo męczące. (...) Muszę się trochę muzycznie wyśmiać".

Czy więc operetka w jego dorobku wciąż wydaje się gatunkiem tak nieprawdopodobnym? *Loteria na mężów czyli Narzeczony nr 69* była owocem młodzieńczej fantazji i pomysłem na szybki zarobek – gdy bawiący w 1908 roku w Wiedniu Szymanowski i jego przyjaciel, później wybitny dyrygent Grzegorz Fitelberg odkryli, że się „wyszastali z pieniędzy". Ostatecznie Fitelberg w ogóle nie zaangażował się w powstanie *Loterii...*, a i zapał Szymanowskiego z czasem ostygł. Jego wyobraźnię opanowały inne, „poważne" utwory, jak *II Symfonia* czy *II Sonata fortepianowa*, które wkrótce zapewnią mu rozgłos w świecie. Partytura płochej operetki odeszła w niebyt. Jej twórca nie wspominał o niej później ani w żadnej korespondencji, ani w udzielanych wywiadach, nie umieszczał jej też w wykazach swoich kompozycji.

I tak mimo lekkiej, dowcipnej fabuły i interesującej muzyki operetka przez niemal sto lat nie została wystawiona – aż do roku 2007, gdy w ramach obchodów Roku Karola Szymanowskiego jej premierę przygotowała Opera Krakowska. Na scenie zmaterializowali się wówczas synowie bogatego przemysłowca, bracia Charlie i Darly, fotografowie z zamiłowania i nicponie z charakteru, ukochana Darly'ego Sara, przewodnicząca Klubu Starych Panien, sentymentalna panna Huck i wcale niepalący się do powtórnej żeniaczki członkowie Klubu Wesołych Wdowców. Nie zachowały się mówione partie oryginalnego libretta Juliana Krzewińskiego, które łączyły poszczególne numery muzyczne (dziś nie wiemy, jaką rolę miały pełnić żartobliwe kuplety Sherlocka Holmesa czy piosenka ulicznego druciarza o romansie królowej z paziem), więc szkielet fabularnej konstrukcji uzupełnił Wojciech Graniczewski. Ale co najważniejsze – wreszcie mogła zabrzmieć muzyka Szymanowskiego, „jasna, klarowna, dowcipna i roztańczona", jak pisała o niej Teresa Chylińska, znawczyni twórczości kompozytora, współpracująca z Operą Krakowską przy tej produkcji.

Spektakl w reżyserii Józefa Opalskiego i pod kierownictwem muzycznym Piotra Sułkowskiego został zarejestrowany i wydany na płycie DVD, Opera Krakowska przypomniała go także na swoim kanale w serwisie YouTube, gdzie w marcu odbyła się jego internetowa premiera.

Walce z wiedeńskich salonów, dziarskie marsze, najpopularniejszy karnawałowy kadryl z początków XX wieku, największy szyk tamtych sezonów, czyli pochodzący zza oceanu cake-walk, indiańska ballada, brazylijska samba, rozbudowane chóry i „uroczy akompaniament orkiestrowy, który płynie miękkimi, szerokimi łukami, przyprawiany co chwila pikantnymi harmoniami, barwnymi, zabawnymi pomysłami orkiestrowymi i dowcipnym wielogłosem" (to znów Teresa Chylińska) – do operetki Szymanowskiego, podobnie jak do jego symfonii, *Metop*, *Stabat Mater* czy *Pieśni kurpiowskich*, warto wracać! **(bs)**

Tekst powstał w oparciu o materiały Opery Krakowskiej.
www.opera.krakow.pl

Podróż w czasie

W roku jubileuszu 75-lecia Filharmonii Krakowskiej proponujemy wycieczkę w przeszłość – przypominamy barwne i niełatwe początki jej działalności.

Udekorowana scena, nad nią orzeł biały i flagi narodowe, muzycy we frakach, sala wypełniona do ostatniego skrawka wolnego miejsca, słuchacze tłoczą się także na stojąco pod ścianami i siedzą na podłodze między estradą a pierwszym rzędem widowni. Zimno – w nieogrzewanej sali daje się we znaki panujący na zewnątrz siarczysty mróz. Jest 3 lutego 1945 roku, godzina 15.30, Filharmonia Krakowska rozpoczyna koncert – po ponurych latach okupacji w gmachu przy ulicy Zwierzynieckiej 1 znów rozbrzmiewa muzyka polska: *Odwieczne pieśni* Karłowicza i *Koncert fortepianowy* f-moll Chopina. „Chcieliśmy, aby był to koncert – manifestacja, koncert muzyki, której przez całą okupację nie wolno było wykonywać" – wspominał później Zygmunt Latoszewski, który tamtego dnia stanął za dyrygenckim pulpitem.

Ten koncert – pierwszej instytucji muzycznej i pierwszej orkiestry symfonicznej w powojennej Polsce – musiał być dla ówczesnych krakowian wielkim wydarzeniem, zarówno kulturalnym, jak i patriotycznym. Jak jednak wyglądały kolejne dni filharmonii, gdy euforia już nieco przygasła i zaczęła się niełatwa codzienność?

Krakowska placówka od razu podjęła bardzo intensywną działalność. Koncerty odbywały się regularnie w sobotnie popołudnia i niedzielne poranki, wkrótce pojawiły się spotkania dla młodzieży, później letnie wieczory z muzyką na dziedzińcu Collegium Maius. Odbywały się także rozmaite akademie, jubileusze, rocznice oraz – w zgodzie z duchem tamtych czasów – koncerty dla żołnierzy, urzędników, świata pracy, robotników... Powstał pierwszy zespół kameralny artystów filharmonicznej orkiestry: występujący potem przez długie lata Kwartet Krakowski. Do Krakowa zaczęli przyjeżdżać goście z zagranicy, a jeszcze w 1945 roku zorganizowano Festiwal Polskiej Muzyki Współczesnej. Zwłaszcza w początkowym okresie nienasycenia po latach okupacji w repertuarze królowała muzyka polska – w tym także prawykonania, m.in. *Grunwaldu* Jana Maklakiewicza, utworów Grażyny Bacewicz, Artura Malawskiego czy *I Symfonii* Romana Palestra – którą z czasem zaczął równoważyć kanon klasyczny i romantyczny.

Najstarsze zachowane zdjęcie Orkiestry Filharmonii Krakowskiej, dzięki uprzejmości Filharmonii Krakowskiej

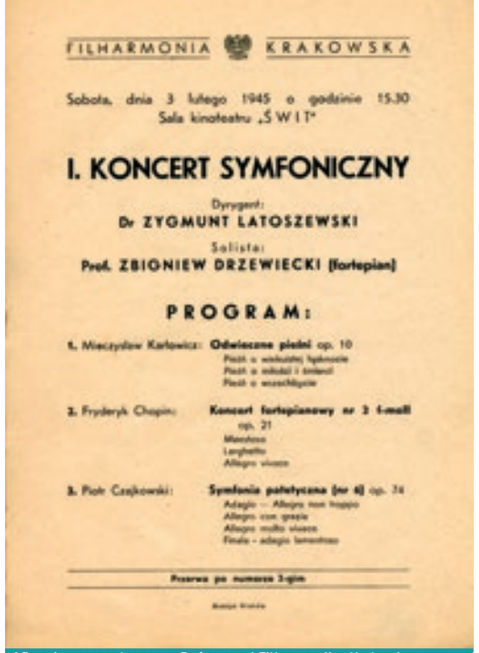

FILHARMONIA KRAKOWSKA

Sobota, dnia 3 lutego 1945 o godzinie 15.30
Sala kinoteatru „ŚWIT"

I. KONCERT SYMFONICZNY

Dyrygent:
Dr ZYGMUNT LATOSZEWSKI

Solista:
Prof. ZBIGNIEW DRZEWIECKI (fortepian)

PROGRAM:

1. Mieczysław Karłowicz: Odwieczne pieśni op. 10
Pieśń o wielkiej tęsknocie
Pieśń o miłości i śmierci
Pieśń o wszechbycie

2. Fryderyk Chopin: Koncert fortepianowy nr 2 f-moll op. 21
Maestoso
Larghetto
Allegro vivace

3. Piotr Czajkowski: Symfonia patetyczna (nr 6) op. 74
Adagio – Allegro non troppo
Allegro con grazia
Allegro molto vivace
Finale – adagio lamentoso

Przerwa po numerze 2-gim

Afisz pierwszego koncertu Państwowej Filharmonii w Krakowie, dzięki uprzejmości Filharmonii Krakowskiej

Trudno jednak żyć samą sztuką i entuzjazmem. Problemy bytowe i brak funduszy były dojmujące. Władze instytucji dbały, aby „przy jak najmniejszym kompromisie artystycznym wyciągnąć maksimum wpływów kasowych", jednak „wobec wygórowanych honorariów" z konieczności np. ograniczano udział w koncertach solistów czy gościnnych dyrygentów. W styczniu 1946 roku dyrektor Jan Maklakiewicz w piśmie do Zarządu Głównego Związku Muzyków RP pisał: „Stan finansowy Państwowej Filharmonii w Krakowie jest nadal bardzo ciężki. [...] przedświąteczny deficyt grożący zamknięciem stołówki zmusił nas do wystawienia fragmentów op. *Carmen*. Koncert ten spełnił pokładane w nim nadzieje, deficyt stołówki za miesiąc grudzień został pokryty".

W tej trudnej rzeczywistości brakowało też podstawowych „narzędzi pracy" muzyków, takich jak nuty, instrumenty czy płyty. Na ich zakup nie pozwalał zbyt skromny budżet, ale też trzeba pamiętać, że były to towary w Polsce trudno dostępne. „Zwracam się z gorącą prośbą, raz jako dyrektor Państwowej Filharmonii w Krakowie, po drugie – jako kompozytor. Trzeba nam pomocy Obywatela Ministra. Katastrofalny brak strun dla skrzypiec, altówek, wiolonczel, kontrabasów i harf grozi, może nawet już wkrótce, zanikiem zespołów orkiestrowych w Polsce" – apelował Maklakiewicz do ministra żeglugi i handlu zagranicznego z prośbą o sprowadzenie potrzebnych materiałów z Francji i Anglii.

Zdarzało się, że artyści pracowali za darmo. W swoim podsumowaniu sezonu 1945/1946 Jerzy Waldorff zwracał uwagę m.in. na działalność Chóru Filharmonii. Podkreślał zarówno wysoki poziom artystyczny zespołu, jak i bezinteresowność jego członków, którzy wzięli udział w dziesięciu koncertach, nie pobierając za nie wynagrodzenia... „jeśli nie liczyć kartek żywnościowych I kategorii i ulgowych biletów tramwajowych".

Krakowska filharmonia musiała mierzyć się także z poważnym problemem braku własnej sali koncertowej. Budynek przy ulicy Zwierzynieckiej należał wówczas do działającego równolegle kina Świt zarządzanego przez Film Polski, a termin na każde wydarzenie muzyczne trzeba było rezerwować z wyprzedzeniem. Skalę problemu obrazuje uszczypliwe pismo dyrektora Maklakiewicza do ministra informacji i propagandy: „Każdy piątkowy koncert odbywa się wieczorem zamiast ostatniego seansu kinowego w sali tak dusznej, cuchnącej, zaśmieconej, zaplutej, często zanieczyszczonej przez pijanych, że uprawianie muzyki w tych warunkach uważam za niedopuszczalne, a nawet przy cudzoziemskich solistach za szkodliwe dla opinii naszego kraju i Rządu. Dlatego dla dobra naszej kultury i stabilizacji powojennych stosunków proszę Pana Ministra 1) o wydanie natychmiast zarządzenia płk Fordowi w Łodzi [tam znajdował się zarząd Filmu Polskiego, którym kierował właśnie Aleksander Ford, późniejszy reżyser *Krzyżaków* – przyp. red.], ażeby w każdy piątek, w dniu koncertu, sala kina »Świt« była do dyspozycji Państwowej Filharmonii, żeby w tym dniu nie było żadnych seansów filmowych, 2) żeby z tego tytułu Państwowa Filharmonia nie potrzebowała pokrywać żadnych urojonych strat przedsiębiorstwu państwowemu »Film Polski«".

Mimo tych przeciwności losu u zarania swych dziejów (a może właśnie im na przekór?) Filharmonia Krakowska grała i gra dalej – już od 75 lat! Jubileuszowy sezon także naznaczony jest wieloma problemami: wobec trwającego remontu gmachu przy Zwierzynieckiej filharmoniczne koncerty „wędrowały" po salach całego Krakowa, a w obecnej trudnej sytuacji przeniosły się do internetu. Wyczekując powrotu lepszych czasów, nie przestajemy słuchać muzyki – bo czym byłoby życie bez wszystkich kolorów brzmienia orkiestry symfonicznej? **(bs)**

Tekst powstał w oparciu o monografię *75 lat Filharmonii im. Karola Szymanowskiego w Krakowie 1945-2020* autorstwa Anny Woźniakowskiej, Filharmonia im. Karola Szymanowskiego w Krakowie 2020.
www.filharmonia.krakow.pl

Mistrz wielu epok

Kompozytor, który nie mógł usłyszeć swoich dzieł, piewca ducha rewolucji pozostający z bliskiej przyjaźni z arystokratami, wiedeński klasyk i zarazem zwiastun romantyzmu – Ludwig van Beethoven to postać ulepiona ze sprzeczności.

Rok Beethovena – świętujemy 250. rocznicę jego urodzin – jest okazją do przypomnienia postaci i twórczości tego genialnego kompozytora, którego często postrzegamy jako roztargnionego jegomościa błądzącego w muzycznym zamyśleniu po ulicach Wiednia, zwykle w niedbałym stroju, bo bardziej niż kwestie mody zajmowały go problemy harmoniczne jakiegoś kwartetu czy koncertu. Ten obraz bywał prawdziwy, ale jak to w przypadku Beethovena – tylko w połowie. Austriacka stolica z przełomu XVIII i XIX wieku znała go także jako uczestnika zażartych kawiarnianych dyskusji, pożeracza gazet i uważnego komentatora rzeczywistości wyczulonego na wszelkie polityczne i społeczne wahania. A świat wokół niego zmieniał się niczym w kalejdoskopie: kiedy Beethoven miał osiemnaście lat, zaczęła się rewolucja francuska; gdy liczył lat pięćdziesiąt, w Anglii nabierała tempa napędzana parą rewolucja przemysłowa.

W tych dynamicznie rozwijających się czasach zmieniała się także pozycja artysty. Pierwszym chlebodawcą mieszkającego jeszcze w rodzinnym Bonn dwunastoletniego Beethovena był wprawdzie elektor koloński (podobnie jak jego ojca i dziadka, po którym Ludwig odziedziczył imię i nieprzeciętny talent), jednak wraz z przeprowadzką do Wiednia młody kompozytor stał się muzykiem niezależnym – jednym z pierwszych w historii.

W ślad za rewolucyjną podówczas wolnością od dworskich zobowiązań szła także rewolucyjna wolność poglądów. Beethoven, zwłaszcza w młodych latach, był sympatykiem rewolucji francuskiej, głosicielem idei równości i braterstwa, zagorzałym republikaninem i wrogiem serwilizmu. Demokratyczne poglądy nie przeszkodziły mu zawierać licznych znajomości wśród arystokratów i korzystać z ich wsparcia, także finansowego. Najpiękniejszym katalogiem jego mecenasów i wielbicieli, a bardzo często także serdecznych i wiernych przyjaciół, są dedykacje licznych dzieł: znajdziemy tu książąt Lichnowskiego, Razumowskiego, Lobkowitza, Kinskiego, Golicyna, hrabiów von Oppersdorffa i von Friesa, barona van Swietena czy arcyksięcia Rudolfa Habsburga.

Wiele z tych przyjaźni – opartych na partnerskich stosunkach, bowiem prawdziwie wolny artysta traktował szlachetnie urodzonych jak równych sobie – trwało całe lata. A przecież Beethoven nie był ideałem. Jego porywczość, małostkowość, skłonność do kłótni i narzekań, gburowatość i mizantropia tylko pogłębiały się z wiekiem. Na i tak już niełatwy charakter nałożyła się osobista tragedia: jeszcze przed 30. urodzinami Beethoven zorientował się, że zaczyna tracić słuch. Swoje największe dzieła, m.in. siedem z dziewięciu symfonii, *Koncert potrójny*, szereg sonat fortepianowych, w tym *Waldsteinowską* i *Appassionatę*, czy *Wariacje Diabellego*, skomponował, nie słysząc już nic lub prawie nic.

Historia, paradoksalnie, zaliczyła go – wraz z Haydnem i Mozartem – do trójki klasyków wiedeńskich, tymczasem Beethoven, choć wyrastał z klasycznego ducha, zwiastował już nadejście świata romantycznego. Komponując, nieustannie wybiegał w przyszłość, ważył się na to,

Beethoven Extreme, 27 sierpnia 2016, Capella Cracoviensis, fot. Tibor-Florestan Pluto

Ludwig van Beethoven na portrecie Josepha Karla Stielera, 1820

co dla innych kompozytorów jeszcze długo pozostawało niedostępne i niewyobrażalne. Jego geniusz po prostu nie mieścił się w jednej epoce. „Wielu słynnych artystów doskonaliło zastane formy i ci byli chętniej akceptowani przez sobie współczesnych; inni wytyczali nowe drogi – tworzyli rzeczy krzyczące innością, cenione dopiero przez potomnych. Trudno mówić, że Beethoven nie był ceniony za życia, ale zdecydowanie dopiero my mamy szerszy ogląd sytuacji i dlatego tak bardzo cenimy tego geniusza" – tłumaczy Jan Tomasz Adamus, dyrygent, klawesynista i organista oraz szef zespołu Capella Cracoviensis.

Na naszą wyobraźnię szczególnie mocno oddziałują Beethovenowskie symfonie. „Ranga tych dziewięciu partytur jest tak wielka, że nie znajduje analogii w twórczości żadnego innego kompozytora" – pisał w *Lekcjach muzyki* Piotr Orawski. By się o tym przekonać, wystarczy posłuchać tajemniczego *Allegretta* z *Siódmej symfonii*, posępnego marsza żałobnego z *Trzeciej*, burzliwego scherza z *Dziewiątej* czy radosnych sielankowych brzmień *Szóstej* („Pastoralnej").

Co więcej, żaden inny twórca nie zmienił tak gruntownie oblicza muzyki w ciągu zaledwie ćwierćwiecza – tu dzielącego *Pierwszą symfonię* (1799-1800) od *Dziewiątej* (1822-1824). Na czym polega ich nowatorstwo? – pytamy Jana Tomasza Adamusa, który kilka lat temu wraz ze swoim zespołem i zaproszonymi gośćmi podjął się wykonania wszystkich dziewięciu kompozycji w ciągu jednego dnia (siedem godzin muzyki, 90 instrumentalistów, 44 śpiewaków i 5 dyrygentów z 14 krajów; podczas *Beethoven Extreme* na widowni zasiadło łącznie 2300 osób!). „To łatwo samodzielnie odkryć – proponuję posłuchać którejkolwiek symfonii Josepha Haydna, jednej z ostatnich symfonii Wolfganga Amadeusa Mozarta, a potem na przykład *Szóstej symfonii* Beethovena, nie mówiąc o kolejnych, z *Dziewiątą* na czele" – radzi szef Capelli Cracoviensis. I co usłyszymy?

Zamiast rozbudowanych tematów melodycznych u Beethovena króluje drobny motyw liczący, jak w przypadku słynnego „motywu losu" w *Piątej symfonii*, wręcz tylko kilka nut – przetwarzany i rozwijany na najróżniejsze sposoby. Czynnikiem decydującym o charakterze i sposobie budowania dzieła staje się rytm, co dobrze słychać w rewolucyjnej *Trzeciej* („Eroice") czy nazwanej przez Wagnera „apoteozą tańca" *Siódmej*. Na podobny zabieg zdecydują się ponownie dopiero kompozytorzy XX wieku, by przywołać Ravelowskie *Bolero*.

Znaczenia nabiera kolorystyka instrumentalna. Wolumen brzmienia poszerza się – Beethoven dodaje do orkiestry całkiem nowe instrumenty (flet piccolo, kontrafagoty) lub uwalnia je z klasycznych ról. Kotły nie muszą już więc brzmieć razem z trąbkami (*Dziewiąta*), samodzielną melodię mogą prowadzić wiolonczele (*Piąta*) czy kontrabasy (znów *Dziewiąta*), a z ukrywanej dotąd agresywności i siły grupy dętej blaszanej należy uczynić atut (*Druga*).

Uświęcona czteroczęściowa forma klasycznej symfonii dla Beethovena okazuje się jedynie punktem wyjścia do dalszych innowacji: w „Eroice" kompozytor wprowadza wspomniany już marsz żałobny, a tradycyjnego menueta zastępuje scherzem (co za bunt przeciwko wiedeńskiej tradycji!). *Szósta symfonia* ma pięć zamiast czterech części, a *Dziewiąta* jest pierwszą w historii symfonią wokalno-instrumentalną (ten pomysł rozwijali później Berlioz, Liszt, Mendelssohn czy Mahler, a do perfekcji doprowadzili Penderecki i Górecki).

Czy dzisiejszy świat, żyjący szybko i bez refleksji, wciąż potrzebuje Beethovenowskich symfonii? Odpowiada szef Capelli Cracoviensis: „Dla mnie absolutnie niezwykłe jest zjawisko symfonii jako sytuacja ludzka: kilkadziesiąt osób siada wspólnie razem na scenie i gra abstrakcyjne dźwięki, których piękno nie pozwala się nikomu od nich oderwać. Jest w tym wszystkim jakaś niezwykła magia o magnetycznej sile. Oczywiście, że potrzebujemy Beethovenowskich symfonii. Potrzebujemy ich tak samo, jak całej wysokiej kultury z przeszłości, ponieważ dzięki niej możemy odważnie patrzeć w przyszłość. Bez Beethovena jesteśmy tak samo barbarzyńcami, jak bez starożytnej filozofii, dramatów Szekspira, poezji Rilkego czy malarstwa niemieckich ekspresjonistów". **(bs)**

Stuki i zgrzyty

Muzyki współczesnej nie trzeba się bać – przekonuje Jurek Dybał, dyrektor orkiestry Sinfonietta Cracovia.

Karnet: Co to właściwie jest muzyka współczesna?

Jurek Dybał: Zacznę przewrotnie – bo od słów specjalisty od muzyki dawnej Nikolausa Harnoncourta, który zżymał się na to określenie. A dlaczego? Bo wskazywał, także się zżymając, że w dzisiejszych czasach gra się przede wszystkim utwory „z muzeum". To sytuacja nowa na przestrzeni dziejów, bo w epoce Monteverdiego, Bacha, Mozarta, Beethovena, Chopina grano muzykę – no właśnie – współczesną! Współczesną tym twórcom! To określenie jest więc bardzo nieprecyzyjne, bo próbujemy nim dziś oddać i rodzaj muzyki, i czas jej powstania.

Używając potocznie terminu „muzyka współczesna", zwykle mamy na myśli kompozycje awangardowe, modernistyczne, atonalne, czyli osadzone poza systemem dur-moll, bez dobrze słyszalnej przez nas melodii, oparte na eksperymentalnych brzmieniach – w tym także np. stukach, zgrzytach, skrzypieniu – oraz powstałej z użyciem instrumentów elektronicznych lub niestandardowych.

Czy jest jakaś cezura, która wyznacza początek tej muzyki w dziejach?

Za moment przełomowy przyjmuje się działalność II szkoły wiedeńskiej, czyli Arnolda Schönberga i związanych z nim twórców. Zrezygnowali oni z systemu dur-moll na korzyść systemu dwunastodźwiękowego. Oparta na niemal matematycznych konstrukcjach czy też seriach dodekafonia była w pewnym sensie tworem sztucznym, lecz to nie przeszkodziło, by wyrażać w nim bardzo silne emocje, jak np. w jednym ze sztandarowych dzieł Schönberga, związanym z polską wojenną historią i likwidacją warszawskiego getta – *Ocalałym z Warszawy*.

Profesor Krzysztof Penderecki i Jurek Dybał, fot. Piotr Markowski

Pamiętajmy jednak, że muzyka atonalna czy nieoparta na systemie dur-moll nie jest wcale owocem naszych czasów. Jej echa znajdziemy w muzyce orientalnej i ludowej wielu kultur. Usłyszymy ją, gdy zagłębimy się w dzieła Palestriny i Monteverdiego czy muzykę jeszcze wcześniejszą – renesansową i średniowieczną. Początków podminowania systemu dur-moll można natomiast szukać już u Beethovena – w *Grosse Fuge*. Potem także u „nowodźwiękowca" Berlioza, u Wagnera i Debussy'ego, który został nawet usunięty z konserwatorium, bo komponował wbrew ówczesnym regułom. A po nich przyszedł wybuch neoromantyzmu u Gustava Mahlera, który dosłownie rozsadził system od środka. No i wreszcie: wielkie wydarzenie i wielki skandal – czyli Igor Strawiński i premiera jego *Święta wiosny* w paryskim Théâtre des Champs-Elysées. Wystawienie tego spektaklu przez balet Diagilewa było ogromnym szokiem. Gwizdano, rzucano przedmiotami, publiczność wychodziła z sali. Ten brutalizm w jego motorycznej, niemal prymitywistycznej muzyce był dla słuchaczy nie do zniesienia. Ba, pierwotnie źle przyjęte i wygwizdane zostało *Bolero* Ravela, którego możemy postrzegać niemal jako prekursora minimalizmu. Ten powtarzający się uporczywie schemat rytmiczny, ta repetytywność, od setek lat znana na przykład w muzyce indyjskiej, dla ówczesnych Europejczyków okazała się nie do zaakceptowania. I tu pięknie widać, że rzeczy, które my czasem uważamy za odkrywcze, wcale takie nie są, względnie są odkrywcze tylko na lokalnym rynku *(śmiech)*.

Czy dzisiaj coś mogłoby wywołać takie gorące emocje i tak zdecydowany sprzeciw?

Specjalistą od sprzeciwu był wielki Mistrz, mój mentor i założyciel orkiestry Sinfonietta Cracovia – zmarły niedawno Profesor Krzysztof Penderecki, którego wkład w dźwiękową historię świata jest nie do przecenienia. To jeden z nielicznych, niestety, polskich twórców, którzy zmienili oblicze światowej muzyki, dołożyli do jej dziejów własną, oryginalną cegiełkę. Jego *Tren – Ofiarom Hiroszimy* zapoczątkował całkiem nowy nurt: sonoryzm, który w bardzo stereotypowym postrzeganiu kojarzył się z muzyką trudną, eksperymentalną, obfitującą w dziwne dźwięki. Do tego Profesor Penderecki był jednym z prekursorów niestandardowych technik wydobywania dźwięków: grania pod podstawkiem instrumentów smyczkowych, czyli na przestrzeni do grania nieprzeznaczonej, uderzania czy stukania w pudło rezonansowe. Ten eksperymentalny trend zawędrował potem dużo dalej w połączeniu z ówczesną elektroniką. To był ogromny szok dla publiczności, a i dla muzyków! Profesor mówił mi kiedyś, jak bardzo cieszy się, że jego dzieła, także te z wczesnego, najbardziej awangardowego okresu, gra się już jak „normalną" muzykę. Wspominał, że przeciwko jego kompozycjom protestowały nawet najlepsze orkiestry, bywało, że muzycy wychodzili z sali. A w późniejszej fazie twórczości odwrócił się od skrajnej nowoczesności ku bardziej tradycyjnym wzorcom (choć przecież cały czas dokonywał mistrzowskiej syntezy „nowego" ze „starym"). Ta zmiana z kolei oburzyła awangardystów – i znów szok, tym razem jakby *à rebours*. O tak, Profesor Penderecki był ekspertem od szokowania!

Sinfonietta Cracovia i Jurek Dybał podczas prób do *Muzyki bez poklasku*, fot. Piotr Markowski

Czy szokująca muzyka XX i XXI wieku nie zasługuje na brawa? Skąd wzięła się *Muzyka bez poklasku*?

Misja popularyzowania muzyki współczesnej była zawsze bardzo bliska orkiestrze Sinfonietta Cracovia, więc sześć lat temu stworzyliśmy ten cykl, który gramy – zawsze przy pełnej sali – w MOCAK-u, w nowoczesnych wnętrzach i w otoczeniu nowej sztuki. Podczas tych koncertów kontemplujemy muzykę tak, jak sztukę współczesną – czyli jej nie oceniając, stąd tytuł cyklu. Ekspert lub prowadzący koncert w krótkich komentarzach wprowadzają publiczność w jego tematykę – tłumaczą, o co tutaj właściwie chodzi. Po zakończeniu utworów, a nawet całego koncertu powstrzymujemy się od braw.

Prezentujemy w ten sposób różne nurty muzyki współczesnej – zaczynaliśmy od II szkoły wiedeńskiej, mieliśmy Arvo Pärta, muzykę polską, czeską, edycję poświęconą Warszawskiej Jesieni. Ten cykl cieszy się ogromną popularnością i to mój ogromny powód do dumy. Przy okazji którejś odsłony okazało się, że przed wejściem do muzeum stoi „konik" i – co wręcz niewyobrażalne – sprzedaje bilety na nasz koncert z muzyką współczesną! Oczywiście, to zachowanie naganne i niezgodne z prawem, ale zarazem odebrałem to trochę jak komplement *(śmiech)*.

A dlaczego bez poklasku? Ta muzyka nie ma się podobać?

Chodzi o to, żeby jej w ogóle tak nie kategoryzować. Ona ma przemawiać, poruszać – albo właśnie nie poruszać. Jeśli jest nudna, to niech będzie nudna do przesady! W ogóle nie oceniamy jej z punktu widzenia estetyki. Chcemy pozostawić otwarte forum do dyskusji, więc po koncercie można przyjść do nas i powiedzieć: „To mnie oburzyło" albo „Też bym tak potrafił napisać". A najbardziej nas cieszy, kiedy ktoś mówi, że stracił tyle czasu i możliwości, bojąc się tej muzyki. Więc apeluję: nie bójmy się, nawet więcej, próbujmy z tą muzyką zapoznawać dzieci. W obecnym czasie, gdy kultura przeniosła się z konieczności do świata cyfrowego, przygotowujemy dla najmłodszych internetowe *Sinfonietkowe karaoke* z piosenkami m.in. Jerzego Wasowskiego, ale też Witolda Lutosławskiego, czy fragmentami z opery dziecięcej Krzysztofa Pendereckiego *Najdzielniejszy z rycerzy* – zapraszamy do wspólnego śpiewania.

Od czego przygodę z muzyką nową powinien zacząć ktoś, kto nigdy wcześniej nie miał z nią do czynienia?

Najważniejsze to słuchać bez uprzedzeń i z otwartą głową. A jeśli chodzi o tytuły, poleciłbym wspomnianą już kompozycję Schönberga *Ocalały z Warszawy*. Zapraszam na nasz kanał YouTube, gdzie w ramach akcji wirtualnych koncertów „Muzyką w wirusa" prezentujemy m.in. dzieła Profesora Pendereckiego: *Muzykę na flety proste, marimbę, perkusję i smyczki* (możliwość jej pierwszego polskiego wykonania była prezentem na nasze 25-lecie) czy *Anaklasis* w multimedialnej oprawie Daniela Stryjeckiego. Skoro jesteśmy przy Maestro, to jeszcze koniecznie *Agnus Dei* z *Polskiego requiem* i *Concertino per tromba e orchestra*. Ten ostatni utwór, który prawykonaliśmy w Centrum Kongresowym ICE Kraków ze wspaniałym trębaczem Gáborem Boldoczkim, świetnie trafia do publiczności, jest zwięzły i ma ogromną dramaturgię. Nagraliśmy go też dla Sony Classical – polecam! Do listy do słuchania dorzuciłbym jeszcze Lutosławskiego *Chantefleurs et chantefables* i *Małą suitę*, czyli muzykę ludową w spojrzeniu innego mistrza XX wieku. Co jeszcze? Oczywiście John Cage i jego *4'33"* – jeśli macie państwo chwilę czasu, a dokładnie cztery minuty i trzydzieści trzy sekundy; ten utwór ma dodatkowo tę zaletę, że można go słuchać w absolutnie dowolnym miejscu na pełny regulator!

Rozmawiała Barbara Skowrońska

www.sinfonietta.pl

Funk gra w każdym

O narodzinach małej orkiestry, o właściwościach muzyki i o tym, że miejsce PESEL-u jest w dowodzie, nie na parkiecie, w ramach cyklu *DIY po krakowsku* opowiada Jakub Byczek, gitarzysta zespołu Mikrokosmos.

Karnet: O powstaniu wszechświata mówi teoria Wielkiego Wybuchu. Jaka historia stoi za Mikrokosmosem?

Jakub Byczek: Na początku było słowo... Na pewnej imprezie w 2015 roku spotkali się perkusista Wojtek i basista Dawid. Tam narodziła się idea założenia zespołu funkowego, jednak na Mikrokosmos trzeba było jeszcze trochę poczekać. Później do składu dołączali kolejno: gitarzysta Kuba, wokalista Łukasz i klawiszowiec Krzysiek. Jako ostatni nasze szeregi zasilił Daniel Kusak, VJ (Virtual DJ), od niedawna magister ASP we Wrocławiu. Obecnie Mikrokosmos poszerzony jest o sekcję Al'Dęte, w której skład wchodzą: Radosław Mosurek (trąbka), Sławomir Butrym (saksofon), Filip Zgorzelski (puzon), a od niedawna podróżuje z nami również Michał Cymer, który zajmuje się realizacją dźwięku. Przy takim tempie za dwa lata będziemy mieć pełnokrwistą orkiestrę!

Plany planami, ale podejmujecie również konkretne działania i mówi się o was już nie tylko w Krakowie. Gracie w miastach małych i dużych, uaktywniliście się w mediach społecznościowych. Co was napędza?

Nazwa zespołu nawiązuje do myśli, że muzyka łączy ludzi i wiąże różne rzeczywistości w obrębie naszej wspólnej planety. Pomimo dzielących nas różnic dążymy do jedności. Mikrokosmos to wypadkowa naszych światów z disco-funkowym mianownikiem, w warstwie lirycznej odnosząca się do pewnych subiektywnych przeżyć i energii, jaka emanuje z otoczenia. Funk nie sprowadza się wyłącznie do egzaltowania się radością i miłością, ale na przestrzeni lat był narzędziem walki z rasizmem, nierównościami i wykluczeniem społecznym. Mając to na uwadze, staramy się oddawać pełne spektrum gatunku.

No właśnie, funk wywodzi się ze środowisk afroamerykańskich, kojarzony jest z innowacjami zapoczątkowanymi przez legendarnego Jamesa Browna, wy natomiast śpiewacie po polsku. Nie kusi was angielszczyzna?

Kiedyś uważałem, że do takiej muzyki pasuje wyłącznie język angielski. Jednak z czasem doszło do mnie, że fajnie wiedzieć, o czym się słucha. Co więcej, tekst ma oddziaływać na słuchacza na równi z muzyką w czasie rzeczywistym. Ciężko utożsamić się z językiem, w którym na co dzień nie wyraża się emocji. Najtrudniejsze w takiej muzyce to znaleźć sposób na komunikację ze słuchaczem, później jakoś leci. Dba o to Łukasz Klec, który jest architektem warstwy tekstowej Mikrokosmosu. Dodatkowo mamy wiele dobrych wzorców na polskim podwórku: Włodek „Paprodziad" Dembowski z zespołu Łąki Łan, który polskimi tekstami maluje inną rzeczywistość, Jarecki z Grubsonem, którzy pomimo rapowego sznytu w R&B pływają jak ryby w wodzie, a z nowości – Bartek Królik, na którego ostatniej płycie można usłyszeć funk i soul po polsku w krystalicznie czystej postaci.

Mikrokosmos, fot. Patryk Hodyl (KSAF AGH)

Nie ograniczacie się jednak do warstwy tekstowej i podczas koncertów zabieracie nas do „neonowej dżungli". Jak ważne w waszej twórczości są elementy wizualne?

W XXI wieku, gdy telefon jest niemal przyspawany do człowieka, sfera audio jest nierozerwalnie związana z obrazem. Chcemy, by muzyka wraz z wizualizacjami stanowiły spójną kompozycję Mikrokosmicznego świata. Nie bez powodu jednym z członków zespołu jest Daniel Kusak, który podczas naszych koncertów odpowiada za tworzenie wizualizacji w czasie rzeczywistym. Dźwięk, obraz i wartość merytoryczna to trzy fundamenty każdego występu na żywo.

Cieszycie się szczególną popularnością wśród studentów – to w końcu dobrze wam znane środowisko. Co z innymi? Myślicie, że szalony kosmiczny funk ma szansę przekonać starszego odbiorcę?

Na największą popularność wśród ludzi akurat w tym przedziale wiekowym zapewne wpływają w dużej mierze media społecznościowe, w których staramy się aktywnie działać. Myślę, że niezależnie od PESEL-u w Mikrokosmosie każdy znajdzie coś dla siebie. Funk gra w każdym, tylko trzeba dać mu się porwać. Przez ostatni rok koncertowaliśmy dość prężnie i zdarzały się nam występy dla mocno zróżnicowanej publiczności. O dziwo, społeczność studencka mogłaby się niejednego nauczyć od czterdziestolatków.

Niestety, po owocnych miesiącach – wśród wspomnianych koncertów było kilka krajowych przeglądów, ale też występy w Czechach czy na Ukrainie – w tym roku ze względu na rozprzestrzenianie się koronawirusa musieliście szybko zrewidować plany. Ale to chyba nie oznacza, że próżnujecie?

Na chwilę obecną zawiesiliśmy spotkania *face to face*. Szczęśliwie dla nas XXI wiek daje narzędzia, dzięki którym możemy sporo zrobić, nie ruszając się z domu. Dodatkowo jesteśmy na etapie produkcji nadchodzącej epki, dlatego wszelkie pomysły możemy realizować zdalnie. Co do nowych kompozycji, tworzymy i nagrywamy w domowych pieleszach, wymieniając się pomysłami, dlatego pomimo kwarantanny praca wre.

Wspomnieliście o epce – krótkie klipy z sesji nagraniowej można było niedawno znaleźć na waszym Facebooku. Kiedy możemy spodziewać się debiutu fonograficznego? Zastanawiam się, jak zamierzacie przenieść energię z koncertów na krążek.

Na początku stycznia zarejestrowaliśmy materiał na epkę w Prusiewicz Studio w podkrakowskich Owczarach. Obecnie jesteśmy na etapie produkcyjnego wykańczania numerów, czyli największej dłubaniny. Epka z pewnością ukaże się w tym roku. A longplay? To się okaże. Mamy kilka ciekawych pomysłów, na których realizację musimy jednak trochę poczekać. Jeśli chodzi o przeniesienie energii ze sceny na płytę – nie ma o co się martwić. Każdy z nas daje z siebie sto procent zarówno na scenie, jak i po wciśnięciu guzika „record". Oczywiście płyta rządzi się swoimi prawami, dlatego poczyniliśmy pewne zabiegi aranżacyjne celem krystalizacji naszej energii na „cedeku".

Płyta to krok nie pierwszy, ale i nie ostatni. Jesteście wciąż na etapie wydeptywania ścieżek w branży. Czy pomógł wam w tym udział w projekcie Tak Brzmi Miasto: Inkubator?

Możliwość absorbowania wiedzy od takich osób, jak Daga Gregorowicz, Agata Trafalska, Paweł Hordejuk, Leszek Biolik, Bartosz Stawiarz czy Bartek Borowicz była milowym krokiem naprzód w zrozumieniu rynku muzycznego od kuchni. Człowiek uczy się na błędach, jednak z odpowiednią wiedzą niektórych z nich można uniknąć lub nie powielać. Inkubator bezsprzecznie poszerzył nasze wiadomości w tym zakresie. Osoby, z którymi mieliśmy możliwość się spotkać, wskazały nam kierunki i rozwiązania, na które być może nigdy byśmy sami nie wpadli. Pomoc od strony zarządzania, managementu i bookingu w tym przypadku jest nie do przecenienia. Dodatkowo warto pamiętać, że Inkubator to też społeczność. Dzięki tej inicjatywie poznaliśmy wielu muzyków, menadżerów, którzy działają w różnych miejscach Polski. Nawiązaliśmy wiele wartościowych znajomości, poszerzając tym samym własną biblioteczkę muzyczną. Polska scena aż kipi od znakomitych twórców.

Poznajecie ludzi z branży, udzielacie się na innych frontach (np. w radiu). Jednak wiele czasu, także tego wolnego, spędzacie ze sobą. Jak to wpływa na zespół? Czujecie się pewniejsi na scenie?

W radiu, muzycznie w pobocznych projektach, w Centrum Technologii Audiowizualnych we Wrocławiu i w krakowskim MOCAK-u – dość spore spektrum. Jednak Mikrokosmos trzyma nas ze sobą nie tylko miłością do funku, ale i przyjaźnią. Bardzo ważne jest dla funkcjonowania zespołu, aby być razem nie tylko na scenie. Właśnie to zżycie pomaga nam przetrwać trudne momenty, wspierać się nawzajem i pchać ten wózek wspólnymi siłami cały czas do przodu. I wydaje mi się, że to przenosi się także na scenę. Niech funk będzie z wami!

Rozmawiał Bartosz Suchecki

KLUB STUDIO

KLUB STUDIO
BUDRYKA 4

różnorodny repertuar, unikalny klimat
oraz twórcza atmosfera

grali już u nas:
EDITORS, THE PASSENGER, LAMB OF GOD,
URIAH HEEP, SABATON
oraz TACO HEMINGWAY, LAO CHE, T. LOVE,
FISZ EMADE TWORZYWO, KRZYSZTOF
ZALEWSKI i BASS ASTRAL x IGO

KLUB ZAŚCIANEK
ROSTAFIŃSKIEGO 4

ZAŚCIANEK to klub legenda. Jego scena przywykła do spotkań z całą paletą rockowych dźwięków, od tych brzmiących balladowo, przez punk-rock po black-metal.

KLUB GWAREK
REYMONTA 17

To tu, w niepowtarzalnej atmosferze, organizowane są spotkania z szeroko pojętą kulturą: muzyką, teatrem, kabaretem czy filmem.

BILETY I INFO NA
WWW.KLUBSTUDIO.PL
WWW.KLUBZASCIANEK.PL
WWW.KLUBGWAREK.PL

Poszukiwaczka dźwięków

Entuzjastom jazzowej wokalistyki rekomendujemy wyróżniony Nagrodą Grammy album *The Window*, który Cécile McLorin Salvant nagrała z pianistą Sullivanem Fortnerem. McLorin to trzykrotna laureatka Grammy, uważana za spadkobierczynię słynnych wokalistek jazzowych – Elli Fitzgerald, Billie Holiday i Sarah Vaughan. Sama określa swoją muzykę jako mieszankę jazzu, bluesa, folku i melodii wodewilowych. Jest jednocześnie zaangażowaną poszukiwaczką zaginionych dźwięków – jej ulubione utwory to te mało znane czy wręcz zapomniane. Stara się je przywracać słuchaczom we własnych wersjach. Oprócz tego, że przypomina już znane kompozycje, pisze także własne utwory; śpiewa po angielsku, hiszpańsku i francusku. Jej wykonania są zawsze pełne uważności i przejmujących emocji. Artystka demonstruje je czasami z powagą i dobitnością aktorki niemego kina, a czasami z wodewilową zaczepnością. **(Grzegorz Motyka, Stowarzyszenie Artystyczno-Edukacyjne Jazzowy Kraków)**

The Window, Cécile McLorin Salvant, Mack Avenue 2018

Cécile McLorin Salvant, fot. Mark Fitton

Serce jazzu

Jakież wielkie serce musiał mieć legendarny krakowski saksofonista Janusz Muniak (1941-2016), skoro Włodzimierz Nahorny już na swoim pierwszym autorskim albumie *Heart* (!), nagranym w triu w roku 1967, centralny utwór nazwał *Serce Muniaka*. Potem już na zawsze do Muniaka przylgnął piękny zwrot czy określenie, że jest on „sercem polskiego jazzu". Jego czołowi młodzi partnerzy, uczniowie, a zarazem przyjaciele z ostatnich 20 lat współpracy głównie w Jazz Clubie U Muniaka nagrali ostatnio piękną płytę – hołd dla swojego mentora. Oddaje ona całego ducha kunsztu i klimatu ich współpracy. Ma się wrażenie, że za chwileczkę do saksofonistów Grzegorskiego i Ślusarczyka dołączy Jasiu – bo też często grywali na „trzy rury" i mieli specjalne wspólne programy. Utwory nagrane na płytę to sztandarowe kompozycje z klubowego repertuaru Muniaka nagrane w znakomity, klasyczny sposób. Płyta jest ważnym świadectwem prawdy i piękna rasowego jazzu, jakie przekazywał Muniak – jego krakowski kustosz i mistrz. **(Witold Wnuk, Cracovia Music Agency)**

To Muniak with Love, Grzegorski/Ślusarczyk/Białowolski/Adamczak/Skolik, Jazz Sound 2019

Medium dla ludu

Moja propozycja może będzie nieco upiorna, ale przypomniał mi się w tym szczególnym czasie trzypłytowy album *People Take Warning! Murder Ballads & Disaster Songs*. To kolekcja bluesowych i folkowych pieśni, którymi żyła Ameryka w latach 1913-1938, a więc między innymi w czasach Wielkiego Kryzysu. Nie służyły rozrywce, były raczej czymś w rodzaju mediów dla ludu. Rozpowszechniały informacje – i oczywiście plotki – o wszelakiego rodzaju nieszczęściach. Od tych, które zgotowała człowiekowi natura (mamy tu relacje z powodzi i trzęsień ziemi, wspomnienia zabójczych cyklonów, ale i utwór o epidemii grypy w Memphis), przez związane z technologią (są więc i lamenty nad losem pasażerów Titanica, i historie katastrof kolejowych czy lotniczych), aż po krzywdy, które ludzie wyrządzali sobie nawzajem. Forma tych utworów trąci myszką, jakość daleka jest od doskonałej, ale emocje zawarte w muzyce i słowach ani trochę się nie zestarzały. W powstanie tej kompilacji zaangażowany był Tom Waits – przynajmniej wiadomo, skąd czerpie inspiracje do własnych ponurych opowieści. **(Jarek Szubrycht, „Gazeta Wyborcza" / „Gazeta Magnetofonowa")**

People Take Warning! Murder Ballads & Disaster Songs, różni wykonawcy, Tompkins Square 2007

Baśń na teraźniejszość

To będzie rekomendacja dla melancholików, żeby w czasach, w których trzeba się krzepić, nie zapomnieli o drapiącym pazurze – bo to on daje im poczucie, że żyją. Ode mnie dla was: Heidrik i jego *Funeral*. Ogromna porcja pięknego autorskiego smutku. Chłopak szepcze, nuci i śpiewa z nienaganną emisją. Trochę baśni, trochę prawdy: o niedobrej miłości, potworach i gęstym lesie samotności. Do tego pięknie zaaranżowane smyczki, misternie wyreżyserowane plany, dużo teatru i jesteśmy w innym świecie. Nie lepszym, nie gorszym, ale z pewnością ciekawszym. **(Paulina Bisztyga, Off Radio Kraków / Radio Kraków)**

Funeral, Heidrik, wyd. własne 2016

Heidrik, fot. dzięki uprzejmości artysty

NA KŁOPOTY – TRĄBKA

W czasach, gdy świat na chwilę się zatrzymał, a my zanurzamy się w pierzyny i rozciągamy w fotelach, warto wyrwać się z czterech ścian za pomocą muzyki. Niech sposobem na jeden z leniwych momentów będzie dźwięk trąbki.

Ścieżka dźwiękowa do filmu *Osierocony Brooklyn* ukazała się w dwóch wersjach – idealnie nadaje się więc na długi wieczór. Szczególnie polecam płytę, na której dominuje zespół Wyntona Marsalisa. Jazzowe standardy mieszają się tu z nowymi kompozycjami, a dźwięk trąbki lidera przenosi nas w lata 50. XX wieku do jednego z zadymionych klubów jazzowych Nowego Jorku. Ciekawostką jest utwór *Daily Battles* stworzony specjalnie na potrzeby filmu przez Thoma Yorke'a (Radiohead), w którym gościnnie zagrał na trąbce Flea, znany przecież głównie jako gitarzysta basowy zespołu Red Hot Chili Peppers. Nie da się przeoczyć również instrumentalnej interpretacji tego utworu, którą polecam szczególnie miłośnikom smutnych melodii. Dopełnieniem tej muzycznej układanki jest udział Daniela Pembertona, jednego z bardziej zapracowanych obecnie brytyjskich kompozytorów muzyki filmowej, którego kreatywność prezentuje się w całej okazałości szczególnie na drugiej płycie ze ścieżką dźwiękową, ale to już zupełnie inna historia.

Muzyka z filmu *Osierocony Brooklyn* skrywa wiele ciekawych wątków, warto poświęcić chwilę i odkryć je samemu. A może znajdzie się jeszcze czas na obejrzenie filmu Edwarda Nortona? **(Michael Łyczek, Krakowskie Biuro Festiwalowe, menedżer cyklu ICE Classic)**

Motherless Brooklyn (Original Motion Picture Soundtrack / Score), różni wykonawcy, WaterTower Music 2019

PROFANUM MORRICONE

Tego kompozytora nikomu w Krakowie przedstawiać nie trzeba, ale czy na pewno dobrze go znacie? Słyszycie Ennio Morricone, myślicie: Sergio Leone, spaghetti western, *Frantic*, *Nietykalni*, *Misja*, a nawet *Nienawistna ósemka*? Posłuchajcie więc *Crime and Dissonance*. Jak to możliwe, że włoski maestro jest jedną z najważniejszych inspiracji alternatywnych mistrzów: Alana Bishopa, Johna Zorna czy Mike'a Pattona? Odpowiedź znajdziecie na tym dwupłytowym albumie. Pierwszy go skompilował, drugi opisał, a trzeci wydał. *Zbrodnia i dysonans* jest szansą na poznanie zupełnie innego oblicza Morricone – odważnego, eksperymentującego, dowcipnego, hałasującego awangardzisty i improwizatora, który komponował też muzykę do komedii, fars, horrorów (w tym Daria Argento) czy erotyków (nie słuchajcie tego przy dzieciach!). Gitarowy zgiełk, ciężki oddech, krzyki, jęki, psychodelia, muzyka konkretna – to wszystko tu jest, i zaaranżowane tak, że wciąga bez reszty. Polecam ze wszech miar, również jako idealny wstęp do twórczości Gruppo di Improvvisazione Nuova Consonanza – awangardowo-improwizowanego ansamblu (obecnego również na albumie), którego Morricone był członkiem w tych samych latach, z których pochodzą skompilowane utwory, czyli od połowy lat 60. do początku lat 80. I nagle płynnie przeszliśmy do Sacrum Profanum... Niczym innym ta płyta nie jest – to największe profanum, jakie napisał Ennio „Sacrum" Morricone. **(Krzysztof Pietraszewski, kurator festiwalu Sacrum Profanum)**

Crime and Dissonance, Ennio Morricone, Ipecac Recordings 2005

O Holenderka!

Tak czułem, że to będzie dla mnie ostatni koncert na długo, być w może w całym roku. Tym cenniejsza wydawała się każda minuta krótkiego setu, który Eefje de Visser dała pod koniec lutego w warszawskim Palladium. Holenderka grała samotnie jako support przed belgijską grupą Balthazar. Jednak nie tylko ja przyszedłem tam głównie dla niej – pięciu Belgów po jakimś czasie zostawiliśmy samym sobie i z kolegą poszliśmy złapać ją przy stoisku z gadżetami, aby podziękować za występ, za nową płytę i za trzy poprzednie. Eefje pięknie śpiewa i pięknie komponuje. A dochodzi do tego jeszcze język niderlandzki, który w muzyce ujmuje nie mniej niż skandynawskie. **(Mariusz Herma, „Polityka" / beehy.pe)**

Bitterzoet, Eefje de Visser, Sony Music 2020

Eefje de Visser, fot. Lonneke van der Palen

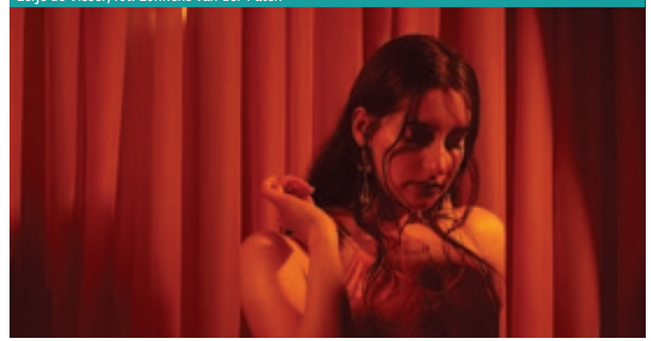

Nostalgia z przesłaniem

Albumu *All Things Must Pass* słucham pasjami, w każdym momencie, kiedy potrzebuję odrobiny oderwania od rzeczywistości i inspiracji w szukaniu wewnętrznego spokoju. Powracając do niego nieustannie od kilku lat, nie zdawałam sobie sprawy, że zawarte na nim piosenki wraz z tekstami, a wreszcie przecież sam tytuł płyty (*Wszystko przemija*) staną się tak aktualne w obecnych czasach – pandemii, kwarantanny i codziennego lęku o to, co przyniosą kolejne dni. Ciepłe i intrygujące dźwięki przestrojonej gitary, charakterystycznej dla hipisowskich utworów przełomu lat 60. i 70., koją nawet najsilniej targane niepokojem zmysły. Pozwalają na chwilę zapomnienia i nostalgiczną wyprawę w czasy, które nam – tym, którzy ich nie przeżyli – kojarzą się z radosną beztroską, bez internetu, telefonów komórkowych i skutków globalnego ocieplenia. Polecam włączyć ten album, oddać mu się w całości i skupić się na całej masie ważnych przesłań, które niesie nam na obecne trudne czasy. Jakich? Nie będę ich wskazywać, na pewno każdy znajdzie te dla niego najsilniejsze i najbardziej istotne. **(Joanna Pichola, Krakowskie Biuro Festiwalowe, menedżer Festiwalu Muzyki Filmowej w Krakowie)**

All Things Must Pass, George Harrison, Apple Records 1970

Niezniszczalne

Zawsze trzymam kciuki za tych, którzy mają pod górkę, z podziwem obserwuję więc drogę, którą od 25 lat kroczą w zdominowanym przez mężczyzn rockowym świecie Corin Tucker i Carrie Brownstein z zespołu Sleater-Kinney. Nie grają bezpiecznie – chwytliwe melodie chowają za jazgotem gitar, a swoje racje raczej wykrzykują, niż wyśpiewują. Nie stronią też od tematyki kontrowersyjnej (polityka) i bolesnej (osobiste porażki). Przedstawiony na płycie *The Center Won't Hold* świat (i ten wielki, i ten prywatny) jest rozbity, podzielony, wypełniony poczuciem bezsilności, złością. A one znów krzyczą „nie!". Tą niezgodą najpierw zdobyły moje serce, a potem uszy. Kiedy po ukończeniu najnowszego albumu z zespołu odeszła wieloletnia perkusistka Janet Weiss, Corin i Carrie zacisnęły zęby, wypełniły lukę i ruszyły w trasę. Bo grają po to, żeby walczyć. My też będziemy musieli – po powrocie do naszego normalnego zabieganego życia będzie trudniej, niż było. A niektórym jeszcze trudniej.

PS Jeśli kwarantanna się przedłuży, S-K ma w dorobku osiem innych longplayów – to dyskografia, w której nie znajdziemy słabych punktów! **(Bartosz Suchecki, Krakowskie Biuro Festiwalowe, „Karnet")**

The Center Won't Hold, Sleater-Kinney, Mom + Pop 2019

W JAKIM JĘZYKU ŚPIEWAJĄ DRZEWA?

Wood Wide Web jest w uproszczeniu podziemnym systemem grzybów i drzewnych korzeni. Technicznie służy m.in. do komunikacji między roślinami. Jak brzmiałaby owa tkanka, gdy dać jej prawo do generowania dźwięków? Odpowiedzi na to pytanie szuka producent i kompozytor Pantha du Prince. Jego najnowszy album obfituje w organiczne brzmienia przecierane subtelną, klubową elektroniką. Jest tutaj ciepło, jasno i wilgotno. I choć Tadeusz Gicgier pisał w jednej z fraszek, że „na świecie coraz jest głośniej, nie słychać, jak trawa rośnie", to jednak istnieją metody na ciekawskie przyłożenie ucha. Album *Conference of Trees* jest tego dowodem. **(Eta Hox, Off Radio Kraków)**

Conference of Trees, Pantha du Prince, Modern Recordings 2020

Sleater-Kinney, fot. Nikko La Mere

Więcej niż scena

W poszukiwaniu nowych sposobów komunikacji z widzem współczesny teatr burzy czwartą ścianę i przekracza wyznaczone przez nią granice. Coraz częściej oferuje także przestrzenie, które przybliżają teatralną materię. Czas je poznać!

W ostatnich latach na kulturalnej mapie Krakowa pojawiły się dwa tego typu obiekty: utworzony w miejscu dawnego Muzeum Starego Teatru **MICET Muzeum Interaktywne / Centrum Edukacji Teatralnej** i należący do Teatru im. Juliusza Słowackiego **Dom Rzemiosł Teatralnych** przy ul. Radziwiłłowskiej, a na 2021 rok zaplanowano otwarcie ulokowanego w dawnym Zespole Szkół Elektrycznych na os. Szkolnym **Domu Utopii**, czyli kolejnej inicjatywy Łaźni Nowej. Przyjrzyjmy się, jakie idee przyświecały ich twórcom, jaką pełnią funkcję i co oferują miłośnikom teatru – i nie tylko!

Dialog z widzem

„Tworząc MICET, od początku myślałam o tym, że nadszedł czas, by nasza publiczność miała możliwość innego doświadczania teatru. Nowe technologie umożliwiły nam tworzenie aplikacji, dzięki którym widz może stać się uczestnikiem różnych sytuacji teatralnych. W tym celu poprosiliśmy o pomoc ponad pięćdziesięciu znakomitych twórców związanych ze Starym Teatrem: reżyserów, aktorów, scenografów, kompozytorów i choreografów. Dzięki ich wypowiedziom i fragmentom nagrań z tworzonych przez nich spektakli mogliśmy zbudować różnorodne sytuacje, które wprowadzają odbiorcę w niuanse pracy artystycznej nad dziełem teatralnym" – wyjaśnia pomysłodawczyni i kuratorka MICET-u Anna Litak. Jak to wygląda w praktyce?

Ekspozycja znajdująca się w podziemiach budynku narodowej sceny została podzielona na siedem niewielkich pomieszczeń tworzących sieć osnutą wokół archiwalnych i współczesnych przedstawień Starego Teatru. W każdym z nich znajdziemy część edukacyjną oraz program ćwiczeń warsztatowych przeznaczonych dla zorganizowanych grup.

Mamy możliwość zgłębienia procesu pracy pięciu wybitnych reżyserów Starego Teatru: Jerzego Jarockiego (na przykładzie *Ślubu* Gombrowicza, 1991), Andrzeja Wajdy (*Makbet* Szekspira, 2004), Krzysztofa Warlikowskiego (*Krum* Levina, 2005), Krystiana Lupy (*Factory 2*, 2008) i Jana Klaty (*Wróg ludu* Ibsena, 2015). A to tylko początek drogi, którą przemierzamy!

Specjalnie przygotowane **aplikacje** wciągają nas do świata wyobraźni zarówno reżyserów, jak i aktorów, scenografów, autorów muzyki i choreografii, inspirując do samodzielnych działań twórczych w przestrzeniach interaktywnej wystawy. Dzięki temu uczestnicy zwiedzania mogą sami tworzyć ścieżki dźwiękowe, dowiedzieć się, jak wygląda proces tworzenia scenografii, choreografii i kostiumów, oraz poznać historię rekwizytów z najważniejszych spektakli powstałych w Starym Teatrze na przestrzeni ostatniego półwiecza.

Dzięki występującej tu wirtualnie czwórce aktorów związanych dawniej ze sceną przy ulicy Jagiellońskiej – Bartoszowi Bieleni, Marcinowi Czarnikowi, Marcie Nieradkiewicz i Jackowi Poniedziałkowi – można nauczyć się różnych technik aktorskich oraz pracy z ciałem i własną świadomością w specjalnie wydzielonych kabinach.

Stary Teatr to setki wystawionych przedstawień, a co za tym idzie – tysiące zdjęć, projektów scenografii,

MICET, fot. Michał Szlaga

MICET, fot. Michał Szlaga

kostiumów, afiszy i plakatów. Ich wybór znajduje się w mediatece, która dostępna jest również w internecie jako **Cyfrowe Muzeum Starego Teatru**.

Ścieżkę zwiedzania wytycza jednocześnie pięć tematów, które odwołują się do ludzkiego doświadczenia i łączą emocjonalnie człowieka z teatrem; są to *Wolność*, *My/oni*, *Emocje*, *Ciało* i *Nowe*.

„Tworząc aplikacje, braliśmy pod uwagę potrzeby dzisiejszych widzów, przede wszystkim dostępność i różnorodność narzędzi do komunikacji, stałe bycie online, kulturę sieci jako podstawę uczestnictwa człowieka we współczesnym życiu. Stworzyliśmy bazę do edukacji, ale i kreacji siebie przez aktywne uczestnictwo w procesie tworzenia sztuki teatralnej. Podążamy za myślą Krystiana Lupy, który mówił o tym, że współcześni widzowie przychodzą do teatru, aby podróżować mentalnie i fizycznie, co daje im wolność i poszerza wyobraźnię" – podkreśla Anna Litak.

Ponieważ MICET oprócz muzeum pełni również funkcję ośrodka edukacji teatralnej, w jego ofercie znalazły się całkiem realne spotkania z artystami Starego Teatru w ramach mistrzowskich warsztatów (master class) oraz zajęcia praktyczne dla wszystkich grup wiekowych prowadzone przez edukatorów i technicznych pracowników sceny, z których każdego roku korzysta prawie 4000 osób. Stwarza to możliwość konfrontacji zdobytej wiedzy i doświadczeń za pomocą muzealnych aplikacji o działania w realnych przestrzeniach teatru.

MICET nie tylko umożliwia przepływ twórczej energii, ale i buduje wzajemne relacje twórców teatralnych i widzów, dając szansę na większą identyfikację z tak wyjątkowym miejscem, jak Narodowy Stary Teatr, i jednocześnie chroniąc jego ponad 240-letnie dziedzictwo.

Duchy teatru

Historia Domu Rzemiosł Teatralnych zaczęła się już w 1896 roku, kiedy w budynku przy ulicy Radziwiłłowskiej 3 powstał magazyn dekoracji teatralnych na potrzeby Teatru im. Juliusza Słowackiego. Z czasem zaczęto w nim przechowywać również kostiumy i rekwizyty.

W 2017 roku to miejsce ożyło: przeniesiono do niego pracownie krawieckie oraz otworzono **wystawę** *Myśląca ręka* autorstwa Małgorzaty Szydłowskiej – scenografki, kostiumolożki i wicedyrektorki ds. produkcji w Teatrze Łaźnia Nowa – która prezentuje ideę rzemiosła teatralnego. Na zaaranżowaną przez

Małgorzata Szydłowska, fot. Monika Stolarska

nią ekspozycję składają się m.in. kostiumy, meble, zdjęcia, szkice, narzędzia i rekwizyty z wielu wybitnych przedstawień Teatru im. Juliusza Słowackiego – ale to nie przedmioty są najważniejsze! Pierwszoplanowymi bohaterami wystawy są teatralni rzemieślnicy: krawcy, tapicerzy, szewcy, stolarze, perukarze, garderobiane, rekwizytorzy, akustycy, oświetleniowcy i inspicjenci, którzy na co dzień pozostają dla publiczności niewidzialni. Osoby odwiedzające wystawę mogą nie tylko przyjrzeć się z bliska rezultatom ich pracy, ale także na własne oczy zobaczyć, jak wygląda magazyn kostiumów teatralnych, a podczas warsztatów *Jak działa teatr?* odwiedzić pracownie krawieckie i przekonać się, jak wygląda praca nad kostiumami do kolejnych spektakli.

„Głównym celem projektu jest przywrócenie należnego miejsca rzemieślnikom teatralnym i uświadomienie ich roli w procesie powstawania spektakli. Nazywamy ich »duchami teatru«, ponieważ podczas spektakli widzimy jedynie efekty ich pracy, czyli scenografię, kostiumy, charakteryzację, rekwizyty, oświetlenie, udźwiękowienie itd. Tymczasem bez ich obecności i twórczej pracy nie byłaby możliwa realizacja żadnego z przedstawień" – podkreśla Małgorzata Wach, koordynatorka projektu *Jak działa teatr*.

Dom Rzemiosł Teatralnych przypomina, że magia teatru, o której się tak często mówi, nie byłaby możliwa bez materii, którą stwarzają rzemieślnicy i ich „myślące ręce". Dzięki warsztatom widzowie poznają teatr od podszewki i mogą zajrzeć do miejsc, które były dotąd poza zasięgiem ich wzroku. W ramach zajęć, które odbyły się do tej pory, uczestnicy mieli okazję zobaczyć spektakle od strony kulis (*Imię róży* w reżyserii Radosława Rychcika oraz *Hamlet* w reżyserii Bartosza Szydłowskiego), szyli własne kostiumy (dowiedzieli się, jak uszyć krezę dla Hamleta czy spodnie dla Ofelii!), poznali technologię malowania kurtyny Stanisława Wyspiańskiego i sposób, w jaki powstała scenografia do *Wojny polsko-ruskiej pod flagą biało-czerwoną* w reżyserii Pawła Świątka.

Działalność Domu Rzemiosł Teatralnych ma tym większą wartość, że w dzisiejszych czasach brakuje systemu edukacji, który kształciłby przyszłych rzemieślników teatralnych, czy formuły, dzięki której – podobnie jak przed laty – mistrzowie tego fachu mogliby przekazywać wiedzę nowym uczniom. Ostatnia Szkoła Rzemiosł Teatralnych została zamknięta w Polsce w 1968 roku; do tej pory nie powstał żaden program edukacyjny, który pozwoliłby ze spokojem czekać teatrom na kolejne pokolenia specjalistów. Projekt Małgorzaty Szydłowskiej chroni zaś dziedzictwo materii teatralnej – ze swej natury niepowtarzalnej, kruchej i ulotnej.

Dobre miejsce

Dom Utopii, którego pomysłodawcami są założyciele Teatru Łaźnia Nowa Małgorzata i Bartosz Szydłowscy, powstaje w mieszczącym się obok siedziby nowohuckiej sceny dawnym skrzydle Zespołu Szkół Elektrycznych nr 2 na osiedlu Szkolnym 26. Cytując słowa jego twórców, będzie to „nowoczesny ośrodek rozwoju sztuki współczesnej i relacji międzyludzkich". Co to oznacza?

„Słowo utopia wywodzi się z greki i dosłownie oznacza »dobre miejsce«. Jednym z naszych głównych celów będzie wspieranie lokalnych, obywatelskich inicjatyw, aktywistów i początkujących artystów, ale w szerokim, międzynarodowym kontekście. Zależy nam przede wszystkim na innowacyjnych i eksperymentalnych praktykach" – tłumaczy ideę tego miejsca Małgorzata Szydłowska.

Teatr nabył prawa do użytkowania skrzydła we wrześniu 2014 roku, chcąc zapobiec jego dalszej degradacji. W przestrzeni odbyły się projekty artystyczne, m.in. instalacja *Szkoła utopii* Marka Chlandy i Marcina Chlandy oraz spektakl *Ostatnie zwierzęta* w reżyserii Magdy Szpecht. Dzięki modernizacji budynek powiększy przestrzeń użytkową Teatru Łaźnia Nowa o blisko 2200 metrów kwadratowych. Aranżacja przestrzeni będzie nawiązywała do dziejów Nowej Huty. Dom Utopii ma bowiem od samego początku rezonować z dzielnicą, jej historią i mieszkańcami.

Myśląca ręka, fragment ekspozycji, fot. Zbigniew Prokop

ŁAŹNIA NOWA
Teatr Łaźnia Nowa
Kraków, os. Szkolne 25
www.laznianowa.pl

PARTNERZY TEATRU
mplservices
KARNET

„Czuję się mocno związana z Nową Hutą. Zależy mi na jej rozwoju i uwrażliwieniu, ale z poszanowaniem jej historii i historii ludzi, którzy ją budowali" – deklaruje Małgorzata Szydłowska.

W obiekcie znajdą się m.in. sale prób, pracownie technik artystycznych, wielofunkcyjna sala edukacyjna, galeria prezentacji i zaplecze dla rezydujących artystów. Międzynarodowy program ma być szansą na wymianę doświadczeń w gronie artystów z różnych stron świata, a dla Nowej Huty – promocją za granicą.

W Domu Utopii będą realizowane projekty takie, jak: *Praktyka przechwytywana*, *Sztuka mówienia*, *Mowa błądzących kroków*, *Warstwy rzeczywistości*, *Archeologia codzienności*, *Tranzyt myśli i uczuć*, *Uniwersytet Patrzenia* i *Muzeum Niewinności*. Autorami programu edukacji artystycznej i przewodnikami Domu Utopii będą eksperci z różnych dziedzin. Swoje miejsce znajdą w nim również artyści, którzy angażują się w tematy związane z niepełnosprawnością i znoszeniem barier poprzez sztukę. „Będziemy zapraszać do współpracy twórców, którzy poprzez swoje doświadczenie będą przewodnikami na drodze praktyk budowania tolerancji i empatii. Nie zabraknie też projektów, które będą dotykać tematów tabu i problemu wykluczenia" – zapewnia pomysłodawczyni.

Czy mamy do czynienia z nowym trendem w instytucjach teatralnych? Niekoniecznie. „Polskie teatry już dawno przestały być instytucjami, które grają tylko i wyłącznie spektakle. Przy większości z nich funkcjonują działy edukacyjne i programowe organizujące warsztaty dla różnych grup wiekowych, dyskusje, spotkania, prelekcje, wystawy czy pokazy performatywne. Miejsca takie jak MICET, Dom Rzemiosł czy Dom Utopii powstają po to, żeby wspierać właśnie tę, już i tak rozwijaną działalność edukacyjną" – tłumaczy Katarzyna Waligóra, krytyczka teatralna.

Zarówno Anna Litak ze Starego Teatru, jak i Małgorzata Szydłowska, związana z Łaźnią Nową i – za sprawą projektu *Myśląca ręka* – z Teatrem im. Juliusza Słowackiego, konsekwentnie tworzą miejsca, których zadaniem jest przybliżenie widzom na różny sposób materii teatralnej i poszerzenie granic swych instytucji o inne dziedziny sztuki i ich syntezę. Udowadniają też, że teatr nie jest pilnie strzeżoną twierdzą, a żywym ekosystemem, w którego skład wchodzą zarówno artyści, jak i ekipa techniczna, rzemieślnicy teatralni czy wreszcie – sami widzowie. **(js)**

www.micet.pl
www.jakdzialateatr.pl
www.laznianowa.pl

Fragment instalacji *Szkoła utopii* w Domu Utopii, fot. Studio FILMLOVE

BUKOVINA Resort to kompleks wielu atrakcji i udogodnień na terenie Bukowiny Tatrzańskiej. Każdy gość może korzystać ze wszystkich usług: jednego z najnowocześniejszego w Europie kompleksu basenów geotermalnych – Term BUKOVINA, Hotelu BUKOVINA – przyjaznego dzieciom, Hotelu HARNAŚ – przyjaznego dorosłym; oraz z Wellness BUKOVINA – miejsca relaksu i odnowy.

TERMY BUKOVINA
BUKOVINA HOTEL
harnas niezwykły hotel

bukovina.pl

Teatr to rozbrajanie świata

Rozmowa z dyrektorem Teatru Groteska Adolfem Weltschkiem o jubileuszu teatru, sztuce przetrwania w trudnych czasach i mądrości, jaką czerpiemy z obcowania ze sztuką.

Edyta Przybylska: Często posługujesz się groteską w życiu?

Adolf Weltschek: W teatrze – często. Lubię ten rodzaj deformacji rzeczywistości: garść paradoksu, szczypta komizmu i nuta absurdu. To całkiem inspirująca mieszanka. A poza teatrem też żyję sztuką, więc...

To niezdrowo cały czas być w pracy!

Jeżeli dla kogoś teatr jest pracą, to szczerze mówiąc, trudno będzie nam się dogadać *(śmiech)*! Żyję sztuką, to mój sposób na rozbrajanie groteskowej – chciałoby się powiedzieć – rzeczywistości, która nas otacza. Chcę pokazywać, że sztuka może oswajać lęki i współczesne traumy, które są tak stare, jak historia ludzkości. Uważam, że naszym obowiązkiem jest wyposażenie następnych pokoleń w narzędzia, które pozwalają na rozumienie świata. Może się wkrótce okazać, że sztuka – również teatralna – to jedyne skuteczne lekarstwo, jakie nam jeszcze zostało. Choć w tym momencie z ograniczonym dostępem.

Adolf Weltschek, fot. dzięki uprzejmości Teatru Groteska

Jubileusz, który Groteska miała w tym roku świętować, póki co wygląda jak obóz przetrwania. Nie wiem tylko, czy akurat sztuka surwiwalu jest tą, którą teatr chce grać...

Dopiero idziemy przez ten rów i nie patrzymy na tor przeszkód, który wciąż przed nami. Ale to nie jest najlepszy czas na symbole. Żyjemy tu i teraz, i wszyscy czujemy zagrożenie: jedni reagują panicznie, inni liczą straty, a jeszcze inni z perfidią wykorzystują moment. To wszystko niestety ujawnia naszą ludzką naturę.

W obszarach takich, jak teatr – albo szerzej kultura – możemy te procesy nazywać i oswajać. Oczywiście, że w czerwcu mieliśmy świętować jubileusz 75-lecia istnienia Teatru Groteska. W maju planowaliśmy tradycyjną zabawę dla Krakowa, czyli Wielką Paradę Smoków, która też miała mieć swój jubileusz, bo robimy ją od 20 lat. A jeszcze wcześniej – czyli w kwietniu – miała odbyć się premiera *Niesamowitych przygód dziesięciu skarpetek*, na którą wszystkie bilety były wyprzedane już od miesiąca... Tygodnie przygotowań, prób, gotowość bojowa i finalnie hibernacja. Opuszczenie kurtyny i zatrzaśnięcie drzwi to dopiero początek – trzeba w tym stanie zawieszenia jeszcze z czegoś żyć. A teatry to wprawdzie piękne byty, ale z wiecznym debetem. Dlatego w tej sytuacji pozostaje nam to, co potrafimy najlepiej: grać, grać i jeszcze raz grać.

Teatr Groteska szybko zareagował na kryzys i jako jeden z pierwszych w Krakowie rozpoczął działalność w internecie.

Tak, już w pierwszym dniu zamkniętych szkół weszliśmy z internetową ofertą ***Złap Groteskę w sieci***, dając dzieciom możliwość teatralnej zabawy w ich naturalnym środowisku. Nie zapominajmy jednak, że internet nie jest naturalnym środowiskiem teatru. Teatr to przestrzeń bezpośredniego kontaktu aktorów z widzami, wspólne i indywidualne przeżywanie emocji, które są jego podstawowym niematerialnym fundamentem. Internet zwiększa zasięgi, to prawda, ale teatru na żywo nigdy nie zastąpi.

Weekendowe spektakle, które udostępniane są w sieci, lekcje dykcji, śpiewu, budowy lalek i teatru, nawet artystyczna kuchnia Groteski z aktorami znanymi dzieciom ze spektakli cieszą się dużym zainteresowaniem. Sądząc po odbiorze internetowej widowni, wydaje się, że Groteska trafiła w jej emocje. Chyba o to ostatecznie chodzi?

To pokazuje, że teatr nawet w czasach Netflixa daje radę! Źle jednak znosimy izolację i będzie coraz gorzej. Przecież wciąż jesteśmy stworzeniami stadnymi – potrzebujemy relacji, interakcji. Obiecuję, że jak to wszystko się skończy, Teatr Groteska będzie znów taki, jak zawsze. Nie zmienią się nasze zadania, priorytety i zapewniam widzów, że ja się też nie zmienię. Będę starał się robić to, w co wierzę. Nie wiem, jak finansowo wszystko to będzie można poukładać, ale nie tracę nadziei i zobowiązuję się nadal z największą starannością robić spektakle na najwyższym poziomie.

Teraz więź z widownią utrzymujemy narzędziami takimi, jakie są możliwe, ale okazuje się, że to nie globalizacja uczuć bierze górę, ale intymność przeżyć. Wcześniej czy później nasycimy się smartfonami i będziemy tęsknić za bezpośrednim kontaktem z drugim człowiekiem jeszcze mocniej niż teraz... Teatr, choć istnieje od antyku, jeszcze nikogo w nałóg alienacji nie wpędził, a smartfon – i owszem. Ciekawe...

Zatrzymajmy się na chwilę przy wątku historycznym. Kiedy w marcu 1945 roku Władysław Jarema otrzymał tekę dyrektora Teatru Lalki i Aktora Groteska, na pytanie, jaki chce robić teatr w Krakowie, podobno odpowiedział krótko: wspaniały! Gdyby po 75 latach zadać to samo pytanie obecnemu dyrektorowi Teatru Groteska, odpowiedź brzmiałaby...

Taki jak zawsze – wspaniały! To jedyna naturalna odpowiedź, bo w ciasnym pokoiku przy ulicy Skarbowej siedzę wciąż na zielonym fotelu i przy dyrektorskim biurku Zofii Jaremowej☺. To taka nasza Groteskowa sztafeta pokoleń, myśli, klimatu, w której ciągle istnieje potrzeba kształtowania elit. Robiąc teatr wspaniały, jednocześnie chcemy kształtować ludzi mądrych. To ich zadaniem jest dzielenie się z innymi mądrością, którą wynoszą z obcowania ze sztuką. Dlatego niezależnie od mijających lat i jubileuszów warto ściągać widzów do teatrów, bo mogą na tym tylko zyskać.

A jaki styl Teatr Groteska będzie mieć w nowych czasach, które, jak to wszyscy przeczuwamy, muszą nadejść po pandemii?

Będziemy robić to, co zawsze: pomagać ludziom rozumieć świat. To trochę jak w *Dziennikach gwiazdowych*, które gramy w Grotesce od trzech lat i które wciąż mają komplet widzów. Może dlatego, że bohater Lemowskiej odysei marzy o tym, by uczynić otaczający go świat lepszym, i wydaje mu się, że można to zrobić w niezwykle prosty sposób. W pewnym momencie jednak staje bezradny w obliczu pytań ostatecznych. Dlatego wciąż potrzebne jest oswajanie świata.

To musisz być niezwykle uważny w tym oswajaniu, bo jak pisał Antoine de Saint-Exupéry, którego też pokazałeś przed laty w Grotesce, „stajesz się odpowiedzialny za to, co oswoiłeś"...

Moim drogowskazem była i jest etyka Konstantina Stanisławskiego, a on zwykł mawiać, że nie ma małych ról, są tylko mali aktorzy. Myślę, że podobnie jest z wyzwaniami: nie ma mniejszych i większych. Każde wyzwanie może być jednocześnie twórcze, rozwijające i ryzykowne. Ale trzeba to ryzyko podjąć.

Rozmawiała Edyta Przybylska

Pełny zapis rozmowy: karnet.krakow.pl

Adolf Weltschek – scenarzysta, aktor, reżyser. Z zamiłowania ogrodnik. Od 1998 roku dyrektor Teatru Groteska.

PATRONI MEDIALNI:

Kraków dzieciom · TVP3 Kraków · Radio Kraków · Kraków · CzasDzieci

Przeżyć życie jak święto

Kiedy w kraju wstrzymano ruch graniczny, by zmniejszyć rozwój pandemii, w Cieszynie wzdłuż polskiego brzegu Olzy zawisł transparent z napisem „Stýská se mi po tobě, Čechu". Ta anegdota chyba najlepiej oddaje stosunek Polaków do Czechów. Co tu dużo mówić: kochamy naszych południowych sąsiadów!

Chyba każdy w Polsce zna wojaka Szwejka i Helenę Vondráčkovą, lubi czeskie filmy i literaturę spod znaku Bohumila Hrabala. W Krakowie popularność zdobył też może mniej znany, ale równie wybitny pisarz **Ota Pavel**, a to za sprawą... spektakli, bowiem proza kultowego w Czechach reportażysty okazała się wdzięcznym przedmiotem adaptacji.

Ota Pavel – a właściwie Otto Popper – urodził się w 1930 roku w Pradze jako najmłodszy syn Leona i Hermíny Popperów. W czasie II wojny światowej ze względu na żydowskie pochodzenie jego ojciec i dwaj starsi bracia trafili do obozu koncentracyjnego; po wojnie wszyscy szczęśliwie wrócili do domu. On sam przeżył wojnę razem z matką w Buštěhradzie, pracując od 13. roku życia jako górnik w kopalni w Kladnie i grając amatorsko w drużynach piłki nożnej i hokeja. Ten czas – zarówno przedwojenny, jak i okres okupacji – utrwalił później w przepięknych opowiadaniach, których pisanie było dla zmagającego się z chorobą psychiczną autora formą terapii.

Wydany w 1971 roku zbiór ***Śmierć pięknych saren*** to opowieść o dzieciństwie, rodzinie, przede wszystkim zaś o „postrzelonym tatusiu", któremu awanturnicza kawalerska przeszłość (m.in. sutenerstwo w Hamburgu, praca w cyrku i służba w Legii Cudzoziemskiej) dopomogła w karierze komiwojażera handlującego sprzętami domowymi firmy Electrolux i potrafiącego sprzedać odkurzacz nawet w pozbawionej prądu wsi. Opowieść to wyjątkowa, bo baśniowa i nostalgiczna mimo historycznego konkretu.

„Ota Pavel napisał opowieść o kondycji ludzkiej, prostych uczuciach, walce o rodzinę i byt. O człowieczeństwie. Opowieść śmieszną i straszną, ale mającą w sobie dużo ciepła. Ten świat przedwojenny, gdy Pavel był dzieckiem, jest wyidealizowany i kolorowy, bo dzieci zapamiętują dobre rzeczy, a wypierają traumatyczne przeżycia" – mówił Jan Szurmiej, reżyser przedstawienia *Śmierć pięknych saren* w adaptacji Pawła Szumca, które możemy oglądać w **Teatrze Bagatela** od października 2019 roku na Scenie na Sarego.

Narratorem spektaklu jest Ota (w tej roli Przemysław Branny), pacjent szpitala psychiatrycznego. Snuje on pełną humoru i ciepła opowieść o Tatusiu, który „miał w oczach wesołość, smutek i pokorę, [...] potrafił być natrętny i bezczelny, ale nigdy nie przekraczał granicy dobrego smaku". Leo Popper w fenomenalnym wykonaniu Krzysztofa Bochenka ma w sobie wiele fantazji i wdzięku, dlatego kibicujemy mu, gdy wpada na kolejne szalone pomysły zdobycia fortuny, walczy o względy pięknej żony szefa, pani Irmy (Kamila Klimczak) i podejmuje ryzykowną misję zdobycia mięsa dla rodziny w ciężkim okresie, gdy do Czech zawitał ze swym wojskiem „były kapral, pan Adolf Hitler".

Pełnej nostalgii inscenizacji towarzyszą zgrabnie wplecione songi Jaromíra Nohavicy – kolejnego „znanego i lubianego" w Polsce czeskiego artysty – które komentują czasem zabawne, a czasem tragiczne perypetie bohaterów spektaklu Teatru Bagatela.

***

Już po wojnie, na fali szerzącego się w Czechach antysemityzmu, rodzina Popperów zmienia nazwisko na Pavel. Ota kończy szkołę handlową, a w 1949 roku rozpoczyna pracę w czeskim radiu i zostaje dziennikarzem sportowym. Tak rodzi się jego legenda świetnego reportera i komentatora. W tym samym czasie zapada na zdrowiu. W 1964 roku podczas olimpiady w Innsbrucku przeżywa pierwszy atak psychozy. Epizod ten rozpocznie ciąg wielokrotnych pobytów w szpitalu, remisji oraz nawrotów choroby afektywno-dwubiegunowej i intensywnej pracy twórczej, która pomagała pisarzowi lepiej znosić leczenie.

Realia czeskiego sportu lat 60. i 70. XX wieku, które Ota Pavel doskonale znał, stają się kolejnym materiałem dla opowieści, tym razem napisanych w konwencji reportaży, i to całkowicie... niekonwencjonalnych. Znów mamy do czynienia z baśniowym postrzeganiem rzeczywistości pisarza. Dlatego reportaż o wybitnym skoczku narciarskim Jiřím Rašce czytamy niczym przypowieść o utalentowanym chłopaku, który chcąc spełnić swoje marzenia, mierzy się z wieloma przeciwnościami losu. Nim osiągnie cel, na swojej drodze napotyka gadające gawrony, dobrą wróżkę, samego norweskiego króla, który w kożuszku i koronie na głowie zmierza tam, gdzie królowie chodzą piechotą...

Bajka o Rašce i inne reportaże sportowe, która ukazała się w 1974 roku, już po śmierci Oty Pavla, stała się inspiracją dla twórców spektaklu ***Salto w tył***, który możemy oglądać na scenie **Teatru Ludowego**. Jest to pełna fantazji, humoru i ironii opowieść o czeskich sportowcach: wspomnianym już skoczku Jiřím Rašce, małżeństwie rywalizujących ze sobą na medale mistrzów olimpijskich Danie i Emilu Zátopkach, o kolarzach – Janie Veselým i Janie Kubrze – oskarżonych o zdradę stanu po tym, jak przerwali Wyścig Pokoju, i gimnastyczce Evie Bosákovej, której tytułowe salto w tył jest symbolem nie tyle wielkiego wyczynu, co przewrotności życia, jakiej doświadczali bohaterowie w realiach komunistycznej Czechosłowacji. Wszystko to możemy zobaczyć w brawurowym wykonaniu związanych z nowohucką sceną aktorów, których zręcznie poprowadził reżyser Maćko Prusak, znany też ze świetnych choreografii.

Za sprawą spektaklu Teatru Ludowego reportaże Oty Pavla stają się uniwersalnym przesłaniem o arcyludzkiej potrzebie realizowania marzeń w każdych warunkach, która sprawia, że „życie można przeżyć jak święto".

***

Mariusz Szczygieł w książce *Láska nebeská* zwrócił uwagę, że najbardziej antydepresyjne książki mógł napisać tylko więzień depresji. „Umieć się cieszyć. Ze wszystkiego. Nie oczekiwać, że w przyszłości zdarzy się coś, co będzie prawdziwe. Możliwe bowiem, że w przyszłości nic piękniejszego już nie nadejdzie" – cytat z izby pamięci Oty Pavla w Buštěhradzie chyba najlepiej oddaje ducha powieści tego czeskiego pisarza „na trudne czasy". Warto więc szukać pocieszenia w jego książkach, a gdy nadejdzie okazja – również w scenicznych adaptacjach jego prozy, które proponują w swym repertuarze krakowskie teatry. **(js)**

Tekst powstał w oparciu o materiały Teatru Bagatela i Teatru Ludowego.

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego · Kraków · KÄRCHER · Małopolanka · RADIO KRAKÓW · kraków.pl · PALARNIA KAWY

Relacje i kreacje

O językowej kreacji, mitach kultury i wolności, jaką daje adaptacja prozy na język teatru, rozmawiamy z Maciejem Gorczyńskim, który w Teatrze Barakah reżyseruje spektakl *Inni ludzie* na podstawie powieści Doroty Masłowskiej.

Karnet: Dlaczego zdecydowałeś się wystawić *Innych ludzi* Doroty Masłowskiej i to właśnie w krakowskim Teatrze Barakah?

Maciej Gorczyński: Z Teatrem Barakah – prowadzonym przez Anę Nowicką i Monikę Kufel, które *nota bene* zagrają razem w ***Innych ludziach*** (a jest to sytuacja godna odnotowania!) – współpracuję od 2016 roku, od czasu premiery *Requiem*, mojego szkolnego dyplomu granego na deskach Barakah do dziś. Interesuje mnie praca kolektywna, powoływanie zespołów, których skład budują artyści różnych dziedzin: aktorzy, muzycy, tancerze, performerzy, plastycy. Monika i Ana są otwarte na taki model współpracy. Chciałem również wystawić *Innych ludzi* kameralnie, dla małej grupy widzów. To wszystko sprawia, że Teatr Barakah był dla mnie naturalnym wyborem.

W powieści Masłowskiej to nie fabuła, a język bohaterów – brutalny, wulgarny, kaleki, pełen wzajemnej niechęci i uprzedzeń – odgrywa główną rolę. Co najbardziej zafascynowało cię w tej opowieści o samotności i zagubieniu w „smogu i języku"?

Dwa lata temu wyreżyserowałem spektakl dyplomowy gardzienickiej Akademii Praktyk Teatralnych oparty na dziele Jamesa Joyce'a *Finneganów tren*. Dzięki temu doświadczeniu zwróciłem uwagę, że Masłowska, podobnie jak autor *Ulissesa*, operuje językową kreacją, często pastiszem, ale na bazie realizmu. Nawet jeśli uznamy, że twórczość autorki *Pawia królowej* jest czystą kreacją, „językiem bałamutnym", to słychać w nim wyraźne echo otaczającej nas rzeczywistości społecznej, politycznej, popkulturowej.

Myślę, że autorkę *Innych ludzi* interesuje również, podobnie jak Joyce'a, temat podświadomości języka. Np. główny bohater poematu Kamil Janik zafascynowany jest z jednej strony postacią Magika związanego z kultowym zespołem hiphopowym Kaliber 44 z lat 90., z drugiej – powstaniem warszawskim. Tu i tu dochodzimy do cyfry „44", symbolicznej dla polskiego romantyzmu. W postaci Janika spotykają się wielkie mity kultury, sprowadzane przez język, którym posługuje się bohater, do jakiegoś przedziwnego i bardzo miejscami zabawnego kłącza.

To właśnie operujący przeciwieństwami absurd – a nie ironia – jest dla mnie dominantą prozy Masłowskiej. Ironia jest dystansem. Poczucie absurdu – już nie. Dlatego myślę, że autorka operuje poważnym tonem, zwłaszcza gdy odsłania kolejne mechanizmy przemocy. Mizoginizm, ksenofobia, homofobia, klasizm istnieją w powieści mimochodem, na marginesie wypowiedzi wszystkich postaci, tworząc w rezultacie smutny obraz wzajemnej agresji i autodestrukcji. Jeśli przyjrzeć się fabule, jest ona precyzyjnym opisem łańcucha przemocy. Postaci funkcjonujące w świecie *Innych ludzi* nie rozmawiają ze sobą. Inny człowiek służy albo jako pretekst do własnego monologu, albo jako przeciwnik, którego za pomocą bardzo precyzyjnego i bezpardonowego *dissu* można zupełnie poniżyć. Wydaje mi się jednak, że przesłaniem powieści, wbrew powierzchownemu odczytaniu, jest zawarty w kulturze hiphopowej egalitaryzm, żywioł śmiechu i buntu, żywioł oralny, radość z twórczego podejścia do materii języka.

Inni ludzie, reż. Maciej Gorczyński, fot. Iwona Bandzarewicz

Polska proza współczesna króluje od kilku lat na teatralnych deskach – na język spektaklu przekładani są Masłowska, Twardoch, Tokarczuk… Skąd się bierze ten fenomen współczesnej prozy w polskim teatrze?

Inni ludzie to pierwszy tekst, którego teatralna realizacja wynika z potrzeby przyjrzenia się z bliska otaczającej mnie polskiej współczesności. Dlaczego wybrałem powieść, a nie dramat? Generalnie mam poczucie, że adaptacja tekstu nieprzeznaczonego na scenę daje więcej wolności. Jednym słowem fenomen, o który pytasz, to splot wnikliwości w twórczości Masłowskiej, Tokarczuk czy Twardocha z jednej i przyjemności z pracy nad ich tekstami z drugiej strony.

Czy twoje doświadczenia z Teatru Gardzienice przekładają się na realizację *Innych ludzi*?

W bardzo bezpośredni sposób. W Gardzienicach poznałem np. zespół Cukry, który wspólnie z Piotrem Korzeniakiem przygotowuje ścieżkę dźwiękową i piosenki do krakowskiego spektaklu.

Kim są Cukry i jakie znaczenie dla spektaklu ma ich muzyka?

Cukry to projekt muzyczny tworzony przez Lenę Witkowską, Agnieszkę Kocińską i Karolinę Głogowską. Jak same piszą o sobie: „Cukry to stara i nowa tradycja, przestrzenie wiejsko-miejskie, lata 90. i dziewczyńskie historie opowiedziane w podwórkowy sposób. Trzy pyskate białe wokale, wyszczekane teksty, gęsta muzyka w równowadze z ciszą i miękkością uczuć". Nic dodać, nic ująć.

Jak twoim zdaniem w dzisiejszej sytuacji pandemii odnaleźliby się bohaterowie Masłowskiej? Czy zaczęliby przemawiać innym językiem?

Obawiam się, że nie „zaczęliby przemawiać innym językiem". Cóż, musieliby najpierw odkryć, że są bohaterami książki Masłowskiej, uwięzionymi w języku *Innych ludzi*. Gdyby to odkryli – a brzmi to jak temat nieistniejącego opowiadania Philipa K. Dicka – mogliby przemówić do nas trochę inaczej. Wyobraźmy sobie, że wszystko, co mówimy, i wszystko, co myślimy, staje się hiphopową nawijką. Upiorne…

Rozmawiała Justyna Skalska

Maciej Gorczyński – reżyser teatralny związany m.in. z Teatrem Barakah w Krakowie, Teatrem Miniatura w Gdańsku i Ośrodkiem Praktyk Teatralnych „Gardzienice". W Teatrze Barakah zobaczymy jego najnowszy spektakl *Inni ludzie* na podstawie powieści Doroty Masłowskiej.

Kraków

TEATR BARAKAH

Widzimy się wkrótce w TEATRZE BARAKAH

UL. PAULIŃSKA 28
KRAKÓW - KAZIMIERZ

PROJEKT JEST WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW MIASTA KRAKOWA

Musical po krakowsku

W 2014 roku w naszym mieście powstał pierwszy i jak dotąd jedyny teatr muzyczny: **Krakowski Teatr Variété**. Jego pomysłodawcą i inicjatorem jest Janusz Szydłowski, który pełni także funkcję dyrektora naczelnego i artystycznego. Czym różni się teatr muzyczny od innych scen, których tradycja w Krakowie jest tak bogata? Jak wygląda wyprodukowanie musicalu i czym charakteryzuje się ten proces?

Po pierwsze: ludzie

Krakowski Teatr Variété jest teatrem impresaryjnym, co oznacza, że nie ma etatów dla pracowników artystycznych, takich jak aktorzy, muzycy czy tancerze. Do każdej nowej produkcji dyrektor zaprasza innych realizatorów, od reżysera, choreografa i kierownika muzycznego po trenera wokalnego, scenografa czy kostiumografa. Taka praca wymaga ogromnej dyscypliny i wielomiesięcznego planowania. W przypadku *Legalnej blondynki – pierwszego musicalu w historii Teatru Variété* – w odpowiedzi na ogłoszenie o castingu przyszło ponad 700 zgłoszeń, a przesłuchania trwały wiele dni. Reżyser Janusz Józefowicz bardzo długo poszukiwał idealnej odtwórczyni głównej roli. W końcu wybór padł na Barbarę Kurdej-Szatan, byłą studentkę Janusza Szydłowskiego, jednak należało znaleźć do głównej roli jeszcze jedną aktorkę, która zagra w drugiej obsadzie. Ostatecznie propozycję współpracy przyjęła Natasza Urbańska, która celowo zmieniła kolor włosów na blond, co potem zostało skutecznie wykorzystane w kampanii promocyjnej.

Produkcja tego musicalu była dla Teatru Variété najtrudniejszym jak do tej pory wyzwaniem. Twórcy nie tylko pracowali nad spektaklem, ale jednocześnie uruchamiali nową miejską instytucję, napotykając przy tym wiele trudności technicznych i organizacyjnych. Jakby tego było mało, wybór tytułu i reżysera nie spotkał się z entuzjastyczną reakcją krakowskich mediów i środowisk opiniotwórczych. Czas przed premierą *Legalnej blondynki* był również momentem rekrutacji pracowników teatru: technicznych oraz administracyjnych, co w rzeczywistości sprowadzało się do poszukiwania pracowitych idealistów, którzy zechcą tworzyć coś od zera. Jednak z każdym kolejnym spektaklem było już tylko łatwiej. Podczas premiery *Chicago* w reżyserii Wojciecha Kościelniaka pracownicy teatru byli już bogatsi o wiedzę i doświadczenie: wiedzieli, jak wygląda produkcja musicalu i praca szła znacznie łatwiej. Gdy teatr zdobył już pewną renomę, zaczęto patrzeć na poczynania najmłodszej krakowskiej sceny bardziej przychylnym okiem.

Po drugie: tytuł i licencja

Na świecie są dwa znaczące ośrodki musicalowe: nowojorski Broadway i londyński West End. To one wyznaczają trendy, produkują najbardziej spektakularne przedstawienia, tworzą najlepszą muzykę i kreują najbardziej charakterystyczne postaci. W związku z tym większość teatrów muzycznych na świecie – a co za tym idzie i w Polsce – nie tworzy autorskich musicali, lecz zakupuje od najlepszych licencje na już opracowane spektakle. Tak było także w przypadku *Legalnej blondynki* Zakupiona w nowojorskiej agencji licencja dała krakowskiej scenie prawa do wystawienia tego spektaklu, szczegółowo przy tym określając, na jakie odstępstwa może sobie ona pozwolić. Umowa zabraniała m.in., by w jakikolwiek sposób ingerować w utwory muzyczne, zamieniać rolę męskie z damskimi czy wycinać ze scenariusza poszczególne sceny. Pozwalała jednak na dowolną interpretację reżyserską inscenizacji, choreografii, scenografii czy kostiumów. Dokument zawierał także dość szczegółowe wytyczne co do materiałów promocyjnych, obligował teatr do stosowania zapisów o twórcach na wszystkich materiałach graficznych, ograniczenia kampanii promocyjnej tylko na terenie kraju, w którym musical jest wystawiany, oraz zaprezentowania plakatu licencjodawcy do akceptacji.

Legalna blondynka, reż. Janusz Józefowicz, fot. dzięki uprzejmości Krakowskiego Teatru Variété

Chicago, reż. Wojciech Kościelniak, fot. dzięki uprzejmości Krakowskiego Teatru Variété

Wówczas wydawało się, że te obostrzenia są rozbudowane i restrykcyjne, jednak już w 2017 roku, gdy teatr starał się o zakup licencji na musical *Chicago*, okazało się, że może być znacznie trudniej. Negocjacje w tym przypadku trwały ponad pół roku, koszty licencji były ogromne, a zapewniająca ją agencja narzuciła teatrowi nawet ceny biletów. Całe przedsięwzięcie okazało się jednak sukcesem, a początkowe trudności zaowocowały spektaklem, który od ponad dwóch lat nie schodzi z afisza i cieszy się dużym powodzeniem wśród krakowskiej publiczności.

Po trzecie: muzyka

Teatr Variété jako scena muzyczna od początku chciał produkować spektakle z muzyką na żywo. W przypadku *Legalnej blondynki* niestety się to nie udało: nagrania zostały wykonane w studio i takie podkłady do wokali można usłyszeć na spektaklach. Podczas produkcji *Chicago* okazało się, że nie ma możliwości korzystania z nagrań, a licencjodawca wymaga muzyki „na żywo". Ponieważ scena przy ulicy Grzegórzeckiej nie dysponuje orkiestronem, scenografka Anna Chadaj ulokowała muzyków na specjalnym podeście znajdującym się nad sceną. To rozwiązanie okazało się strzałem w dziesiątkę: widzowie nie tylko mogą usłyszeć muzykę, ale także zobaczyć jej wykonawców. Ten sam patent został wykorzystany także w spektaklu *Opera za trzy grosze*. Wprowadzenie muzyki granej na żywo sprawiło, że spektakle nabrały zupełnie nowej jakości.

W maju minie pięć lat od otwarcia Krakowskiego Teatru Variété. Był to czas ciężkiej pracy, układania relacji teatru z widzami, pracowania na przychylne recenzje i zaistnienie na musicalowej scenie Polski. A przed nami jesienią kolejna premiera musicalowa Variété, na którą już dziś czekamy z niecierpliwością!

Tekst powstał we współpracy z Krakowskim Teatrem Variété.

Kraków
WYOBRAŹ SOBIE...
Pierwszy muzyczny Teatr w Krakowie
TEATR VARIÉTÉ
KRAKOWSKI TEATR VARIETE
INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

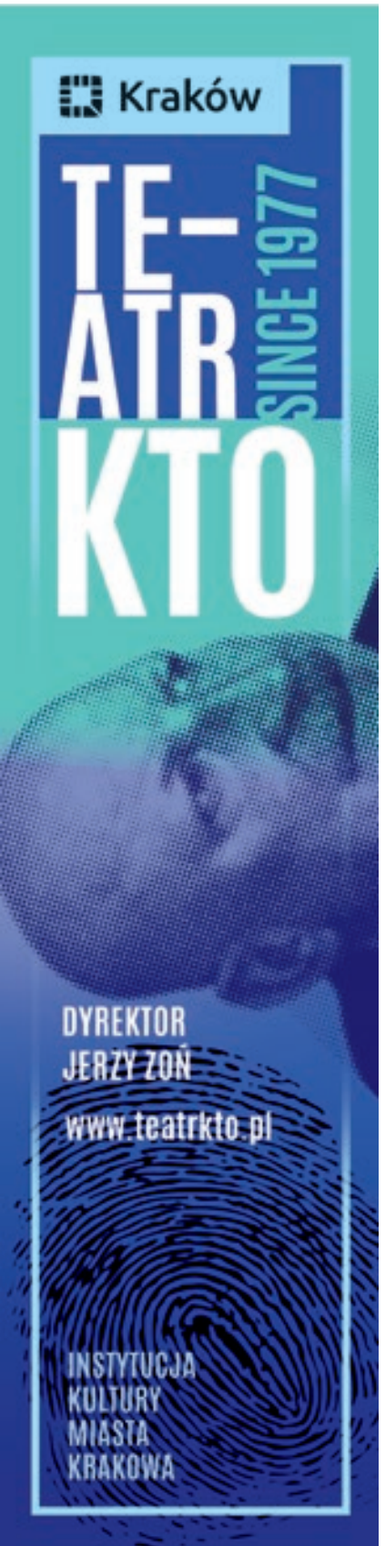

Dach nad głową

Teatr KTO, który od lat wędruje po kraju i świecie, prezentując swoje wyjątkowe spektakle, nareszcie zyska własną siedzibę! Nowy budynek teatru, wzniesiony według koncepcji artysty Aleksandra Janickiego i projektu architekta Mariusza Twardowskiego, powstanie przy ulicy Zamoyskiego, w miejscu znanym szerszej publiczności jako dawny Kinoteatr Wrzos.

Po perypetiach lokalowych (w 2016 roku Teatr KTO musiał opuścić dotychczasową siedzibę przy ulicy Gzymsików w Krakowie) kluczowe dla instytucji i jej dalszego rozwoju pozostało posiadanie własnej sali widowiskowej. Od ponad dwóch lat przedstawienia teatru prezentowane są regularnie i z sukcesami, ale na scenach wynajmowanych (m.in. w Teatrze Zależnym, klubie ZetPeTe, Staromiejskim Centrum Kultury Młodzieży i Cricotece). Szczęśliwie dla teatru i jego publiczności ta sytuacja wkrótce się zmieni! Dzięki decyzji władz miasta o przekazaniu na rzecz instytucji dawnego budynku Kinoteatru Wrzos trwa inwestycja budowlana, która dodatkowo wpisuje się we wspierany przez miasto proces rozwoju dzielnicy Podgórze.

Nowa lokalizacja w niezwykły sposób koresponduje z duchem spektakli Teatru KTO i myśleniem jego założyciela Jerzego Zonia. Położony nieopodal magicznych Krzemionek, znanych z legendy o czarnoksiężniku Twardowskim, budynek od lat wpisuje się krajobraz Podgórza: niegdyś niewielkiego miasta na prawym brzegu Wisły, a od nieco ponad stu lat – dzielnicy Krakowa. Przebiegająca równolegle do krawędzi parku Bednarskiego ulica Zamoyskiego zachowała swój charakter z przełomu wieku XIX i XX, z kulminacjami w postaci dwóch imponujących ceglanych kościołów: oo. Redemptorystów i św. Józefa. Sama siedziba byłego kina, przebudowana w latach 70. XX wieku, mieściła w XIX wieku Przytułek Zgromadzenia Św. Wincentego á Paulo. Jej dominantą jest urokliwa – mimo dodatków sprzed czterdziestu lat – fasada o neobarokowym kształcie pochodząca z okresu międzywojennego. Jak pisał w 1903 roku Kazimierz Mokłowski, znany lwowski architekt, obiekty takie mają „miłe oku formy": miękko spływające, rodzime, zakorzenione w tradycji.

Projekt fasady budynku, mat. Teatru KTO

Właśnie ta fasada, oczyszczona ze zmian, zostanie tu jako symbol dawnego miejsca, wywołując w widzach i przechodniach skojarzenia z maską teatralną czy scenograficzną zastawką. Za nią skrywać się będzie nowa funkcjonalna przestrzeń teatralna składającą się z foyer i przestrzeni użytkowej, takiej jak kasy czy szatnie, no i oczywiście – sali teatralnej. Będzie się ona mieścić w czarnej bryle z otwieranym dachem, co symbolicznie nawiązuje do specyfiki Teatru KTO słynącego przecież z wielkich widowisk plenerowych i działającego najczęściej w otwartej przestrzeni. Budynek będzie skrywał również udostępniane publiczności zielone tarasy i ogród.

Dzięki nowej siedzibie Teatr KTO nie tylko zyska własną nowoczesną scenę, ale będzie mógł również w pełni realizować program artystyczny rozszerzony o ofertę kulturalną i edukacyjną. A Podgórze cieszyć się będzie z nowoczesnej przestrzeni kultury i pierwszego od wielu lat teatru po tej stronie Wisły. **(js)**

Tekst powstał w oparciu o materiały Teatru KTO.

Peregrinus, reż. Jerzy Zoń, fot. Wojciech Wandzel

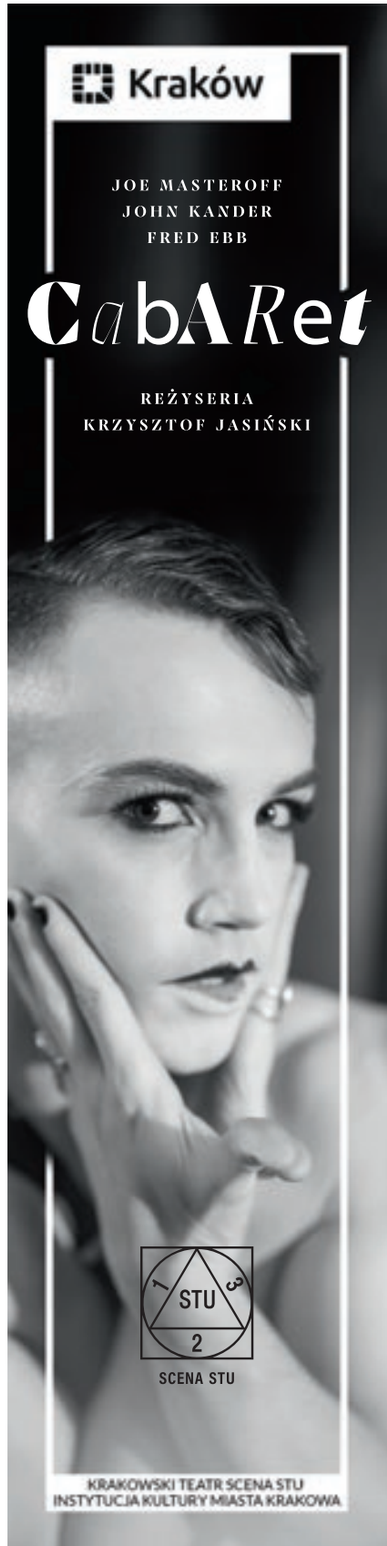

Kraków

E-booki Wydawnictwa Nisza pod patronatem Krakowa Miasta Literatury UNESCO już dostępne!

Znajdź je na woblink.com i czytaj bez wychodzenia z domu!

KRAKOWSKIE BIURO FESTIWALOWE
INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

KRAKOW UNESCO CITY OF LITERATURE

nisza

Ginczanka odnaleziona

Historia **Zuzanny Ginczanki** nie skończyła się zupełnie w momencie tragicznej śmierci poetki w 1944 roku. Powraca ona raz po raz nie tylko dzięki przywoływanym wspomnieniom, ale również poprzez rozproszone w przestrzeni i czasie teksty – kolejne wiersze Ginczanki odnajdywane są bowiem przez badaczy i badaczki literatury mimo upływu lat. Dzięki takim właśnie znaleziskom do rąk czytelników trafiają ***Poezje zebrane (1931-1944)*** w opracowaniu Izoldy Kiec, tom zawierający wszystkie znane dotąd wiersze poetki. Chronologiczny układ tekstów pozwala na odczytanie krótkiego życia Ginczanki za pomocą klucza poetyckiego, zaś obszerne komentarze autorki opracowania umożliwiają zrozumienie specyfiki czasów, w których kolejne wiersze wychodziły spod pióra poetki. Kiec – jak sama przyznaje we wstępie – pozostawia jednak czytelnikowi duży margines interpretacyjny, tak aby każdy z nas mógł swobodnie wejść w tworzone przez Ginczankę światy, odnaleźć w nich własne sensy i znaczenia. Ile wierszy poetki zostanie jeszcze odnalezionych? Jak stwierdza sama Ginczanka: „Przeszłość pełna przypadków jest nie do pojęcia / przyszłość w dymnej odsłonie jest nie do przejrzenia". **(Elżbieta Foltyniak)**

Stany odkryte

Wszyscy chyba założyli, że Sława Lisiecka, prominentna tłumaczka języka niemieckiego, założyła wydawnictwo OD DO po to, żeby móc do woli i bez przerwy drukować Thomasa Bernharda. I wszyscy założyli źle, a przynajmniej częściowo źle. Sława Lisiecka założyła wydawnictwo po to, by odkrywać. I tak w zeszłym roku odkryła Zbigniewa Liberę (*Utopek* i *Buks Molenda*), a w tym roku **Marcina Polaka** i jego ***Stany uprzywilejowane***. W tym drugim wypadku mamy do czynienia z odkryciem w sensie ścisłym, bo tak jak Libera bywał już odkrywany, tak *Stany nieuprzywilejowane* pewnie by nie powstały, gdyby krakowskiego filozofa oraz łódzkiej tłumaczki i wydawczyni nie połączył właśnie Bernhard. Tyle wstępu historyczno-literackiego. A czym jest sama książka? To zbiór bardzo różnych opowiadań, których wspólną myślą przewodnią są zawiłe rodzinne pokrewieństwa znaczone humorem, Bernhardem, krakowskością, miłością do filozofii (przy jednoczesnym pełnym nią rozczarowaniu) i wyrazistym, by nie powiedzieć unikalnym przekąsem. Znaleźć tu też można *Instrukcję napisania powieści bernhardowskiej*, czyli ekwilibrystyczne ćwiczenie z niemożliwego.

(Szymon Kloska)

Zmagania z babizną

Cukrówka jako polskie miasteczko Twin Peaks? To hasło w najróżniejszych wariantach pojawia się często w dyskusjach o ***Zimowli***, najnowszej powieści **Dominiki Słowik**. Czy to właściwa etykieta? Bynajmniej, ale uważam, że to właśnie jest zaletą książki krakowskiej pisarki. Przede wszystkim opowieść o małym miasteczku niedaleko Wadowic idzie bardziej w stronę rodzinnej mitologii niż kryminalnej zagadki podszytej niesamowitością. Podobnie jak w amerykańskim serialu jedną z tajemnic jest ciało wyłowione z jeziora, ale nie ona napędza narracyjną machinę. Czynią to raczej postaci paranoicznego ojca bohaterki czy babci „towarzyszki" Sareckiej. Ta ostatnia, silna kobieta zahartowana przez czasy PRL, szczere zaangażowanie w budowę socjalistycznego świata i niełatwe życie rodzinne, a jednocześnie niepozbawiona wad, jest postacią szczególną. Niewiele podobnych jej bohaterek pojawiło się dotąd w polskiej literaturze, która zdaje się dopiero odkrywać inne spojrzenia na rzeczywistość przed rokiem 1989 – i to szczególne dziedzictwo, „babiznę" właśnie, Dominika Słowik stara się przepracować.

Nostalgiczne, ale niebanalne tropy prowadzące do PRL i polskiej transformacji, gawędziarski ton, rozgałęziające się wątki drobnych codziennych zdarzeń – to wszystko można zaliczyć do mocnych stron *Zimowli*. Tempo fabuły rozpiętej na ponad sześciuset stronach jest nierówne, ale z pewnością warto przynajmniej na próbę dać nura w ten imponujący złożonością cukrówkowy świat. **(Michał Koza)**

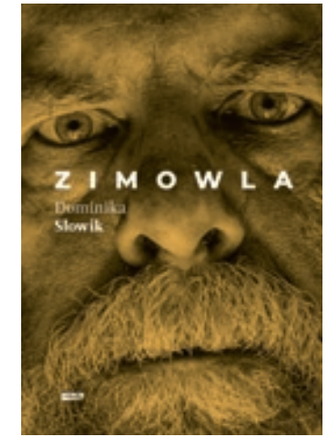

Szymborska, Barańczak i ich cudeńka

Wielbicielom poezji i wyklejanek Wisławy Szymborskiej, amatorom liryki i tłumaczeń Stanisława Barańczaka, entuzjastom staroświeckiej sztuki epistolarnej, tym, którzy zaczytywali się w *Nic zwyczajnego* Michała Rusinka, i tym, którzy absurdalne poczucie humoru cenią sobie ponad wszystkie inne poczucia, podglądaczom pozawierszowego życia literatów i przede wszystkim Szanownym Czytelnikom poszukującym i w poezji, i w życiu wzruszeń niełatwych polecam tę książkę jako źródło urzeczenia. ***Inne pozytywne uczucia też wchodzą w grę. Korespondencja 1972-2011*** to poczta nadzwyczaj kunsztownie wydrukowana przez Wydawnictwo a5, a opracowana przez samego Ryszarda Krynickiego, przyjaciela obojga poetów – nie tylko po piórze. Śmiem zapewnić, że sięgając po ową korespondencję, przemierzycie wespół z jej nadawcami i adresatami pełną wzajemnego szacunku i sympatii, erudycyjną, rozczulającą drogę od „Wielce Szanowna Pani" i „Drogi Panie Stanisławie" do „Stasiu Jedyny na świecie" i „Wisławo najubóstwiańsza". Każda strona to czysta przyjemność i przelotny uśmiech, jak u pewnego Sfinksa.

(Anna Maria Zygmunt)

Rekomendacje książek wydanych pod patronatem Krakowa Miasta Literatury UNESCO przygotowali pracownicy Działu Literackiego Krakowskiego Biura Festiwalowego.

Nowa Huta – miało być bez biednych i bogatych

Jak zmieniała się Nowa Huta w ciągu 70 lat? O historii dzielnicy z osobistej perspektywy opowiada Leszek Konarski, dziennikarz tygodnika „Przegląd", autor zbioru reportaży *Nowa Huta – wyjście z raju*.

Karnet: Książka reporterska *Nowa Huta – wyjście z raju* to pana autorska historia dzielnicy. Skąd wzięła się potrzeba opowiedzenia o losach Nowej Huty?

Leszek Konarski: Pracując w latach siedemdziesiątych w „Dzienniku Polskim", w Nowej Hucie znajdowałem ludzi prostych, niewykształconych, ale bardzo autentycznych, którzy nie ściemniali w swoich życiorysach, opowiadali o biedzie, z jakiej wyszli, o niesłychanie ciężkiej pracy przy budowie miasta oraz kombinatu – relacji o nich napisałem sporo. Odwiedzałem moich rozmówców zarówno w mieszkaniach na osiedlach, jak i w hucie. Dużo już napisano interesujących reportaży o Nowej Hucie, począwszy od Mariana Brandysa czy Ryszarda Kapuścińskiego aż do Renaty Radłowskiej

Leszek Konarski, fot. dzięki uprzejmości autora

i Katarzyny Kobylarczyk, ale ich teksty dotyczą incydentalnych zdarzeń osadzonych w krótkim przedziale czasowym. U mnie jest o pierwszych budowniczych, architektach, handlowcach, sportowcach, mieszkańcach, hutnikach, strajkach, o pomniku Lenina i placu Centralnym im. Ronalda Reagana, rozkradaniu kombinatu, przygodach czarnoskórego koszykarza z KS „Hutnik", młodzieżowych gangach, kryminalnej przeszłości niektórych działaczy Solidarności, o tym, jak kombinat metalurgiczny, największa inwestycja planu sześcioletniego, zaczął się kurczyć, zwalniać pracowników, jak w ostatnich latach Nowa Huta traciła swoją tożsamość – i tak aż do zgaszenia ostatniego wielkiego pieca. To jest relacja reporterska, bo żaden historyk nie napisał naukowego dzieła o całej historii tego miasta.

Dlaczego?

Z obawy przed posądzeniem o niepoprawność polityczną. Jest wielu historyków, którzy badają dzieje Nowej Huty, jednak często mają problem z połączeniem socjalistycznych czasów Nowej Huty z tymi współczesnymi, po 1989 roku. Dla mnie historia Nowej Huty nie dzieli się na złą i dobrą, jest tylko jedna: 70-letnia, bez żadnych podziałów politycznych. To nie jest książka o władzy, o systemach politycznych, lecz o ludziach mieszkających w Nowej Hucie, a ci się nie zmienili, mieszkają dalej w tych samych mieszkaniach, niektórzy może byli kiedyś działaczami partyjnymi, a teraz udzielają się w radach parafialnych i nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Takie jest życie. Ta książka, której wydawcą jest tygodnik „Przegląd", jest próbą oddania ducha tego niezwykłego miasta i metalurgicznego kolosa.

Dedykował ją pan osobom, które budowały Nową Hutę. Kim byli budowniczowie? Jak dziś ocenia ich historia?

Chylę czoła przed budowniczymi Nowej Huty, bo huty nie zbudowały „pachołki Moskwy", jak niektórzy o nich mówią. Tysiące młodych ludzi, najczęściej z bardzo biednych wsi, wśród nich wielu analfabetów, ciągnęło do Nowej Huty w poszukiwaniu pracy, mieszkania i godnego życia. Niewielu wiedziało, co to jest PZPR i gdzie leży Moskwa. Mam szacunek również i dla tych, którzy doprowadzili swoją walką do zmiany ustroju, bo jedni i drudzy chcieli tego samego, lepiej żyć i więcej zarabiać. Ci pierwsi, którzy miasto i hutę zbudowali, żyją dzisiaj w zapomnieniu, są historycznie wykluczeni. Natomiast pogromcy ustroju komunistycznego są bohaterami, dostają medale. Myślę, że historia przyzna mi rację i wszyscy będą docenieni.

Propaganda głosiła, że Nowa Huta będzie rajem na ziemi. Kiedy opadł entuzjazm i mieszkańcy dzielnicy zorientowali się, że nie jest to ziemia obiecana?

To miał być rzeczywiście raj, miasto bez ludzi biednych i bogatych, robotnicy mieszkali w tych samych blokach, co dyrektorzy, mieszkania były słoneczne i miały centralne ogrzewanie, nie było slumsów i ciemnych podwórek. Każde osiedle miało szkołę, żłobek, przedszkole, obiekty kulturalne i sportowe, place zabaw dla dzieci, jadłodajnię, restaurację, dużo zieleni. W piwnicach bloków były pralnie, na strychach suszarnie bielizny. Cała Huta miała być miastem całkowicie zradiofonizowanym, z tzw. „kołchoźnikiem" w każdym mieszkaniu. Powstawało jedyne na świecie miasto, w którym tak bardzo myślano o mieszkańcach. Wkrótce okazało się, że łatwiej jest zbudować miasto, niż wychować nowego obywatela. Ludzie nie chcieli korzystać z osiedlowych stołówek, kobiety wolały gotować w domach, nie chciano umieszczać dzieci w żłobkach, świetlice z darmową prasą świeciły pustkami. Zamykano więc restauracje, stołówki, świetlice, żłobki. Z każdym rokiem coraz bardziej Nowa Huta upodabniała się do innych miast. Zaplanowany raj trwał krótko, może kilka lat.

Czym się pan kierował, wybierając bohaterów reportaży?

W zamieszczonym na końcu książki indeksie jest około 300 nazwisk osób, które spotkałem w czasie swoich wędrówek po mieście i kombinacie. Nie piszę o dawnych i obecnych prominentach, sekretarzach partii, działaczach i dyrektorach. Nie bywałem w gabinetach, lecz na stanowiskach pracy, w dzień i w nocy. Do huty wchodziłem legalnie lub nielegalnie. Z pewnością niejeden czytelnik znajdzie w tej książce coś o sobie

Dawne Centrum Administracyjne Kombinatu, fot. Grzegorz Ziemiański

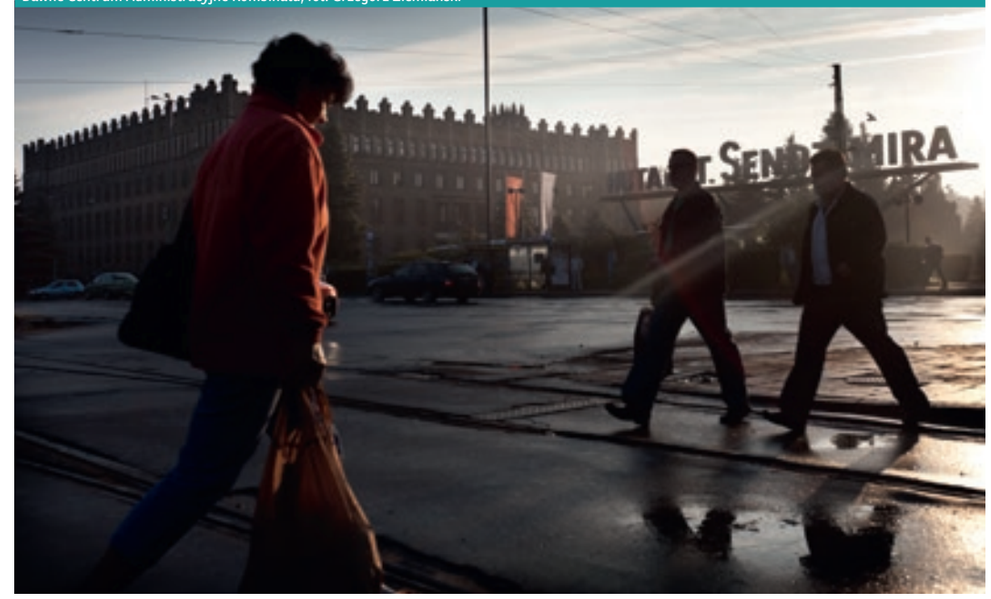

lub o znajomych z bloku, o których nikt wcześniej nie pisał. Moimi pierwszymi przewodnikami po hucie byli Szczepan Brzeziński, elektryk utrzymania ruchu ze zgniatacza, i Mieczysław Gil, mistrz ze stalowni konwertorowo-tlenowej, potem przewodniczący Komisji Robotniczej Hutników NSZZ Solidarność, poseł, senator.

Czy w Nowej Hucie zostało coś z idei „socjalistycznego miasta wiecznej szczęśliwości"?

Do Nowej Huty przyjeżdża coraz więcej turystów z zagranicy w poszukiwaniu śladów idealnego socjalistycznego miasta, a tu prawie wszystko zostało wyczyszczone z reliktów przeszłości. Są nowi patroni ulic, plac Centralny nosi imię Ronalda Reagana. Pomnik Lenina sprzedano do Szwecji po cenie złomu, i choć o tej postaci można mówić dobrze lub źle, to jego statua była przecież wizytówką Nowej Huty. Pozostał bar mleczny „Centralny" przy alei Róż, gdzie czas się zatrzymał, pierogi są takie same jak w 1956 roku, lepione ręcznie, ciągle według tej samej receptury. Węszących za śladami socjalizmu przewodnicy miejscy prowadzą na kotlet z ziemniakami i kapustą do restauracji „Stylowa", gdzie na środku sali jest stolik z odlaną z metalu figurką Włodzimierza Lenina. Personel „Stylowej" bardzo dba o tę małą rzeźbę, dekoruje ją kwiatami, bo Lenin ściąga im turystów. W tej restauracji odbywają się wieczorki taneczne, takie jak w PRL-u, można zamówić przyjęcie „w duchu polskiego socjalizmu". To nie żaden kult minionej epoki, to poszukiwanie rodowodu tej dzielnicy.

Jak tytułowe „wyjście z raju" koresponduje z dzisiejszym postrzeganiem Nowej Huty jako jednej z najlepszych dzielnic do życia?

Nową Hutę w lutym tego roku odkrył brytyjski dziennik „The Guardian", chwaląc panujący tu spokój, zieleń, ciekawą socrealistyczną architekturę. My bardziej chwalimy się, że to robotnicy Huty im. Lenina ostatecznie obalili komunizm, i dobrze, ale nie możemy przemilczać, że wcześniej miał tu miejsce jeden z największych eksperymentów społecznych socjalizmu, próbowano zbudować idealne miasto, w którym wszyscy mieli być szczęśliwi. Miał być raj zarówno dla mieszkańców, jak i pracowników huty. Dla tej socjalistycznej legendy przyjeżdżają tu Chińczycy czy Japończycy.

Z czego budowniczowie mogą być dziś dumni?

Dla mnie Nowa Huta to przykład polskiego powojennego heroizmu. Nie mieliśmy żadnych doświadczeń w budowie nowych miast, chyba poza Gdynią. Nigdy nie zbudowaliśmy tak wielkiej huty, te przedwojenne polskie i te poniemieckie to maleństwa w porównaniu z Hutą im. Lenina. Gdy architekci z całego świata zachwycali się Nową Hutą jako przykładem polskiego socrealizmu w budownictwie, u nas mówiono, że to takie stalinowskie szkaradztwo, kopia Magnitogorska, likwidowano kraty i portale z lat pięćdziesiątych, niszczono socrealistyczne detale, zasłaniając je styropianem. Dopiero w ostatnich latach dostrzeżono, że całe centrum Nowej Huty to piękny polski socrealizm. Wreszcie w listopadzie ubiegłego roku krakowscy radni podjęli decyzję o ustanowieniu objętego nadzorem konserwatorskim parku kulturowego.

Rozmawiała Anna Mazur

Książkę *Nowa Huta – wyjście z raju* można zamówić do paczkomatu w Cafe NOWEJ Księgarni na osiedlu Zgody 7.

Plac Centralny im. Ronalda Reagana, fot. Wojciech Gorgolewski

Grupa Autoremo od 2017 roku nosi tytuł Partner dla Krakowa, współtworząc kulturę tego wyjątkowego miasta. Jest marką należącą do rodziny Kuchtów, która od trzech pokoleń kultywuje prospołeczne tradycje na wielu polach swojej działalności.

Grupa Autoremo to dziś największy dealer samochodów na Podhalu i jeden z najszybciej rozwijających się w Polsce. Sprzedaje i kompleksowo obsługuje samochody marek: **Dacia, Renault, Volkswagen, Hyundai, Mazda, Skoda.** Oferuje sprzedaż samochodów nowych, demonstracyjnych oraz używanych, możliwość wymiany starego samochodu na nowy, ubezpieczenia pojazdów, kredyt oraz leasing, usługi serwisowe wszystkich marek kompleksową likwidację szkód komunikacyjnych, usługi blacharsko-lakiernicze, holowanie i wynajem pojazdów.

W skład Grupy Autoremo wchodzą trzy firmy: **Autoremo, Anndora i Autoneo.** Grupa Autoremo to prawie 40 lat tradycji i doświadczenia w branży motoryzacyjnej oraz wieloletnia działalność przy okazji imprez motoryzacyjnych, sportowych i kulturalnych organizowanych w Małopolsce.

GRUPA autoremo

5 salonów / autoryzowane serwisy / blacharnie / lakiernie

Kraków, al. 29 Listopada 149
Kraków, ul. Wielicka 193
Nowy Targ, ul. Szaflarska 170
Nowy Sącz, ul. Wiśniowieckiego 123
Bukowina Tatrzańska, ul. Kościuszki 183

Tischner – dobry znak

„Człowiek jest takim drzewem, które czuje w sobie dobro i dlatego nie chce złych owoców rodzić". Te słowa ks. Józefa Tischnera powinny nam towarzyszyć zarówno w dobrych, jak i złych czasach.

W tym roku minie 20 lat od śmierci **Józefa Tischnera** – księdza, filozofa, publicysty. Wiele publicznych postaci, które cieszyły się za życia popularnością, po takim czasie popada już w mniejsze czy większe zapomnienie. Ale z Tischnerem dzieje się inaczej. Imprezy, którym patronuje, gromadzą setki, a czasem – jak Dni Tischnerowskie w Krakowie – tysiące słuchaczek i słuchaczy. Cytaty z Tischnera krążą w internecie, pojawiają się w wywiadach i artykułach innych publicystów. Widać też, że w ostatnich latach przypłynęła nowa fala jego czytelniczek i czytelników. Wydawnictwo Znak chwali się, że w ciągu ostatniego 2,5 roku sprzedało sto tysięcy egzemplarzy jego książek!

Dlaczego tak się dzieje? Powodów można by wskazywać wiele. Może dzieje się tak dlatego, że Tischner potrafił umiejętnie połączyć w sobie dwa różne wymiary publicznej działalności: myślenie filozoficzne i refleksję nad życiem społecznym z byciem księdzem, który poważnie traktował swoje kapłaństwo. I w obu tych dziedzinach miał zauważalne osiągnięcia – zarówno pełne kościoły, jak i pełne sale wykładowe. Potrafił pisać barwnie i przystępnie, jednocześnie nie spłycając. U dawnych i nowych wielkich myślicieli szukał odpowiedzi na pytania, które zadawała mu współczesna rzeczywistość.

A może powodem jest to, że po prostu wielu ludzi udało się Tischnerowi zainspirować i ci ludzie postanowili iść za tą inspiracją, spłacając jednocześnie jakiś dług wobec niego. Z takiego poczucia narodziły się wspomniane Dni Tischnerowskie: instytucje, z którymi ksiądz filozof był związany, chciały jakoś odwdzięczyć mu się za to, co dla nich zrobił. Część jego uczniów i słuchaczy skupiła się w Instytucie Myśli Józefa Tischnera, żeby tam kontynuować jego rozważania, ale też zająć się utrwalaniem i popularyzacją tego, co pozostawił. Podobnie stało się ze szkołami, które przyjęły jego imię; wiele z nich to miejsca, w których o patronie dużo się rozmawia i które wiedzę o nim propagują w lokalnych środowiskach. Bardzo pomogli też spadkobiercy – czyli rodzina księdza, otwarta na różne formy działania pod szyldem „Tischner".

Kluczowe jednak – jak się wydaje – jest to, co na tym szyldzie zostało wypisane. A więc słowa: nadzieja, otwartość, dialog, „wiara szukająca zrozumienia", „myślenie w pogodzie ducha". Może najcelniej treść tego „szyldu" ujął przyjaciel Tischnera, filozof Krzysztof Michalski: „Tischner był miłym, zabawnym i mądrym człowiekiem. Ale jego obecność znaczyła też o wiele więcej. Dzięki niej my, szczęśliwcy, co go spotkali, dostawaliśmy dodatkową szansę odkrycia urody życia, słodkiego smaku świata, dzięki niej mogliśmy dostrzec ślad słońca także tam, gdzie spodziewaliśmy się tylko kurzu, błota i brudu. Poczuć dotknięcie dobra, gdy nikt z nas nie mógł się tego spodziewać".

Tischner stał się dobrym znakiem, pod którym ludzie chcą się gromadzić – i to ludzie o bardzo nieraz różnych poglądach na politykę, życie społeczne czy religię. Gromadzą się, bo czują to „dotknięcie dobra", bez którego życie staje się nie do zniesienia.

Od czego rozpocząć przygodę z lekturą pism ks. Józefa Tischnera? Wystarczy sięgnąć po jedną z poniższych pozycji:

Etyka solidarności oraz Homo sovieticus – najgłośniejsza książka ks. Tischnera, poświęcona fenomenowi Solidarności, ale też polskiej transformacji po 1989 roku. Autor pisze o etycznym wymiarze zachodzących zjawisk, wskazując, jak ważną rolę odegrały w nich umiejętność dialogu i odwaga ryzykowania w imię wspólnych wartości.

Wędrówki w krainę filozofów – cykl popularnych gawęd poświęconych filozofii wygłoszonych przez ks. Tischnera na antenie Radia Kraków. Lektura pokazująca, w jaki sposób wielcy myśliciele mierzyli się z problematyką prawdy, rozumienia świata czy istnienia zła.

Mądrość ludzi gór – najnowsza książka złożona z tekstów ks. Tischnera: wybór jego homilii, wystąpień i artykułów poświęconych kulturze góralskiej i jej wartościom. Znakomity przewodnik po duszy Podhala, a zarazem uniwersalna opowieść o losie człowieka. **(Wojciech Bonowicz)**

Wojciech Bonowicz (ur. 1967) – poeta, publicysta. Stały współpracownik „Tygodnika Powszechnego" i miesięcznika „Znak". Opiekuje się spuścizną po ks. Józefie Tischnerze, jest redaktorem książek złożonych z jego tekstów i autorem biografii *Tischner* (2001), której nowe, poszerzone wydanie ma się ukazać w tym roku.

Nowe książki

Książki czytamy tradycyjnie od deski do deski, czyli od pierwszej do ostatniej strony. Lekturze tomów liberackich i powieści hipertekstowych możemy się jednak oddawać w dowolny sposób.

Nieszczęśni B.S. Johnson, fot. dzięki uprzejmości Korporacji Ha!art

„**Liberatura** to literatura totalna, w której tekst i przestrzeń książki stanowią nierozerwalną całość. Książka przestaje być po prostu pojemnikiem na treść. Korzysta z wszystkich możliwości oferowanych przez druk – od typografii po swoją podstawową materialną formę, którą jest tom. Wiadomość w butelce? Czemu nie, najlepiej po wódce". Tak o liberaturze pisał twórca tego terminu Zenon Fajfer w książce liberackiej *Spoglądając przez ozonową dziurę* (2004), która została wydana we wspomnianej przez autora formie – listu w butelce po alkoholu. Liberatura łączy w sobie dwa znaczenia w języku łacińskim: *liber* – 'księga', a także *libertas* – 'wolność'. To zatem „książki na wolności", nieskrępowane okładką i stronicami, po których już nie trzeba przebiegać wzrokiem w pewien określony sposób. Pozwalają czytelnikowi wybrać ścieżkę odczytywania tekstu, a za sprawą selekcji, których sam dokonuje, angażują go w proces tworzenia treści. Jak to wygląda w praktyce? Oprócz wspominanej już „książki w butelce" Fajfer wspólnie z żoną Katarzyną Bazarnik stworzył *Oka-leczenie* (2000), pierwsze dzieło świadomie nazywane liberaturą. To trzy książki złączone ze sobą okładkami – każdy z tomów odnosi się do innego momentu ludzkiej egzystencji: od narodzin po śmierć. Tego typu myślenie o literaturze zauważa się już od lat 60. ubiegłego stulecia. Książka *Nieszczęśni* (*The Unfortunates*, 1969) brytyjskiego twórcy Bryana Stanleya Johnsona składa się z oddzielnych elementów zamkniętych w pudełku – luźnych sklejek, które czytelnik może połączyć w historię. Francuskiemu pisarzowi Raymondowi Queneau udało się natomiast stworzyć generator poezji na papierze. W książce *Sto tysięcy miliardów wierszy* (*Cent mille milliards de poèmes*, 1961) zamieścił zaledwie 14 sonetów, za to porozcinanych między wersami. Powstałe w ten sposób paski można dowolnie ze sobą zestawiać i komponować.

Oka-leczenie K. Bazarnik i Z. Fajfer, fot. Jakub Śliwa, dzięki uprzejmości Korporacji Ha!art

Jeśli postąpimy krok dalej, natrafimy w globalnej sieci na książki w formie **powieści hipertekstowej** – segmentującej tekst i łączącej się z poszczególnymi jego częściami za pomocą linków. W 1990 roku amerykański pisarz Michael Joyce stworzył pierwszy utwór hipertekstowy, zapoczątkowując tym samym generację literatury cyfrowej. W utworze *południe, pewna historia* czytelnik niczym gracz komputerowy przechodzi z poziomu na poziom i dokonuje wyborów, które w mniejszym lub większym stopniu kształtują jego lekturę. Autorem jednej z pierwszych polskich powieści hipertekstowych jest Sławomir Shuty. *Blok* (2002) przenosi nas w środowisko sąsiedzko-osiedlowe – wędrując od mieszkania do mieszkania, śledzimy losy lokatorów jednego z nowohuckich wieżowców.

Ale to nie koniec. Jeszcze dalej czekają na nas cyberpoezja, story art, poezjografia czy remiksy literackie. Zwrot piktorialny ogłoszony przez Williama Johna Thomasa Mitchella przyniósł przesunięcie ludzkiej percepcji z niematerialnego znaczenia słowa na obraz, otworzył tym samym szerokie spektrum możliwości dla twórców nowej literatury. W efekcie redefiniowane są nie tylko konwencje literackie, ale także nasze przyzwyczajenia czytelnicze. **(am)**

Tekst powstał w oparciu o materiały wydawnictwa Korporacji Ha!art.
www.ha.art.pl

Miasto jak z obrazka – Kraków w komiksie

Kraków jest nierozerwalnie związany z medium komiksowym już od pierwszych miesięcy istnienia odrodzonego po I wojnie światowej państwa polskiego. Na łamach tygodnika satyrycznego „Szczutek" ukazała się wówczas historyjka obrazkowa *Ogniem i mieczem, czyli przygody Szalonego Grzesia – Powieść współczesna*. Autorem wierszowanych podpisów pod kadrami był Stanisław Wasylewski, zaś za scenariusz i rysunki odpowiadał wybitny grafik i karykaturzysta Kamil Mackiewicz. Burzliwe (acz pełne spektakularnych sukcesów) dzieje tytułowego Grzesia, patriotycznego żołnierza ochotnika, uchodzą dziś za pierwszy dłuższy krajowy cykl rysunkowy, stanowiąc symboliczny początek rozwoju polskiego komiksu. Mimo że „Szczutek" był pismem lwowskim, pierwsze numery z udziałem **Szalonego Grzesia** ujrzały światło dzienne właśnie w Krakowie, w Drukarni Narodowej przy dzisiejszej ulicy Piłsudskiego 19.

Rychło po zakończeniu II wojny światowej miasto zyskało najsławniejszego obrazkowego obywatela. W 147. numerze „Przekroju" z lutego 1948 roku zadebiutował **Profesor Filutek** Zbigniewa Lengrena. Chociaż twórca pochodził z Torunia, perypetie pogodnego emeryta zostały umiejscowione (tak jak redakcja „Przekroju") w Krakowie. „Skrakusienie" pozwoliło poczciwemu profesorowi na noszenie się w wytwornym staroświeckim stylu – wbrew obowiązującym wzorcom epoki stalinowskiej. Pełne ciepłego humoru i (zazwyczaj) pozbawione słów historyjki o profesorze i jego wiernym piesku Filusiu podbiły serca czytelników. Komiksy Lengrena przedrukowywano we Francji, Czechosłowacji, Chinach, ZSRR i NRD, a w 1963 roku zwodowano statek żeglugi przybrzeżnej „Profesor Filutek", który do 1999 roku kursował między Szczecinem a Świnoujściem. Elegancki krakus cieszył się jesienią życia przez ponad 55 lat, aż do pożegnania z tygodnikiem w marcu 2003 roku – jego twórca zmarł kilka miesięcy później.

Na łamach „Przekroju" pojawił się również inny wybitny mieszkaniec krakowskiego grodu. **Inżynier Nowak** to bohater cyklu Andrzeja Mleczki debiutującego w tygodniku przygodami „człowieka, który nie zawodzi nigdy" w październiku 1974 roku. Rzutki przedstawiciel „inteligencji technicznej" to w istocie nadwiślański nadczłowiek, dzięki pomysłowości, solidnemu wykształceniu oraz legendarnej słowiańskiej zaradności zdolny poradzić sobie w absolutnie każdych warunkach. Chociaż zazwyczaj znajduje wyzwania dla swego geniuszu w odległych i niebezpiecznych krainach, zawsze wraca do rodzinnego Krakowa. W jednym z odcinków inżynier zaprasza do miasta swych zagranicznych kolegów – podczas wizyty w drugim dniu świąt Bożego Narodzenia przy serniku spotykają się Simon Templar, Zorro, Robin Hood, Eliot Ness i Superman. Kulturalny podwieczorek przerywa niestety niezapowiedziane przybycie Janosika z butelką okowity...

Rafał Szłapa, Bler: *Kraków. Przewodnik* (Blik Studio, 2015)

Turystyczne walory Krakowa doceniają nie tylko obrońcy dobra, ale również stołeczna młodzież. Jej przedstawicielem jest stworzony przez Bohdana Butenkę harcerz **Kwapiszon**, który w serii ośmiu edukacyjnych broszur z lat 1975-1981 umykał przed przestępcami polującymi na chronioną przez chłopaka tajemniczą szkatułkę. Trasa pościgu wiodła od Warszawy przez Trójmiasto, Pojezierze Mazurskie i Frombork aż do Małopolski. W *Kwapiszonie i tajemniczym kluczyku* dzielny druh odwiedza Kraków, a cała pogoń kończy się w Wieliczce. Istotną formalną innowacją *Kwapiszona* było wmontowanie charakterystycznych rysunków Butenki w fotografie odwiedzanych przez bohaterów miejsc dla prezentacji walorów estetycznych wybranych regionów kraju.

Miasto doczekało się również własnych superbohaterów. Najstarszym z nich jest **Straine**, debiutujący w 1996 roku w magazynie „KKK" (organie Krakowskiego Klubu Komiksu). Ten samozwańczy stróż prawa działa w niedalekiej przyszłości w Krakowie, stolicy Dystryktu Galicja Unii Paneuropejskiej. Nemezis mściciela jest Simon Jozue Piehonsky, diaboliczny terrorysta odpowiedzialny m.in. za eksplozję kościoła Mariackiego, kradzież broni biologicznej z bazy NATO w Nowej Hucie i próbę wysadzenia wzgórza wawelskiego. Za stworzenie Straine'a odpowiadają Bartosz Minkiewicz i Krzysztof Tkaczyk, kryjący się pod pseudonimami Burt Softa i Chris Weber.

Dziś najbardziej znanym podwawelskim herosem jest **Bler**, nadczłowiek z cyklu siedmiu albumów Rafała Szłapy: przewrotnej opowieści o sprzedawcy książek, który okazuje się owocem zagadkowego eksperymentu i wykorzystuje nabyte nadludzkie moce dla obrony Krakowa z ostatnich lat ubiegłego wieku przed złem. Oscylujący pomiędzy pastiszem amerykańskich komiksów, horrorem i techno-thrillerem *Bler* tworzony jest w poważnej tonacji, stanowiąc rozbudowany metakomentarz do statusu obrońców sprawiedliwości we współczesnym świecie. W finale trzeciego albumu Rynek Główny wylatuje w powietrze, a fala zniszczenia rozlewa się po całym mieście, wprowadzając niespotykaną wcześniej wizję Krakowa jako scenerii postapokaliptycznej.

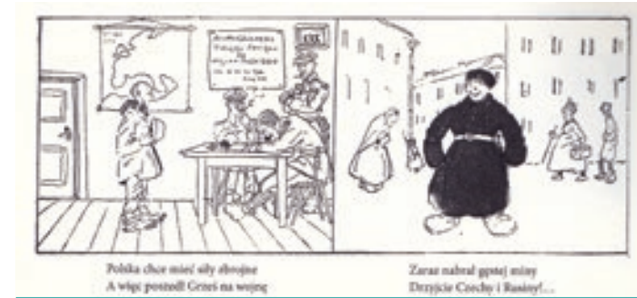

Kamil Mackiewicz (rysunki), Stanisław Wasylewski (tekst), *Ogniem i mieczem, czyli przygody szalonego Grzesia – Powieść współczesna* (1919)

Na osobne omówienie zasługują komiksy biorące na tapet **krakowskie legendy**. W 1937 roku Kornel Makuszyński i Marian Walentynowicz, twórcy nieśmiertelnego Koziołka Matołka, zaprezentowali własną interpretację historii o szewczyku Skubie i wypchanym siarką baranie w komiksie *O wawelskim smoku*. W 1974 roku amerykańska Fundacja Kościuszkowska rozpoczęła publikację serii dwujęzycznych albumów popularyzujących za oceanem opowieści o państwie piastowskim. Legendarna historia Polski była rysunkową wersją podań z kronik Galla Anonima i Wincentego Kadłubka pióra Barbary Seidler i pędzla Grzegorza Rosińskiego. Pierwsza komiksowa klechda *O smoku wawelskim i królewnie Wandzie* ukazała się w Nowym Jorku.

Jedną z najciekawszych rysunkowych trawestacji wawelskiej legendy jest historyjka Petera Snejbjerga i Césara Ferioliego z 2016 roku *Stary smok mocno śpi* (org. *The Hero, the Bagel and the Old Dragon*) z udziałem disnejowskiego drobiu: Sknerusa McKwacza oraz siostrzeńców Kaczora Donalda. Najbogatsza kaczka świata zabiera swoich krewnych do Krakowa, światowej stolicy obwarzanka, aby sprawdzić, czy ich autorskie wypieki mają szansę na rynkowy sukces. Na miejscu postanawiają cofnąć się w czasie i zacząć handlować obwarzankami, zanim ktokolwiek z grodu Kraka wpadnie na ten pomysł. Niestety, pozostawiony w jaskini wehikuł czasu budzi uśpioną (i głodną) bestię... Ferioli doskonale odwzorował na rysunkach m.in. Wawel, Bulwary Wiślane, ulicę św. Jana i rzeźbę smoka dłuta Bronisława Chromego. Autor komiksów o Kaczorze Donaldzie po raz pierwszy odwiedzi miasto wiosną 2021 roku jako gość specjalny jubileuszowego 10. Krakowskiego Festiwalu Komiksu. **(Rafał Kołsut)**

Rafał Kołsut – historyk komiksu i animacji, badacz narracji rysunkowych, nauczyciel akademicki (Uniwersytet Jagielloński w Krakowie i Wyższa Szkoła Europejska im. Józefa Tischnera w Krakowie), członek Krakowskiego Stowarzyszenia Komiksowego, recenzent i publicysta w Magazynie Miłośników Komiksu „KZ".

Grafiki Rafała Szłapy z albumu *Bler: Kraków. Przewodnik* (Blik Studio, 2015).

Rafał Szłapa (ur. 1976) – absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Z wykształcenia artysta grafik, twórca ilustracji książkowych i prasowych, projektów do gier komputerowych, planszowych i karcianych oraz okładek książek. Przez lata związany z reklamą, do której stworzył setki storyboardów reklamowych. Z potrzeby serca scenarzysta i rysownik komiksów, twórca krótkich opowieści publikowanych na łamach prasy i w magazynach komiksowych, w tym także komiksów historycznych i reklamowych. Od 2010 roku scenarzysta, rysownik i wydawca cyklu w klimatach superbohatersko-horrorowych *Bler*. W ubiegłym roku zadebiutował na rynku amerykańskim jako autor rysunków do komiksu wydawnictwa Capstone.

Świecące obrazy

Wydaje nam się, że dobrze znamy Kraków i jego zabytki… A może w zasięgu wzroku są rzeczy, które umykają naszej uwadze?

Podczas odnowy ołtarza mariackiego w 1867 roku natrafiono na żółty dziecięcy bucik i dzięki temu pół wieku później powstała popularna powieść o przygodach ulubionego czeladnika mistrza Stwosza, powstaniu ołtarza i średniowiecznym Krakowie. Być może obecna, trwająca od 2015 roku, konserwacja gotyckiego zabytku niektórym z nas zapisze się w pamięci w związku z innym istotnym „odkryciem"? Wszystko dzięki organizatorom wystawy Muzeum Narodowego w Krakowie *Cud światła. Witraże średniowieczne w Polsce*, którzy aktualną renowację monumentalnego pentaptyku postanowili wykorzystać, by „rzucić światło" na częściowo przysłonięte przez ołtarz czternastowieczne witraże w prezbiterium kościoła. W świadomości krakowian i turystów przyćmiewa je na co dzień sława wielkiego dzieła Wita Stwosza, a przecież ponad sto oryginalnych średniowiecznych kwater witrażowych w krakowskiej bazylice Najświętszej Marii Panny to największy taki zespół w Polsce, a przy tym jeden z niewielu, które przetrwały przez wieki w miejscu swojego pierwotnego przeznaczenia.

Monumentalny cykl oparty m.in. na rękopisie *Biblia pauperum* powstał w latach 1360-1365 na zlecenie fundatorów prezbiterium – krakowskich patrycjuszy i mieszczan, na których czele stał nestor słynnego rodu Wierzynków Mikołaj starszy. Do realizacji przedsięwzięcia zatrudniono aż dwa działające równolegle warsztaty witrażowe kierowane przez mistrzów przybyłych z Pragi i Wiednia, a tempo ich pracy budzi szacunek do dziś. Po ponad sześciu wiekach dzięki rusztowaniom wzniesionym dla konserwatorów ołtarza kilka ze 115 zachowanych w apsydzie kwater (m.in. *Stworzenie aniołów*, *Stworzenie słońca i księżyca*, *Pijaństwo Noego* czy *Cierniem koronowanie*) można było na pewien czas wymontować. Za zgodą proboszcza bazyliki, archiprezbitera ks. dr. Dariusza Rasia mariackie witraże stały się centralnym punktem otwartej w lutym w Gmachu Głównym MNK wystawy prezentującej unikatowe zabytki z polskich kościołów, klasztorów oraz muzealnych i prywatnych kolekcji. Ekspozycja oraz towarzyszący jej katalog to podsumowanie kierowanego przez kuratorkę, dr Dobrosławę Horzelę pięcioletniego projektu „Korpus witraży średniowiecznych w Polsce".

Kombinacje odpowiednio przyciętych szkieł – pokrytych kilkoma warstwami farby i wypalanych w piecu, a następnie ujętych w stanowiące kontury rysunku ołowiane ramki – znane były w zachodniej Europie już w czasach karolińskich (IX-X wiek). Ogromny rozkwit tej dziedziny sztuki nastąpił w związku z upowszechnieniem się stylu gotyckiego w architekturze. Przestronne otwory w ścianach pnących się w górę budowli doskonale nadawały się do wypełniania coraz wspanialszymi przeszkleniami. Wielobarwne kompozycje w oknach i rozetach świątyń ożywały wraz ze wschodem słońca, by chwalić Stwórcę świata i opowiadać historię zbawienia ludzkości, a poprzez wizerunki świętych wskazywać wiernym właściwe wzorce moralne. Choć przedstawione na malowidłach skomplikowane treści teologiczne w sferze intelektualnej czytelne były głównie dla wykształconych elit, to światłem i feerią barw oddziaływały na wszystkich. Witrażownictwo stało się jedną z najważniejszych dziedzin średniowiecznego malarstwa.

Wykonanie przeznaczonego dla konkretnej budowli malarskiego przeszklenia było ogromnym artystycznym i technicznym wyzwaniem: wymagało fachowej wiedzy, precyzji oraz znajomości zagadnień związanych z architekturą. Było też bardzo kosztowne, udana realizacja w widomy sposób potwierdzała więc prestiż zleceniodawcy. Jak pracował średniowieczny witrażysta? Jakie umiejętności musiał posiadać, by tworzyć swoje „świecące obrazy"? Pracę nad zleceniem rozpoczynano w warsztacie od opracowania ogólnego projektu zwanego *vidimus* (łac. 'widzieliśmy'). Po zaakceptowaniu wstępnego planu przez zamawiającego należało pozyskać materiały do jego realizacji. Czasem surowce trzeba było sprowadzać z odległych części Europy, ale warto było się trudzić, bo ich dobór decydował o barwach witraża oraz o tym, jaka ilość światła będzie przenikać do wnętrza. Najważniejszym momentem i warunkiem powodzenia całego przedsięwzięcia było odpowiednie rozrysowanie poszczególnych kwater w skali 1:1, aby witraż idealnie pasował do okna, dla którego był przeznaczony. Było to zadanie zarezerwowane dla mistrza, który pobierał za nie wysokie wynagrodzenie. W XIV wieku projekt powstawał bezpośrednio na specjalnie zagruntowanym blacie drewnianego stołu (pamiętajmy, że pierwsza papiernia w Polsce powstała pod Krakowem dopiero w 1491 roku!). Do każdej zaplanowanej kwatery dobierano odpowiednie szkła, które następnie przycinano za pomocą rozgrzanego w piecu pręta i formowano do pożądanego kształtu przy użyciu specjalnych szczypiec. Do malowania służyły farby ze sproszkowanej miedzi lub żelaza z dodatkiem wina albo moczu, a tony uzyskiwano, nakładając cienką warstwę patyny. Malunek powstawał po stronie zwróconej do wnętrza budowli, tak by nie zniszczyły go deszcz czy mróz. Gotowe szkła układano na stole i łączono w całość odlaną z ołowiu i cyny listwą. Ostatni, wymagający użycia kosztownych rusztowań etap działań przebiegał w ścisłej współpracy z kamieniarzami wykuwającymi okienne maswerki oraz w koordynacji z innymi pracami budowlanymi. Dopiero podczas montażu okazywało się, czy na którymś etapie całego procesu nie popełniono błędu…

Nic dziwnego, że – zwłaszcza w późnym średniowieczu – twórcy witraży cieszyli się wielkim uznaniem, a ich dzieła traktowane były na równi z dokonaniami rzeźbiarzy czy malarzy. Wszyscy oni zrzeszali się we wspólnych korporacjach, a witrażystom często powierzano funkcję starszych cechu. Podobnie było w Krakowie, który w XIV wieku był jednym z najważniejszych ośrodków witrażownictwa w Polsce. Poza kościołem Mariackim wspaniałe witraże z tego okresu przetrwały także w oknach kościoła Bożego Ciała na Kazimierzu. Zachowały się również pochodzące z przełomu XIII i XIV wieku witraże z kościoła i klasztoru oo. Dominikanów, które jako depozyt w Muzeum Narodowym w Krakowie stanowią część stałej Galerii Rzemiosła Artystycznego.

Podziwiając gotyckie świątynie Krakowa, pamiętajmy o malowanych kolorem i światłem obrazach, które pozostawili nam średniowieczni mistrzowie! **(dd)**

Stworzenie aniołów, kwatera w prezbiterium kościoła Mariackiego w Krakowie, ok. 1365, fot. materiały promocyjne MNK do wystawy *Cud światła…*

Tekst powstał w oparciu o katalog wystawy *Cud światła. Witraże średniowieczne w Polsce*, red. naukowa dr Dobrosława Horzela, Muzeum Narodowe w Krakowie 2020.
www.mnk.pl

Wojciech Weiss i jego Podgórze

Malarz, rysownik, grafik, profesor i rektor krakowskiej ASP – pierwsze prace, które utorowały mu drogę do artystycznej kariery, tworzył zainspirowany pejzażem dziewiętnastowiecznego Podgórza.

Na przełomie XIX i XX wieku Podgórze – miasto założone przez Austriaków w 1784 roku (po I rozbiorze Polski) – było samodzielnym, dobrze prosperującym organizmem. Nad ciągnącą się wzdłuż brzegu Wisły zabudową górowały Krzemionki – z ich kamieniołomów od wieków pozyskiwano wapień, dlatego w klimat podgórskich uliczek wpisane były m.in. wytwórnie cementu, cegielnie, wapienniki czy składy budowlane. Ich funkcjonowaniu sprzyjała dostępność transportu – w latach 80. XIX stulecia na terenie dzisiejszej dzielnicy Podgórze istniało już kilka stacji szybko rozwijającej się C.K. Galicyjskiej Kolei Transwersalnej – w tym oddany do użytku w 1884 roku dworzec w Płaszowie.

Właśnie w kasie płaszowskiego dworca otrzymał pracę przybyły z rumuńskiej Bukowiny pracownik kolei Stanisław Weiss. W Rumunii znalazł się z żoną po upadku powstania styczniowego – w obawie przed represjami władz austriackich. Tam, w malutkiej wiosce Leorda w 1875 roku urodził się ich syn Wojciech. W 1891 roku w związku z odmową przyjęcia rumuńskiego obywatelstwa cała rodzina musiała wrócić do Galicji. Ze służbowego mieszkania w budynku płaszowskiego dworca Weissowie przenieśli się wkrótce do pobliskiego Podgórza. Tu właśnie w pełni rozwinęły się plastyczne pasje ich syna, który przy okazji przeprowadzki zamieścił w szkicowniku entuzjastyczną notatkę: „Co za dzika radość! Będę w bliskości Matejki".

Z zeszytem do rysowania nastolatek obserwował życie toczące się za oknami podgórskiej kamienicy, przemierzał ulice i zaglądał na podwórka. Wielokrotnie szkicował te same ujęcia oglądane w różnych porach roku i przy zmieniającej się pogodzie. Podgórze z rysunków i obrazów młodego artysty jest bardzo osobiste. Poszukującego własnego stylu Weissa nie interesowały charakterystyczne zabytki architektury ani ważne wydarzenia z życia miasta, uwieczniał za to widoki starego cmentarza, ulicy Lwowskiej, nieistniejącego już dziś mostu Franciszka Józefa I (rozebrano go w latach 20. XX wieku), zakola Wisły przy obecnych Plantach Nowackiego oraz wielu innych zakątków miasta na prawym brzegu Wisły. Fascynowały go opustoszałe stacje kolejowe, płaszowskie bocznice i tory – ukazywał je z różnych perspektyw, w różnorakich porach dniach i warunkach atmosferycznych. Studiował także okoliczną naturę oraz opracowywał malarsko tematy muzyczne (jeszcze przed osiedleniem się w Krakowie rodzice wysłali go na naukę do Lwowa, gdzie przez pewien czas uczęszczał do klasy fortepianu Konserwatorium Galicyjskiego Towarzystwa Muzycznego).

Wojciech Weiss, *Podgórze. Park nad Wisłą*, 1895, ze zbiorów Muzeum Krakowa

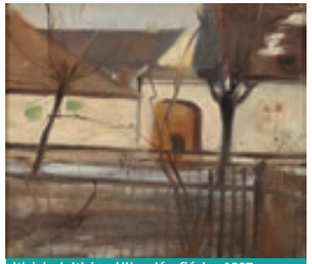

Wojciech Weiss, *Ulica Józefińska*, 1897, ze zbiorów Muzeum Krakowa

Jako uczeń krakowskiego Gimnazjum św. Anny Weiss zapisał się na wieczorowe kursy rysunku do Szkoły Sztuk Pięknych (dzisiejszej ASP). Będąc wolnym słuchaczem, marzył o przyjęciu w poczet prawdziwych studentów. To pragnienie spełniło się dzięki pochlebnej opinii samego Jana Matejki: na osobiste polecenie mistrza chłopak w wieku szesnastu lat mógł porzucić gimnazjum i rozpocząć regularne akademickie studia. Wkrótce jednym z jego najważniejszych mentorów został przybyły w tym czasie do Krakowa Leon Wyczółkowski. Student Wojciech Weiss wyróżniał się talentem i pracowitością, czego dowodem są liczne przyznawane mu nagrody, w tym wieńczący pięcioletni okres nauki złoty medal w konkursie na studium malarskie. Wśród konkursowych kompozycji z tego okresu – obok takich obrazów, jak *Wywołanie ducha Barbary Radziwiłłówny*, *Pokusa* czy *Odyseusz pod ziemią w Hadesie* oraz studiów męskich aktów – zachował się spory zespół małych prac olejnych związanych tematycznie z okolicami Podgórza i stacji w Płaszowie.

Ku motywom krakowskim Weiss zwrócił się jeszcze raz pod koniec życia (zmarł w Krakowie w 1950 roku), gdy w czasie II wojny światowej z okna pracowni Akademii Sztuk Pięknych przy ul. Basztowej spoglądał na pobliski Barbakan, Bramę Floriańską i Stare Miasto. Muzeum Krakowa od dłuższego czasu tworzy kolekcję „krakowskich" prac związanego przez całe życie z naszym miastem artysty. W 2017 roku zbiór powiększył się o dziesięć pozycji, w tym m.in. widoki dawnego miasta Podgórze. Zobaczymy je wkrótce w Muzeum Podgórza na wystawie *Podgórze Wojciecha Weissa*, która przeniesie nas w zatrzymany w czasie świat dziewiętnastowiecznych podwórek, ogrodów, zaułków i uliczek. A gdzie znajdowało się okno, z którego młody artysta obserwował codzienne życie Królewskiego Wolnego Miasta Podgórze? Na odpowiedź musimy poczekać do jesieni. **(dd)**

Wojciech Weiss, *Płaszów. Podwórko z kwitnącymi bzami*, 1897, ze zbiorów Muzeum Krakowa

Tekst powstał w oparciu o materiały Muzeum Krakowa. www.muzeumkrakowa.pl

Kraków
Muzeum Krakowa
Zostań w domu opowiedz Kraków
#zostanwdomuopowiedzkrakow
http://bit.ly/MuzeumKrakowaFB
MUZEUM KRAKOWA
INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

Prawda i piękno

Stawiany obok klasyków filozofii fenomenolog, autor porównywanego z *Metafizyką* Arystotelesa *Sporu o istnienie świata* – był także artystą.

W czerwcu tego roku przypada 50. rocznica śmierci jednego z najwybitniejszych polskich filozofów – **Romana Ingardena** (1893-1970). Uczeń Edmunda Husserla, profesor na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, po wojnie związany z krakowskim Uniwersytetem Jagiellońskim, członek Polskiej Akademii Umiejętności i Polskiej Akademii Nauk – pozostawił po sobie ogromny dorobek, w którego skład wchodzą książki, artykuły, przekłady, rękopisy o szerokim zakresie tematycznym: od filozofii literatury, przez estetykę i teorię poznania, po ontologię. Choć punktem wyjścia jego prac była fenomenologia, z czasem wypracował własny, oryginalny styl myślenia oraz terminologię wzbogacającą polski język filozofii. Na świecie uznanie przyniosły mu głównie prace z dziedziny estetyki, a tłumaczone na wiele języków rozważania o teorii sztuki cieszą się ogromną popularnością do dziś. W przekonaniu o wyjątkowości dzieła i postawy polskiego uczonego Sejm RP ustanowił rok 2020 Rokiem Romana Ingardena.

Fotograficzny autoportret Romana Ingardena, 1942 © archiwum Krzysztofa Ingardena

Przyszły uczony urodził się w Krakowie jako syn znanego inżyniera hydrologa i nauczycielki. W młodości przejawiał różne, podsycane przez rodzinę talenty, ukończył m.in. klasę skrzypiec w Konserwatorium Polskiego Towarzystwa Muzycznego we Lwowie. Od początku pociągała go także nauka, jednak przede wszystkim chciał zostać poetą. Być może to właśnie porzucone marzenie o karierze literata zaowocowało później analizami estetycznymi i filozoficzną teorią dzieła literackiego. W 1912 roku Roman Ingarden rozpoczął studia matematyki i filozofii na Uniwersytecie Lwowskim, zaś w kolejnych latach kontynuował edukację w Wiedniu, a także w Getyndze i Fryburgu Bryzgowijskim, gdzie wielki wpływ wywarł na niego inicjator ruchu fenomenologicznego Edmund Husserl. W 1918 roku obronił napisaną pod jego kierunkiem pracę doktorską. Po powrocie do wolnej Polski pracował jako nauczyciel gimnazjalny, a po uzyskaniu habilitacji został wykładowcą na Uniwersytecie Jana Kazimierza we Lwowie, gdzie w roku 1933 otrzymał profesurę. Po wojnie zamieszkał w Krakowie i jako profesor zwyczajny objął II Katedrę Filozofii na Uniwersytecie Jagiellońskim. Z nastaniem reżimu politycznego lat 50. zmuszony był na sześć lat zawiesić pracę dydaktyczną, nie mógł także publikować swoich aktualnych rozważań. Po odwilży październikowej, pod koniec 1956 roku powrócił na uczelnię, gdzie w kolejnym roku akademickim powierzono mu stanowisko kierownika Katedry Filozofii na Wydziale Filozoficzno-Historycznym UJ. Na uczelni skupił wokół siebie liczne grono uczniów i wraz z nimi stworzył w Krakowie najsilniejszy ośrodek polskiej fenomenologii. Roman Ingarden zmarł nagle 14 czerwca 1970 roku, dzień po górskiej wycieczce. Mimo że od kilku lat przebywał już wówczas na emeryturze, do końca pozostał młody duchem, pełen naukowej pasji i sił twórczych.

Pokolenia studentów różnych kierunków zgłębiają tomy *opus magnum* Romana Ingardena – *Sporu o istnienie świata.* Filozof pracował nad nim intensywnie podczas II wojny światowej w okupowanym najpierw przez Rosjan, a potem Niemców Lwowie. W absolutnie niesprzyjających warunkach, w sytuacji totalnego zniewolenia stworzył rozprawę, która stała się sztandarowym dziełem fenomenologii i ważnym punktem odniesienia dla innych filozofów w Polsce i na świecie. Czytamy także klasyczne dziś jego pisma o sposobie istnienia dzieła sztuki czy naturze człowieka rozdartego pomiędzy

Tatry, maj 1963, fot. R. Ingarden © archiwum Krzysztofa Ingardena

sferą natury i kultury. Jednak czy zdajemy sobie sprawę, że autor *Studiów z estetyki*, rozważań o poznaniu dzieła literackiego czy dysertacji o tożsamości utworu muzycznego sam także był artystą? Twórcze pasje realizował przez kilkadziesiąt lat – jako fotograf. Najwięcej zdjęć powstało w latach 1950-1956, gdy wykluczony z publicznej działalności nie mógł prowadzić wykładów ani ogłaszać naukowych artykułów. W zbiorach rodzinnych zachowała się ogromna kolekcja fotografii, którą wnuk profesora Krzysztof Ingarden postanowił powierzyć Muzeum Sztuki Współczesnej w Krakowie. Do Archiwum MOCAK-u trafiło pięć tysięcy zdjęć z lat 1940-1970. Autoportrety i portrety, przyroda, architektura, martwe natury – czarno białe obrazy odsłaniają nieznaną twarz Romana Ingardena: posągowy uczony okazuje się człowiekiem romantycznym, psychologicznie wnikliwym, czułym na ulotność piękna. Uzbrojony w naukowy aparat poznawczy filozof odkrywa przed nami swoją wrażliwość oraz nieśmiałość wobec świata, któremu się przygląda.

Przekazana do Archiwum MOCAK-u kolekcja artystycznych fotografii Romana Ingardena wpisuje się w cykl projektów, w których krakowskie muzeum prezentuje znanych poetów, prozaików i myślicieli w ich mniej oczywistych rolach twórczych – jako malarzy, rysowników, twórców kolaży czy fotografów. Dotychczas zorganizowano m.in. wystawy poświęcone wybitnym pisarzom i poetom, w tym kolaży Wisławy Szymborskiej i Herty Müller, rysunków Zbigniewa Herberta czy obrazów Joachima Ringelnatza. Każdej z nich towarzyszyła obszerna publikacja analizująca i porównująca różne uprawiane przez autora dziedziny twórczości. Z niecierpliwością czekamy na kolejną z serii nieoczywistych prezentacji – Romana Ingardena.

W obecnym trudnym czasie sięgnijmy do *Książeczki o człowieku* – w zawartych w niej, napisanych w przystępny sposób tekstach wielki filozof wskazuje nam kierunki myślenia o tym, kim jesteśmy dla siebie, czym wyróżniamy się w przyrodzie, jak radzimy sobie z czasem i przemijaniem, kiedy czujemy się wolni, czym jest odpowiedzialność... „Jestem siłą, która się ostaje w przeciwnościach losu, gdy czuje i wie, że swobodnym swym czynem z niebytu wywoła to, co po niej pozostanie, gdy sama się już w walce spali. Jestem siłą, co chce być wolna. I nawet trwanie swoje wolności poświęci. [...] Trwać i być wolna może tylko wtedy, jeśli sama siebie dobrowolnie odda na wytwarzanie dobra, prawdy i piękna. Wówczas dopiero istnieje" – to słowa, które pozostają aktualne bez względu na czas i sytuację, w których je czytamy. **(dd)**

Tekst powstał w oparciu o materiały MOCAK-u. www.mocak.pl

Mistrzowie w Nowej Hucie

Kulturalna mapa Krakowa wzbogaciła się w ostatnich latach o kolekcje prac dwóch autorów, którzy pozostawili wyrazisty ślad w sztuce polskiej drugiej połowy XX wieku.

Od października 2016 roku w Nowohuckim Centrum Kultury działa ciesząca się zasłużoną renomą **Galeria Zdzisława Beksińskiego**, która obok stałego zestawu 50 obrazów, głównie z lat 80. XX wieku, cyklicznie prezentuje także fotografie i rysunki artysty. Z kolei w styczniu tego roku działalność w ramach NCK zainaugurowała **Galeria Jerzego Dudy-Gracza**, a jej program wystawienniczy rozpisano już na kolejne dwie dekady. Na początek w obejmującej ponad 200 metrów kwadratowych przestrzeni nowej galerii pokazano blisko 100 prac autora *Motywów*, *Tańców*, *Dialogów* i *Pejzaży polskich* czy malowanych od 1986 roku *Obrazów prowincjonalno-gminnych*. W przygotowanym na inaugurację zestawie znalazły się najbardziej znane kompozycje ukazujące szarą polską codzienność lat 70. i 80. XX wieku, ale także mniej popularne fragmenty cyklu powstałego pod wpływem muzyki

Jerzy Duda-Gracz, *Autoportret*, 1981, olej, płyta pilśniowa

Jerzy Duda-Gracz, *Józefowi Chełmońskiemu*, 1979, olej, płyta pilśniowa

Fryderyka Chopina oraz inspirowane krajobrazem Wyżyny Krakowsko-Częstochowskiej pejzaże „jurajskie". Wszystkie pochodzą ze zbiorów rodzinnych: żony artysty Wilmy oraz córki, znanej reżyserki teatralnej Agaty Dudy-Gracz.

Jak to się stało, że dzieła autora urodzonego w Częstochowie i kojarzonego przede wszystkim ze Śląskiem oraz katowickimi uczelniami artystycznymi znalazły stałe miejsce właśnie w Nowej Hucie? „O otwarciu w Krakowie Galerii Jerzego Dudy-Gracza mówiło się już kilka lat po śmierci artysty w 2004 roku – wspomina kuratorka Joanna Gościej-Lewińska, kierowniczka Galerii Centrum NCK, a zarazem autorka aranżacji obu prezentacji. „Długo nie udawało się znaleźć odpowiedniej lokalizacji. Dopiero w 2011 roku pojawił się pomysł, aby miejscem ekspozycji uczynić zabytkowy zajazd pod św. Benedyktem w Podgórzu. Wówczas jednak przedstawicielom rodziny nie udało się osiągnąć porozumienia z władzami miasta i sprawę trzeba było odłożyć na następnych kilka lat. [...] Ważnymi momentami na drodze do powołania do życia galerii stały się dwa wydarzenia, oba związane z Nowohuckim Centrum Kultury: przeglądowa wystawa twórczości Jerzego Dudy-Gracza w Galerii Centrum NCK w październiku 2015 roku oraz otwarcie rok później w nowohuckiej placówce Galerii Zdzisława Beksińskiego. Dlaczego to było istotne? Otóż wspomniana wystawa, której towarzyszyło wydanie albumu oraz otwarta dyskusja poprowadzona przez Tadeusza Nyczka, znanego krytyka i znawcę twórczości Dudy-Gracza, doszła do skutku dzięki ścisłej współpracy NCK z rodziną malarza. Zbudowany został wtedy między stronami kapitał zaufania niezbędny do podejmowania przedsięwzięć bardziej długofalowych. NCK miało też okazję pokazania się jako przestrzeń przyjazna dla sztuki, otwarta na ambitne wyzwania i przygotowana pod względem technicznym".

W 2018 roku zostało podpisane porozumienie między prezydentem Krakowa prof. Jackiem Majchrowskim a Agatą Dudą-Gracz – w ten sposób rodzinna kolekcja trafiła pod opiekę Nowohuckiego Centrum Kultury. Zbiór obejmuje w sumie 300 prac z różnych okresów. W ciągu najbliższych 20 lat będą one stopniowo pokazywane w kolejnych odsłonach stałej prezentacji. „Zawsze zależało mi, żeby był tutaj, ponieważ to miasto go nie lubiło, a on się na nie obrażał. Natomiast dla mnie stało się najważniejszym i ukochanym miejscem, w którym żyję" – wyjaśniała motywy umieszczenia zbioru prac ojca w krakowskiej placówce reżyserka.

Przywołany przez kuratorkę sukces Galerii Zdzisława Beksińskiego jest owocem długotrwałych prywatnych zabiegów o stworzenie w Polsce Muzeum Zdzisława Beksińskiego. Kolekcja Anny i Piotra Dmochowskich, z której pochodzą prezentowane w galerii prace, to największy niepubliczny zbiór prac artysty: 100 obrazów, 100 rysunków i 100 zdjęć artystycznych. Prowadzący w Paryżu własną galerię Piotr Dmochowski był marszandem Beksińskiego (w latach 1984-1995) i wielkim popularyzatorem jego dzieł na zagranicznym rynku sztuki. Ich wzajemna relacja (zerwana na pewien czas w dość burzliwych okolicznościach) została pokazana w głośnym filmie Jana P. Matuszyńskiego *Ostatnia rodzina*, a lepiej można poznać ją z publikacji Dmochowskiego obejmujących m.in. jego wieloletnią korespondencję z artystą (całość dostępna jest na: www.beksinski.dmochowskigallery.net). W 2004 roku, krótko przed tragiczną śmiercią autora, zgromadzone przez małżeństwo prace zostały pokazane na wystawach w Częstochowie i Krakowie. Dziesięć lat później 50 obrazów (w większości najbardziej znanych, „fantastycznych" prac z lat 80. XX wieku), 100 rysunków i 100 fotografii zostało nieodpłatnie przekazanych w depozyt NCK. Centrum umieściło je w obejmującej 200 metrów kwadratowych

Zdzisław Beksiński, *Olej 62*, 1981

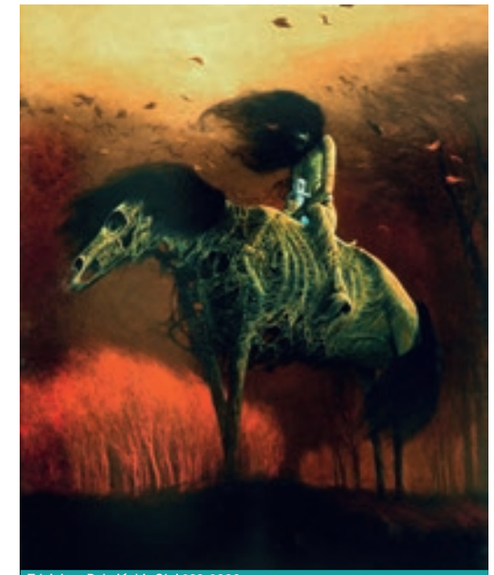

Zdzisław Beksiński, *Olej 122*, 1986

przestrzeni ekspozycyjnej, spełniając tym samym wieloletnie marzenie kolekcjonera o stworzeniu w Polsce stałej prezentacji zgromadzonych przez niego prac. Wzbogacana czasowymi pokazami rysunków i fotografii ekspozycja obrazów zdołała w ciągu kilku lat przyciągnąć do Nowej Huty publiczność z całego Krakowa.

„Dwóch niezwykle utalentowanych, oryginalnych, pracowitych, cieszących się wielkim rozgłosem i... bardzo różnych artystów. Prywatnie znali się, cenili i odwiedzali, choć osobowościowo różnili diametralnie. Łączyła ich natomiast niezłomność charakterów, niezależność intelektualna, wierność zasadom oraz coś, co dziś wielu wydaje się anachronizmem, niemal dziwactwem: warsztatowy perfekcjonizm. Byli bowiem absolutnymi mistrzami malarskiego rzemiosła!" – podkreśla Joanna Gościej-Lewińska.

Obok kontrowersyjnych nieraz dzieł obu autorów trudno przejść obojętnie: u jednych budzą zachwyt i uwielbienie, u innych odrazę czy nawet nienawiść... Czy przyjmiemy, czy odrzucimy artystyczne wizje, które nam pozostawili? Oby obie galerie mogły jak najszybciej znów uchylić przed wszystkimi drzwi do ich poznania! **(dd)**

Tekst powstał w oparciu o materiały Nowohuckiego Centrum Kultury.
www.nck.krakow.pl/beksinski
www.nck.krakow.pl/jerzy-duda-gracz

Kolekcja Bunkra Sztuki

Malarstwo, obiekty, instalacje, wideo, dokumentacje performansów – kolekcja Galerii Bunkier Sztuki obejmuje 400 prac artystów współczesnych z Polski i zagranicy.

Historia kolekcji rozpoczęła się ponad pół wieku temu, gdy w połowie lat 60. ruszyły pierwsze zakupy dzieł sztuki dla powołanego w 1950 roku Krakowskiego Oddziału Centralnego Biura Wystaw Artystycznych. W 1965 roku przy Plantach otwarto zaprojektowany przez Krystynę Tołłoczko-Różyską w brutalistycznym stylu Pawilon Wystawowy BWA, który krakowianie szybko ochrzcili „bunkrem". To określenie nawiązywało do charakterystycznej betonowej fasady autorstwa rzeźbiarza Antoniego Hajdeckiego, a zarazem stawiało nową galerię w opozycji do pobliskiego secesyjnego Pałacu Sztuki. Kiedy w 1994 roku BWA otrzymało status galerii miejskiej, powszechnie stosowane określenie stało się oficjalną nazwą nowej instytucji.

W okresie PRL w pawilonie przy Plantach odbywały się przyciągające cały kulturalny Kraków wystawy i spotkania środowiska artystycznego, m.in. cykliczne przeglądy Międzynarodowego Biennale Grafiki, Spotkań Krakowskich czy Rzeźby Roku. Jednocześnie działająca w ramach sieci Biur Wystaw Artystycznych galeria otrzymywała z Wydziału Kultury Miejskiej Rady Narodowej w Krakowie fundusze na zakup prac lokalnych artystów. Po przemianach ustrojowych większość zgromadzonych wcześniej zbiorów została w 1993 roku wyprzedana na specjalnie zorganizowanej aukcji, a środki uzyskane z licytacji przeznaczono na bieżącą działalność. Równocześnie na kilka lat wstrzymano wszelkie zakupy.

Wraz z nowym stuleciem budowanie kolekcji rozpoczęło się po raz drugi. Także i tym razem kupowano głównie prace artystów z Krakowa lub związanych z naszym miastem. Wiele pozyskanych dzieł pochodziło z kolejnych prezentowanych w Bunkrze Sztuki wystaw. Niektóre prace powstawały specjalnie na te pokazy, a następnie część z nich autorzy przekazywali do kolekcji. Obecnie na Kolekcję Bunkra Sztuki składa się 400 prac kilkudziesięciu artystów polskich i zagranicznych. Autorzy reprezentują różne generacje – od mistrzów polskiej awangardy i klasyków współczesności po twórców najmłodszego pokolenia. Cechują ich różne doświadczenia, wrażliwość czy zainteresowania, a dzieła, które tworzą – różnorodność poruszanych tematów, eksperymentów artystycznych oraz języków formalnych i wykorzystywanych technik (malarstwo, projekcje, instalacje, obiekty, filmy, fotografie, lightboxy, happeningi czy performanse). Wszystkie zgromadzone prace tworzą wielobarwny i wciąż otwarty na nowe zjawiska obraz Kolekcji Bunkra Sztuki.

Marcin Maciejowski, *Lekarz powiedział...*, 2001, olej na płótnie | widok z wystawy *Artyści polscy w Kolekcji Bunkra Sztuki*, Bunkier Sztuki 2019, fot. P. Wodniak

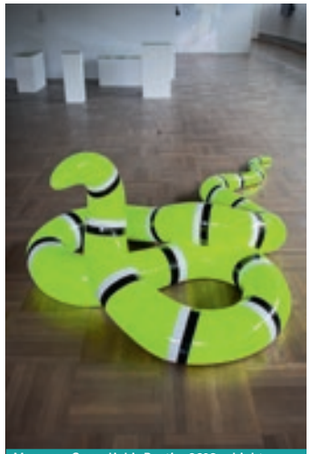

Maurycy Gomulicki, *Bestia*, 2013, obiekt (gips, stal, żywica epoksydowa, lakier samochodowy) | widok z wystawy *Artyści polscy w Kolekcji Bunkra Sztuki*, Bunkier Sztuki 2019, fot. P. Wodniak

Największy jak dotąd pokaz kolekcji odbył się w 2007 roku w Sukiennicach – w ramach wystawy *Wreszcie nowa! Małopolskie kolekcje sztuki nowoczesnej* zaprezentowano około stu prac. Pewną część obecnych zbiorów mogliśmy obejrzeć podczas ubiegłorocznego pokazu *Artyści polscy w Kolekcji Bunkra Sztuki* obejmującego prace blisko 50 autorów. Od 2017 roku 52 szczegółowo opisane eksponaty z kolekcji dostępne są cyfrowo w Wirtualnych Muzeach Małopolski. Znajdziemy tam m.in. prace Jadwigi Sawickiej, Wilhelma Sasnala, Bartosza Kokosińskiego, Małgorzaty Markiewicz, Bogusława Bachorczyka, Anny Zaradny oraz wielu innych artystów, którzy swoją twórczością z jednej strony wchodzą w dialog z zastanym dziedzictwem i reinterpretują opisane już wcześniej zjawiska, z drugiej reagują na aktualne sytuacje społeczne, często zajmując krytyczne stanowisko wobec otaczającej nas rzeczywistości.

W ostatnich miesiącach program wystawienniczy Galerii Bunkier Sztuki koncentrował się na indywidualnych prezentacjach artystów wywodzących się z „wylęgarni" artystycznej współczesności, jaką od stu lat jest Kraków. W tym roku mogliśmy obejrzeć pierwszą tak dużą wystawę Agaty Kus, a także pokaz prac bardzo doświadczonego twórcy Piotra Lutyńskiego. Niestety, planowany na początek kwietnia wernisaż wystawy Adama Rzepeckiego musiał zostać odłożony na późniejszy termin. Ekspozycja zatytułowana *Stary Rzepecki patrzy na młodego Rzepeckiego* ma być autorskim podsumowaniem jego dorobku, opartym na figurze spotkania dojrzałego, siedemdziesięcioletniego obecnie artysty z nieukształtowaną jeszcze wersją siebie z czasów pierwszych życiowych i artystycznych wyborów.

„Sztuka uczy, że wszystkie trudne doświadczenia mogą być zamienione w wartość" – pisze dyrektor Maria Anna Potocka w opublikowanych na stronie galerii *Słowach na czas zarazy*. Pamiętajmy o tym ważnym przesłaniu w oczekiwaniu na możliwość otwarcia wystawy Adama Rzepeckiego i realizacji innych zaplanowanych przez Bunkier Sztuki przedsięwzięć – o których będziemy na bieżąco informować. **(dd)**

Tekst powstał na podstawie materiałów Galerii Sztuki Współczesnej Bunkier Sztuki.
www.bunkier.art.pl

Kraków
ADAM RZEPECKI
STARY RZEPECKI PATRZY NA MŁODEGO RZEPECKIEGO
GALERIA SZTUKI WSPÓŁCZESNEJ
BUNKIER
GALLERY OF CONTEMPORARY ART
PL. SZCZEPAŃSKI 3A, KRAKÓW
WWW.BUNKIER.ART.PL

Adam Rzepecki, z cyklu *Autoportrety z Krakowa* , 1979, fotografia
PATRONI MEDIALNI GALERII
TVP 3 KRAKÓW
RMF Classic
KARNET
lounge

Tradycja i nowa energia

W 2018 roku w mury krakowskiej świątyni sztuki wkroczył niepokorny duch artystów – w formule nawiązującej do tradycji, lecz z nową energią i otwartym spojrzeniem w przyszłość.

Krakowski Salon Sztuki 2018, wernisaż 12 października 2018, fot. Mateusz Torbus

Zorganizowany w Pałacu Sztuki TPSP po raz pierwszy w październiku 2018 roku **Krakowski Salon Sztuki** wpisał się w istniejącą w mieście potrzebę spotkania – zarówno w gronie związanych z Krakowem artystów, jak i zaproszonej publiczności. W intencji organizatorów, Krakowskiego Biura Festiwalowego oraz Fundacji Artyści Innowacja Teoria, cykliczne wydarzenie ma integrować lokalne środowisko artystyczne, a miłośnikom sztuki umożliwiać kontakt z najnowszymi tworzonymi w Krakowie realizacjami. Pierwsza edycja kładła silny nacisk na ideę „sojuszników sztuki" – prywatnych mecenasów i przyjaciół sztuk wizualnych. Za najlepszą dla realizacji tych założeń uznano tradycyjną formułę salonu artystycznego, a za naturalne miejsce do wcielenia ich w życie – secesyjny gmach **Pałacu Sztuki**, siedzibę Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie.

Otwarty w 1901 roku budynek wzorowany na pawilonie wystawowym Secesji Wiedeńskiej pomyślany został jako świątynia sztuki. Dominująca nad głównym wejściem głowa Apollina otoczona promieniami oraz umieszczone wśród liści wawrzynu godło artystów symbolizują moc władającego tym miejscem artystycznego kunsztu. Od strony placu Szczepańskiego na ścianie gmachu króluje spiżowe popiersie Jana Matejki, ozdobiona biustami kilku artystów ściana od strony Plant tworzy tło dla profilu Artura Grottgera z pobliskiego pomnika projektu Wacława Szymanowskiego. Okalający budynek monumentalny fryz skomponowany przez Jacka Malczewskiego przedstawia pochody artystów – szczęśliwych oraz tych, których sztuka ugina i łamie – a towarzyszą im ukazane symbolicznie Wiara, Miłość i Nadzieja oraz Rozpacz, Ból i Zwątpienie…

Krakowski Salon Sztuki 2018, wernisaż 12 października 2018, fot. Mateusz Torbus

Usytuowany na działce zakupionej za pieniądze ze sprzedaży cyklu rysunków Artura Grottgera Pałac Sztuki od początku miał służyć lokalnemu środowisku artystycznemu. Działającemu w Krakowie od połowy XIX wieku Towarzystwu zależało na krzewieniu wiedzy o sztuce i propagowaniu postawy zaangażowania w sprawy artystów. Właśnie dlatego w jednej z pierwszych odezw prasowych dyrekcja zobowiązywała się zorganizować „zbiór znakomitszych dzieł sztuki, na których by smak ogólny mógł się wykształcać, zamiłowanie sztuki wzrastać i krytyka zdrowa a sprawiedliwa wyrabiać się miała". Organizacja w tym miejscu już w XXI wieku Krakowskiego Salonu Sztuki wpisała się w najlepsze tradycje TPSP.

W 2018 roku w zorganizowanej w Pałacu Sztuki wystawie Krakowskiego Salonu Sztuki wzięło udział 116 artystek i artystów. Publiczność mogła obejrzeć blisko 200 najnowszych prac: obrazy, rysunki, grafiki, fotografie, rzeźby, obiekty i instalacje, prace wideo, dokumentacje działań performatywnych oraz realizacje eksperymentujące z obrazem i dźwiękiem, działania na żywo. Niecodzienna, wykorzystująca materiały z recyklingu aranżacja wystawy kompletnie odmieniła tradycyjną przestrzeń Pałacu Sztuki, podkreślając różnorodność prezentowanych dzieł i zapraszając do poszukiwania własnych odkryć i ścieżek zwiedzania. Wyrazem otwarcia Salonu na publiczność oraz jej opinie o prezentowanych dziełach było przeznaczenie jednej z nagród Krakowskiego Salonu Sztuki dla autora pracy, której odwiedzający wystawę przyznali w głosowaniu największą liczbę rekomendacji. Po raz pierwszy wręczono także prywatne Stypendium Twórcze im. Wojtka Falęckiego, ufundowane przez żonę i córkę znanego kolekcjonera.

Krakowski Salon Sztuki 2019, wernisaż 15 listopada 2019, fot. Mateusz Torbus

Druga edycja Salonu, zorganizowana w listopadzie ubiegłego roku, także odwoływała się do pojęcia „salonu artystycznego" – o ile jednak w roku 2018 punktem odniesienia dla autorów koncepcji wydarzenia były salony oficjalne, teraz ich uwaga skierowała się w stronę prywatnych salonów towarzysko-kulturalnych, jakie pod koniec XIX wieku prowadzono w wielu zamożnych krakowskich domach. Atmosfera kameralnego spotkania, gdzie w towarzystwie przyjaciół i znajomych dyskutuje się o sztuce i aktualnych wydarzeniach, znalazła odbicie zarówno w aranżacji wystawy, jak i w programie towarzyszących jej wydarzeń. W trakcie dziesięciu listopadowych dni Pałac Sztuki odwiedziło aż 8000 osób, które obejrzały ponad 130 nowych prac stworzonych przez 112 artystów i kolektywów. Dużym zainteresowaniem publiczności cieszyło się odbywające się w przestrzeni wystawy Sympozjum – cykl debat i wykładów na temat kwestii reprezentacji i towarzyskości w polskim świecie sztuki. Podobnie jak rok wcześniej przyznano nagrody, a część prac została sprzedana podczas wieńczącej wydarzenie aukcji.

Po raz kolejny najlepsze artystyczne tradycje Krakowa udało się połączyć z buzującą w mieście energią współczesności. **(dd)**

Pałac Sztuki, Krakowski Salon Sztuki 2019, fot. Jacek Florek

Pałac Sztuki
The Fine Arts Palace

Ponad 30 wystaw rocznie
Over 30 exhibitions yearly

Sztuka dawna i współczesna
Old and contemporary art

3 powierzchnie wystawowe
3 exhibition areas

plac Szczepański 4, 31-011 Kraków
www.palac-sztuki.krakow.pl

Dworek Jana Matejki
Manor House of Jan Matejko

Pamiątki po wielkim malarzu Janie Matejce
Mementos of the great art painter Jan Matejko

Matejkowski Poczet 40 Królów i Książąt Polski
The Roster of 40 Polish Kings of Jan Matejko

ul. Melchiora Wańkowicza 25, 31-752 Kraków
www.palac-sztuki.krakow.pl

Szlakiem krakowskich murali

Jeszcze do niedawna były zjawiskiem niszowym i nierzadko – nielegalnym. Dziś są dla nas czymś naturalnym, często nawet pożądanym w miejskiej przestrzeni, w której pełnią funkcję ozdobną i podkreślają charakter miejsca czy nawet całej dzielnicy. Mowa oczywiście o muralach, wielkoformatowych grafikach wykonanych na ścianach budynków. Przyjrzyjmy się wybranym realizacjom w trzech krakowskich dzielnicach: na Kazimierzu, w Podgórzu i Nowej Hucie – w jaki sposób nawiązują do ich historii i klimatu?

Żydowski Kazimierz

Krakowski Kazimierz znany jest z tętniących życiem uliczek, artystycznych inicjatyw, nastrojowych knajpek i licznych galerii sztuki. Współcześnie w dzielnicy koncentruje się nocne życie miasta, przyciągające zarówno mieszkańców, jak i turystów. Realizacje sztuki ulicznej Kazimierza mają przypominać o jego historii jako autonomicznej enklawy dla społeczności żydowskiej.

Ulica św. Wawrzyńca 14. Piękny, dostojny lew z twarzą dziecka o zagubionym wzroku zderza żydowską tożsamość dzielnicy z czasami współczesnymi. Motyw grafiki wykonanej przez izraelskiego artystę Pila Peleda nawiązuje do Lwa Judy, żydowskiego symbolu narodowego, obecnego np. w herbie Jerozolimy. „Dziecko to mały, przerażony naród. W połączeniu z lwem – symbolem siły – przypomina wieczną walkę Żydów. Mural odkrywa również dziecko w każdym z nas. Uświadamia potrzebę walki z własnymi lękami. Juda symbolizuje siłę i prawość. Juda dała imię wszystkim Żydom" – opowiada autor malowidła powstałego na zamówienie Festiwalu Kultury Żydowskiej w 2013 roku.

Czarno-biała grafika wykonana przez izraelski kolektyw Broken Fingaz – przedstawiająca ludzkie twarze

Judah, fot. Jacek Kabziński

Typomural, fot. Aleksandra Toborowicz

i napisy w jidysz – zdobi ścianę trzypiętrowej kamienicy przy placu Bawół 3. Miejsce graffiti nie jest przypadkowe – budynek wybudowany został w XVII wieku przez żydowską rodzinę Bosaków, której pokolenia zamieszkiwały kamienicę przez ponad 300 lat! Inspiracją do stworzenia dzieła była twórczość secesyjnego artysty Maurycego Liliena, absolwenta Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie. Rzeczywiście – roślinna ornamentyka, linearyzm oraz swobodne układy kompozycyjne muralu odsyłają nas do stylu *art nouveau*. Grafika powstała w 2014 roku z inicjatywy Festiwalu Kultury Żydowskiej.

Światowej sławy bizneswoman Helena Rubinstein, polski król Kazimierz III Wielki, urodziwa Esterka Malach, cesarz Józef II Habsburg i krakowski architekt Karol Knaus – twarze tych postaci zdobią arkady muru przy ulicy Józefa 7. Założeniem powstałego w 2015 roku projektu „Kazimierskie murale historyczne" było wypełnienie tych zaniedbanych przestrzeni motywem odwołującym się do historii krakowskiego Kazimierza. Mural mający walory edukacyjne jest dzisiaj jednym z chętniej podziwianych i fotografowanych miejsc dzielnicy.

Literackie Podgórze

Podgórze to poprzemysłowa dzielnica, która coraz chętniej wchodzi w kulturalne życie miasta. Jego zabytkowa zabudowa poddawana jest stopniowej rewitalizacji, a do współpracy nad jej upiększaniem zapraszani są artyści. Ich prace przedstawiają Podgórze w mniej oczywistym świetle – jako dzielnicy literatury.

Mural przy ulicy Traugutta jest efektem warsztatów z typografii miejskiej zorganizowanych w ramach akcji Strefa Wolnego Czytania w 2011 roku. Literackie graffiti – powstałe pod opieką Aleksandry Toborowicz i Artura Wabika – rozciąga się na kilkunastu metrach kwadratowych bocznej ściany budynku. Utrzymane jest w tonacji czarno-białej, przełamanej trzema kontrastującymi kolorami. Litery układające się w grzbiety książek sprawiają, że płyta bloku staje się półką biblioteczną dla różnorodnych dzieł światowej literatury.

Kolejnym literackim muralem w Podgórzu jest projekt Filipa Kuźniarza *Pomyśl: Literatura!/Lem* powstały we współpracy Fundacji Sztuki Nowej ZNACZY SIĘ i Krakowskiego Biura Festiwalowego. Został zrealizowany w 2012 roku na czwartą edycję Festiwalu Conrada. Nad kilkumetrowym kroczącym robotem znajduje się cytat ze zbioru esejów *Dialogi* Stanisława Lema: „Coraz większa będzie dziedzina zjawisk, nad którymi pieczę roztaczać będą automaty. Na koniec ludzie skarleją do wymiaru bezmózgich sług żelaznych geniuszy i, być może, poczną oddawać im cześć boską". Słowa te umieszczone w przestrzeni Podgórza nabierają nowego (złowieszczego!) znaczenia w czasach narodzin sztucznej inteligencji, a zarazem przypominają o przemysłowych początkach dzielnicy.

Zbaczając ze szlaku murali, ale wciąż podążając tropem literackim, nie zapominajmy o schodach przy ulicy Tatrzańskiej. *Kolorowe schody* powstały w ramach

Kompozycja kubihutyczna 1, fot. streetartkrakow.pl

Grolsch ArtBoom Festival i wpisanego w jego program konkursu Fresh Zone w 2013 roku. Na pomalowanych na różne kolory 55 stopniach wypisane zostały cytaty z literatury polskiej i światowej. *Kolorowe schody* stały się jedną z atrakcji turystycznych Podgórza i stanowią znakomity dowód na to, że z założenia efemeryczne działanie sztuki ulicznej może zyskać akceptację lokalnej społeczności i wrosnąć w tkankę miasta.

Dawna Nowa Huta

Pomimo bogatej oferty rekreacyjnej i kulturalnej Nowa Huta od lat zmaga się z krążącymi na jej temat stereotypami. Odzwierciedleniem tych problemów są projekty murali, które zdają się tworzyć most ze starszymi dzielnicami Krakowa.

Kompozycja kubihutyczna 1 jest zwycięskim projektem Dariusza Milczarka w konkursie na ekomural organizowanym przez Urząd Miasta Krakowa w 2017 roku. Industrialna i geometryczna forma na ścianie bloku na osiedlu Złotej Jesieni 11a ukazuje sprzeczności związane z wizerunkiem dzielnicy. Realizacja łącząca soczyste odcienie zieleni, fioletów i błękitów, w które wplata kominy kombinatu, zestawia parkowe oblicze Nowej Huty z jej wizerunkiem miasta-maszyny.

Mural Pauliny Jaklik z 2015 roku w parku Zielony Jar zwraca uwagę na bogatą historię Nowej Huty. Historyczno-edukacyjne graffiti przedstawia plan urbanistyczny dawnego miasta, grupę milicjantów, nowohuckie strajki i scenę obalenia pomnika Włodzimierza Lenina w alei Róż.

Przy Klubie Osiedlowym „Jędruś" na osiedlu Centrum A odnajdziemy mural autorstwa Joela Bergnera z 2016 roku. Praca nad nim była akcją społeczną, do której mógł przyłączyć się każdy – artyście pomagali podopieczni Klubu „Jędruś", młodzież z Placówki Opiekuńczo-Wychowawczej z Kłaja oraz mieszkańcy Krakowa. Graffiti, oprócz kominów kombinatu, prezentuje niczym krakowska szopka zestaw typowych symboli – kościół Mariacki, Lajkonika, mężczyznę w stroju ludowym, a nawet smoka wawelskiego. Jest to bezpośredni przykład próby zespolenia dzielnicy ze starszą częścią miasta.

***

Zaprezentowane projekty street artu w Krakowie korespondują z miejscami, w których powstały. Przypominają o ich historii, nadają im nowe znaczenia lub zwracają uwagę na lokalne problemy. Pamiętajmy, że sztuka uliczna charakteryzuje się ulotnością – niszczeje wystawiona na czynniki naturalne lub bywa usuwana ze względów porządkowych. Podziwiajmy ją póki czas, wkrótce może być już nie do odnalezienia. **(wz)**

Kamera... Akcja!

Kraków od dawna stanowi ważny punkt na filmowej mapie Polski.

Zachowany niemal w całości zabytkowy charakter jego centrum czyni go naturalnym tłem dla filmów historycznych i nie tylko. Ponad tysiącletnie dzieje, mnogość stylów i wpływów architektonicznych – od sztuki romańskiej aż po socrealizm – sprawiają, że filmowcy uznają nasze miasto za świetne miejsce akcji, i to o różnorodnym charakterze.

Wspieranie filmowców

By wspierać produkcje filmowe i telewizyjne realizowane na terenie miasta Krakowa oraz województwa małopolskiego, w 2008 roku Krakowskie Biuro Festiwalowe powołało do życia **Krakow Film Commission**. Głównym zadaniem tej struktury jest pomoc w uzyskiwaniu wszelkich wymaganych zezwoleń i dostępu do lokacji publicznych na terenie całego regionu. Współpraca KFC z filmowcami rozpoczyna się na najwcześniejszych etapach produkcji. Znalezienie odpowiednich wnętrz i plenerów ułatwiają nie tylko pracownicy KFC, lecz również baza danych prezentująca kilkaset atrakcyjnych lokacji zdjęciowych na terenie całego województwa. Co więcej, partnerzy Krakow Film Commission mogą korzystać z aktualizowanej bazy specjalistów zajmujących się produkcją filmową i telewizyjną oraz doświadczonych firm działających w tej branży. Kraków, polskie centrum teatrów i szkół artystycznych oraz siedziba ogólnopolskich środków masowego przekazu, jest naturalnym miejscem licznych przedsięwzięć filmowych – to właśnie możliwości wysoko wykwalifikowanych kadr i zaplecze logistyczne pozwalają na zrealizowanie tu praktycznie każdej produkcji.

Krakow Film Commision wspiera też największe flagowe festiwale prezentujące dokonania branży (Off Camera, Krakowski Festiwal Filmowy), angażuje się w przygotowanie warsztatów dla filmowców (Atelier Scenariuszowe, Less Is More, Plenery Film Spring Open) i organizuje letnie pokazy plenerowe.

Koprodukcja

Jednym z najważniejszych zadań KFC jest wsparcie koprodukcyjne, możliwe dzięki funkcjonowaniu Regionalnego Funduszu Filmowego. Jakie filmy zrealizowano w ostatnich latach przy jego wsparciu finansowym?

Ikar. Legenda Mietka Kosza, reż. Maciej Pieprzyca, fot. dzięki uprzejmości KFC

Ikar. Legenda Mietka Kosza (2019) w reżyserii Macieja Pieprzycy, obsypany nagrodami na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych w Gdyni, ukazuje prawdziwą historię zapomnianego muzyka, który stał się legendą dla fanów jazzu. Mieczysław Kosz, niewidomy pianista i mistrz improwizacji, wystąpił na prestiżowym festiwalu w Montreux, grał w paryskich klubach oraz najlepszych salach koncertowych. Równocześnie, podobnie jak wielu innych wybitnych twórców, przez całe życie walczył z wewnętrznymi demonami i samotnością. W postać Kosza wcielił się nagrodzony za swoją kreację Złotym Lwem na festiwalu w Gdyni Dawid Ogrodnik. Na ekranie towarzyszą mu Piotr Adamczyk, Jowita Budnik, Justyna Wasilewska i Jacek Koman. Nad stroną muzyczną filmu czuwał Leszek Możdżer, od dawna starający się przywrócić pamięć o Mieczysławie Koszu. W filmie nie zabrakło ciekawych aranżacji znanych i popularnych utworów (takich jak *Take the A Train*, *San Francisco*, *Kasztany*, *Cała jesteś w skowronkach*) oraz wielu brawurowych jazzowych improwizacji. Zdjęcia do filmu kręcono m.in. w starej części Podgórza.

W koprodukcji z Krakowskim Biurem Festiwalowym powstał również ***Obywatel Jones*** (2019), nagrodzony Złotymi Lwami w Gdyni thriller polityczny w reżyserii Agnieszki Holland i w międzynarodowej obsadzie. W rolach głównych występują: James Norton, Vanessa Kirby i Peter Sarsgaard. *Obywatel Jones* to historia Garetha Jonesa – walijskiego dziennikarza, który w 1933 roku wyruszył do Związku Radzieckiego, aby odkryć przerażającą prawdę stojącą za reżimem Stalina i sowiecką „utopią". Dziennikarz staje się naocznym świadkiem tragedii Hołodomoru na Ukrainie, gdzie miliony ludzi umierają z głodu, podczas gdy tony zboża sprzedawane są za granicę, by sfinansować proces industrializacji radzieckiego imperium. Kulisy jego reporterskiego śledztwa miały śmiertelne reperkusje, a przy okazji stały się inspiracją do powstania jednej z najsłynniejszych powieści XX wieku – *Folwarku zwierzęcego* George'a Orwella. Warto dodać, że Kraków „zagrał" w filmie m.in. Londyn i Moskwę.

Kolejnym przykładem udanej koprodukcji jest film Łukasza Grzegorzka ***Córka trenera*** (2018), w którym główne role zagrali doświadczony aktor Jacek Braciak i debiutująca wówczas Karolina Bruchnicka. To pełna humoru historia psychologicznej rozgrywki między trenerem tenisa a jego nastoletnią córką Wiktorią, którą osobiście przygotowuje do kolejnych turniejów. Łukasz Grzegorzek wyreżyserował nienachalny i daleki od banału film o dojrzewaniu, będący zarazem rasowym kinem drogi i sportowym dramatem w jednym.

Innym filmem finansowanym z Regionalnego Funduszu Filmowego jest bijący rekordy popularności ***Kler*** (2017) Wojciecha Smarzowskiego – obraz Kościoła katolickiego jako instytucji sportretowanej „od strony zakrystii", rzucający światło na tematy niewygodne, trudne, często przemilczane, ale też poruszające. Wszystko to ukazane zostało przez pryzmat losów trójki duchownych, których wzloty i upadki udowadniają, że podobnie jak społeczności wiernych, tak i księżom nic, co ludzkie, nie jest specjalnie obce. Popis wielkiego aktorstwa dają odtwórcy głównych ról: Arkadiusz Jakubik, Robert Więckiewicz i Jacek Braciak oraz – po raz pierwszy u Smarzowskiego – Janusz Gajos, który jako arcybiskup miał okazję „święcić" pokarm wielkanocny nie gdzie indziej, jak na krakowskim rynku.

W niedalekiej przyszłości zobaczymy również inną koprodukcję Krakow Film Commission: film ***Broad Peak*** w reżyserii Leszka Dawida ukazujący losy polskiego himalaisty Macieja Berbeki, który zginął tragicznie podczas zdobywania zimą ośmiotysięcznika w górach Karakorum. W rolach głównych wystąpią m.in. Ireneusz Czop i Maja Ostaszewska.

Broad Peak, reż. Leszek Dawid, fot. Dariusz Załuski

Prowadzony od kilku lat mechanizm finansowania w Krakowie i Małopolsce rodzimych produkcji nie tylko przynosi miastu i regionowi efekt wizerunkowy, ale i daje całkiem realne korzyści, np. pracę dla lokalnych branżowców. Przede wszystkim jednak przyczynia się do rozwoju polskiej kinematografii, dzięki czemu Krakow Film Commission może zapraszać tu kolejne produkcje, w tym – zagraniczne. Oby było ich jak najwięcej! **(js)**

Tekst powstał we współpracy z Krakow Film Commission.

Kler, reż. Wojciech Smarzowski, fot. Bartek Mrozowski

Kino to dom dla filmu

O tym, jak w dobie zamknięcia wszystkich instytucji kultury radzą sobie małe kina studyjne, i o wyższości seansu kinowego nad tym w domowych pieleszach rozmawiamy z Marynią Gierat – szefową krakowskiego Kina Pod Baranami.

Karnet: Jak sobie radzi kino studyjne w tym trudnym czasie, gdy wszystkie instytucje kulturalne są zamknięte?

Marynia Gierat: To bardzo trudny czas dla wszystkich instytucji kulturalnych, które działają, organizując wydarzenia będące przeciwieństwem „społecznego dystansu": dla teatrów, kin, sal koncertowych. Niemożliwość spotkania się z widzami jest dla nas wszystkich bardzo bolesna. Do tego dochodzi jeszcze trudna sytuacja ekonomiczna. Prywatnym kinom studyjnym, pozbawionym przez długie tygodnie wpływów, a niezmiennie obciążonym bieżącymi opłatami, takimi jak czynsz czy koszty pracownicze, trudniej będzie przetrwać ten postój...

Marynia Gierat, fot. Emilian Aleksander

Kino to nie tylko doświadczenie wspólnoty widzów z dziełem filmowym, ale i z innymi ludźmi. W Kinie Pod Baranami od wielu lat działają dyskusyjne kluby filmowe, np. legendarny Studencki Nocny Klub Filmowy. Czy nadal funkcjonują w „czasach zarazy"?

Udało się nam przenieść te cykle do internetu, aby spotykać się chociaż zdalnie. Studencki Nocny Klub Filmowy oraz SMAK, czyli Spotkania Młodych Amatorów Kina, odbywają się co tydzień w wersji wirtualnej. Młodzi kinomaniacy umawiają się na wspólne oglądanie. Tradycyjnie najpierw wysłuchują transmisji krótkiej prelekcji, a po filmie dyskutują, używając platformy internetowej.

Dystrybutorzy i producenci lawinowo przenoszą teraz premiery filmowe do internetowych platform wideo i serwisów VOD. Jak bardzo uderza to w kameralne kina studyjne, takie jak Kino Pod Baranami? Co może zrobić rząd, co możemy zrobić my, odbiorcy kultury, by załagodzić w przyszłości negatywne skutki tego zjawiska?

Wszystko przeniosło się do internetu, również filmowe nowości. Precedens, który daje teraz możliwość szybkiego obejrzenia najnowszych filmów w domu, jest rozwiązaniem czasowym. Kiedy kina wznowią działalność, powinny powrócić okna dystrybucyjne, które dają kinom pierwszeństwo wyświetlania premier, zanim filmy te trafią do internetu czy płatnej telewizji.

Od momentu tymczasowego zamknięcia naszych bram rozpoczęłam rozmowy z partnerami zagranicznymi, szukając możliwości „alternatywnych" działań online. To całkowicie dla nas nowe terytorium, które wymagało prawdziwego przecierania ścieżek – po to, aby również Kino Pod Baranami mogło zaproponować swoim widzom internetowe projekcje. Ruszamy zatem z platformą internetową, na której pojawią się wyselekcjonowane przez nas filmy, czyli otwieramy salę wirtualną! W tym miejscu chcę bardzo podziękować Robertowi Piaskowskiemu [Pełnomocnikowi Prezydenta Miasta Krakowa ds. Kultury – przyp. red.]. Jeśli nasi widzowie będą oglądać filmy na tej platformie, będzie to dla nas bezpośrednie wsparcie. Gdy wrócimy do normalności, stanie się ona uzupełnieniem naszej działalności.

Kino Pod Baranami jest zrzeszone w sieci kin europejskich Europa Cinemas. Jak odnajduje się rynek filmowy w innych krajach? Czy są wprowadzane rozwiązania ratujące kina studyjne, które warto zastosować i u nas?

Wszystkie kina europejskie borykają się z tym samym problemem. Trwają rozmowy Europa Cinemas z Komisją Europejską w sprawie możliwości dodatkowego wsparcia kin. Francja zwolniła kina z opłat (analogicznych do polskich opłat dla Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej), Niemcy przeznaczają ogromne środki na ratowanie kultury. Ciekawe rozwiązanie zaproponowali szwedzcy dystrybutorzy we współpracy z platformą streamingową – część wpływów z opłat od użytkowników platformy zostanie przekazana kinom. Taka pomoc również i polskim kinom by się przydała.

Na czym polega wyższość oglądania filmu w kinie nad oglądaniem go w internecie?

Seans kinowy znacząco różni się od oglądania filmu na własnej kanapie. W kinie nie ma tego rozproszenia, na które narażeni jesteśmy w domu, robiąc przerwy na spojrzenie w telefon czy zaparzenie herbaty. Seans kinowy to rytuał, do którego trzeba się przygotować: wyjść z domu, zakupić bilet. Przeżywamy go wspólnie – to bardzo ważne! – z pozostałymi widzami. Energii unoszącej się nad wpatrzoną w ekran widownią nie da się z niczym porównać.

Gdy Thomas Edison skonstruował urządzenie, które pozwoliło na oglądanie filmu w danym momencie tylko jednej osobie, to nie było to jeszcze magiczne doświadczenie. Dopiero gdy August i Louis Lumière zorganizowali pokaz dla grupy ludzi, narodziło się kino – miejsce spotkań, wspólnie przeżywanych emocji. Domem filmu zawsze będzie kino.

Wasi stali bywalcy na pewno tęsknią za swoim ulubionym miejscem. Czy Kino Pod Baranami kryje jeszcze w sobie tajemnice, które mogą być dla nich zaskoczeniem?

Ciekawych wydarzeń z historii działania Kina Pod Baranami nie sposób wyliczyć – jest ich tak wiele! Jedną z ciekawostek dla naszych widzów może być to, że sale, które dziś są kinem, pamiętają jeszcze odbywające się dawniej w pałacu kursy tańca Mariana Wieczystego czy turnieje szachowe i brydżowe...

Co warto obejrzeć w ten trudny czas? Poproszę o garść filmowych rekomendacji prosto z Kina Pod Baranami.

Studenci z Nocnego Klubu Filmowego polecają *Nie lubię poniedziałku* – bardzo dobrą komedię na poprawę humoru! Łukasz, jeden z naszych kinooperatorów, sugeruje powrót do klasyki science-fiction. W serialu *Star Trek* co trzeci odcinek opowiada o śmiercionośnym wirusie i o tym, jak sobie z nim poradzić... Oglądanie go może więc być niezwykle pouczające☺.

Rozmawiała Justyna Skalska

Marynia Gierat – szefowa Kina Pod Baranami, jednego z siedmiu kin studyjnych w Krakowie, znanego m.in. z organizowanego od lat Festiwalu Filmu Niemego.

Historia żółtej ciżemki... czyli co się naprawdę wydarzyło

Pamiętacie opowieść o żółtej ciżemce? Właściciel tego elementu garderoby dosłownie wszedł w życie mieszkańców Krakowa z butami... a raczej z jednym butem, gdy w 1867 roku podczas prac konserwatorskich w kościele Mariackim za ołtarzem Wita Stwosza znaleziono właśnie żółtą ciżemkę. Do kogo należała? Przeczytajcie trzy rozwinięcia tej opowieści i wybierzcie właściwą wersję.

Wersja 1

Wszyscy w Krakowie wiedzieli, że królewicz Zygmunt August był nie lada ciekawskim urwisem. Często opuszczał zamek królewski, by wędrować po licznych wówczas w mieście warsztatach i pracowniach rzemieślniczych i zadawać niekończące się pytania. „W jakiej temperaturze topi się stal?", „Jak uszyć kaftan?", „Z jakich ziół przyrządzić miksturę na ból brzucha?" – pytał nie raz, nie dwa. Król Zygmunt Stary i królowa Bona – rodzice następcy tronu – przymykali oko na te eskapady, wiedzieli bowiem, że królewicz poznaje w ten sposób swoich przyszłych poddanych. Pewnego dnia młodzian, przechadzając się po rynku, postanowił wejść do kościoła Mariackiego. Tam jego uwagę przykuł przepiękny ołtarz Wita Stwosza. Zainteresowały go przede wszystkim tajniki rzeźbiarskiego kunsztu norymberskiego mistrza. Zaczął ostrożnie wspinać się po ołtarzu, by przyjrzeć się rzeźbom z bliska. Wtedy z jego stopy zsunęła się żółta ciżemka i spadła za drewnianą konstrukcję. Zygmunt chciał ją odszukać, ale za chwilę miało rozpocząć się nabożeństwo i musiał w pośpiechu opuścić świątynię. Tego dnia królewicz wrócił na zamek tylko w jednym bucie. Drugi odnaleziono dopiero po ponad 330 latach, podczas renowacji ołtarza.

Wersja 2

Król Krak był legendarnym założycielem Krakowa. Wszyscy słyszeli też o jego córce Wandzie, która nie chciała poślubić niemieckiego księcia. A kim była żona Kraka? Miała na imię Wiślanka, słynęła z nieziemskiej urody i... gubienia butów. Kroniki odnotowały przynajmniej dwa takie przypadki. Wiślanka spotkała króla Kraka po raz pierwszy na balu, który ten wyprawił na Wawelu. Krak zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia, razem ucztowali i tańczyli cały wieczór, aż stracili poczucie czasu. Gdy wybiła północ, Wiślanka w pośpiechu opuściła bal, musiała już bowiem wracać do domu zgodnie z nakazem rodziców. W ciemnościach panujących na zamkowych schodach zgubiła żółtą ciżemkę. Następnego dnia znalazł ją sam Krak – wiedział, do kogo należy i osobiście udał się do Wiślanki, żeby zwrócić zgubę. Tak rozpoczęła się znajomość, którą szybko zwieńczyły zaręczyny. Para pobrała się w kościele Mariackim, zgodnie z życzeniem panny młodej. Podczas uroczystości Wiślanka ponownie zgubiła but – gdy uklękła, żółta ciżemka zsunęła się jej ze stopy i potoczyła za ołtarz. Nikt się tym zbytnio nie przejął, a król Krak sprawił żonie sznurowane trzewiki. Wkrótce na dworze zapanowała nowa moda i odtąd wszystkie dwórki nosiły pantofelki ze sznurówkami.

Wersja 3

Historia ta zaczyna się we wsi Poręba w dniu, w którym Wawrzek pilnował pasących się na łące krów. Chłopiec miał niesamowity talent rzeźbiarski, z kawałka drewna potrafił wyczarować figurki jak żywe. Nie doceniali tego jego rodzice – takie sztuczki nie przynosiły bowiem nawet złamanego grosza. Wawrzek natomiast rzeźbił z pasją, kiedy tylko mógł. Tym razem podczas wypasania zwierząt tak zapamiętał się nad struganiem drewna, że nie dopilnował krów, które zniszczyły plony proboszcza. Przeraził się srogiej kary i uciekł z domu. Tułał się po świecie to tu, to tam, aż w końcu trafił do Krakowa. Najął się do pracy w domostwie samego Jana Długosza. Kronikarz i wychowawca synów króla Kazimierza Jagiellończyka szybko odkrył talent chłopca i skierował go na nauki do rzeźbiarskiej pracowni mistrza Wita Stwosza. Przez kilka miesięcy Wawrzek pomagał przy pracach nad powstaniem słynnego ołtarza mariackiego. W dniu odsłonięcia ołtarza okazało się, że podczas składania go w całość zapomniano włożyć pastorał w ręce Świętego Stanisława. Wawrzek szybko wspiął się na ołtarz i umieścił brakujący element na właściwym miejscu. Wtedy z jego stopy zsunęła się żółta ciżemka i spadła za ołtarz. Nie było już jednak czasu na jej szukanie, bo oto wspaniałe dzieło Stwosza ujrzały po raz pierwszy setki krakowian. But Wawrzka pozostał za ołtarzem do 1867 roku... **(am)**

***Historia żółtej ciżemki* to wydana w 1913 roku powieść historyczna dla młodzieży autorstwa Antoniny Domańskiej. W 1961 roku powstała ekranizacja powieści z Markiem Kondratem w roli głównej.**

Dlaczego morze jest słone?

Czy zastanawialiście się kiedyś, dlaczego woda w morzach i oceanach jest słona? Przeczytajcie legendę o czarodziejskim młynku z Wieliczki, żeby poznać odpowiedź na to pytanie. W pustych miejscach w tekście wpiszcie numery rysunków odpowiadających brakującym słowom. Obrazki znajdziecie w ramce obok.

Woda w morzu jest słona i nie nadaje się do picia – wiedzą o tym nawet najmłodsze dzieci. Ale nie zawsze tak było... Zacznijmy jednak od początku.

Dawno temu w kopalni soli w Wieliczce żył Solny Dziadek. Miał słone a) _____ i b) _____, a jego twarz porastały pokryte solą c) _____ i d) _____. Mieszkał nad słonym jeziorem i codziennie pracował w olbrzymich grotach solnych, w których e) _____ ścinał bloki soli. Po ciężkim dniu pracy wracał do domu, w którym trzymał swój największy skarb – czarodziejski młynek. Wystarczyło wypowiedzieć zaklęcie, by wprawić korbkę młynka w ruch, a ten mełł na drobne kawałeczki nawet najtwardsze bryły soli. Raz wprawiona w ruch korbka mogła się kręcić w nieskończoność – by ją zatrzymać, także należało wypowiedzieć odpowiednie zaklęcie. Solny Dziadek chętnie dzielił się solą z mieszkańcami Wieliczki, nikomu jednak nie mówił o czarodziejskim przedmiocie.

Pewnego dnia w solnej grocie ukrył się zapłakany f) _____. Malec nie miał rodziców, a na życie zarabiał, wypasając g) _____ u miejscowego gospodarza. Tego dnia wilk porwał jedną z owieczek, a gospodarz oznajmił, że bez zwierzęcia chłopiec nie ma nawet co wracać do gospodarstwa. Solny Dziadek pożałował malca, zaproponował mu schronienie i pracę przy wydobyciu soli w kopalni. Tak żyli przez kilka lat, aż w końcu Solny Dziadek postanowił posłać chłopca na naukę czytania i pisania do miasta. Podarował mu czarodziejski młynek, by mógł za wszystko płacić solą, która w tamtych czasach była cenniejsza niż h) _____. Nauczył go też dwóch zaklęć – pierwszego, które wprawiało korbkę młynka w ruch, i drugiego, które ją zatrzymywało.

Chłopiec z żalem opuścił swój dom w grocie solnej i udał się na nauki do miasta. Pewnego dnia zatrzymał się w gospodzie i jak zwykle chciał zapłacić za nocleg i) _____. Wówczas gospodarz zobaczył u niego czarodziejski młynek i z wszystkich sił zapragnął go mieć. Zakradł się nocą do pokoju chłopca i gdy ten spał, zabrał młynek. Jego korbka kręciła się wówczas jak szalona, więc sól cały czas wysypywała się z magicznego przedmiotu. Gospodarz postanowił uciec z młynkiem jak najdalej od chłopca – niezwłocznie wsiadł na j) _____, by popłynąć w odległe krainy. Nie potrafił jednak sam zatrzymać korbki i sól z młynka sypała się bez przerwy. Statek robił się od niej coraz cięższy i cięższy, aż w końcu zatonął na pełnym morzu. Do dziś korbka młynka nie przestała się kręcić, a sól, która z niego się wysypuje, zasala wszystkie morza i oceany. Pełną wersję legendy o czarodziejskim młynku z Wieliczki znajdziecie w książce *Legendy polskie* Wandy Chotomskiej. **(am)**

Odpowiedzi: a – 5 (ręce), b – 7 (nogi), c – 6 (wąsy), d – 3 (brodę), e – 2 (kilofem), f – 9 (chłopiec), g – 8 (owce), h – 10 (złoto), i – 1 (solą), j – 4 (łódź)

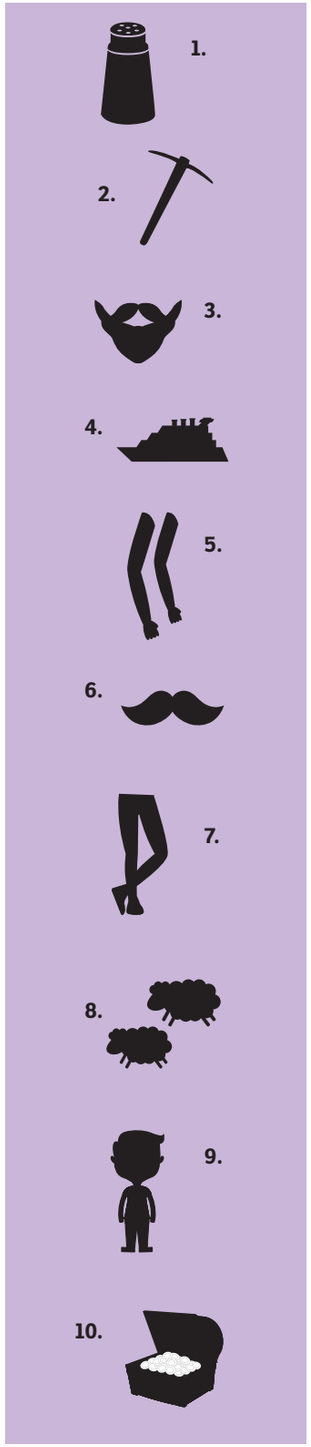

Był sobie król...

Miłośnicy i miłośniczki historii! Kto z was pamięta kultowe „samoczytające się" opowieści Pawła Jasienicy o polskich dynastiach królewskich i władcach? W XXI wieku niełatwego zadania przepisania na nowo jakże barwnych, a niemiłosiernie zarzynanych w szkołach dziejów ojczystych podjął się **Mariusz Wollny** – etnograf, historyk pasjonat i górski włóczykij, twórca łotrzykowskiej sagi o domorosłym krakowskim detektywie Kacprze Ryksie i *spiritus movens* autorskiego wydawnictwa Jama. Od kilkunastu już lat pisarz i jego córka plastyczka Zuza tworzą i stale doskonalą przepięknie zilustrowaną i wydaną serię ***Był sobie król***, obejmującą czasy od pierwszych Piastów po abdykację Stanisława Augusta Poniatowskiego i jego przejście na pensję carycy Katarzyny. Cztery części cyklu wydanego pod patronatem Krakowa Miasta Literatury UNESCO nie tylko kipią od humoru i anegdot, ale też ożywiają w głowie postaci znane głównie z banknotów, nazw ulic i pojedynczych dat z mniejszym lub większym sukcesem przechowywanych w dorosłej pamięci. Do czytania od podstawówki do późnej starości, razem lub w pojedynkę.

(Krzysztof Żwirski)

Ostrożnie, to działa

Książki dla dzieci, dokładnie tak samo, jak te dla dorosłych, powinny być przede wszystkim mądre, ale i piękne. Idealnie, gdy dodatkowo mają tak zwane walory edukacyjne. A taka jest opowieść ***Siedem*** autorstwa **Doroty Majkowskiej-Szajer**, której narracja koncentruje się wokół tej magicznej cyfry. I tak w dniu siódmych urodzin Poli dochodzi do niecodziennego zdarzenia, w wyniku którego główna bohaterka może spełnić nie jedno, ale aż siedem życzeń. Prócz typowych dla przeciętnej siedmiolatki przygód mamy tutaj wątki wielokulturowe i – zgodnie z założeniem autorki – „pielęgnujące więzi międzyludzkie". Jest więc przyjaciel Tamik, Czeczen, który wraz z mamą spędza Wigilię w domu Poli, czy prawosławny ślub na wielowyznaniowym Podlasiu. Dopełnieniem tej przytulnej (właśnie tak: przytulnej) opowieści jest szata graficzna, o którą zadbała Magdalena Kozieł-Nowak, tworząc ilustracje nie tyle kolorowe, co niebanalne. Książkę *Siedem* wzorowo wydało krakowskie Muzeum Etnograficzne im. S. Udzieli. Czy dorosły bohater włożyłby tyle odwagi, wyobraźni i mocy w spełnianie marzeń? Ostrożnie, to działa!

(Anna Maria Zygmunt)

Rekomendacje książek wydanych pod patronatem Krakowa Miasta Literatury UNESCO przygotowali pracownicy Działu Literackiego Krakowskiego Biura Festiwalowego.

Quiz dla małych krakusów

Kraków jest skarbnicą interesujących faktów historycznych, legend, anegdot i ciekawostek. Czy znacie je wszystkie? Rozwiążcie quiz i sprawdźcie swoją wiedzę o mieście!

1. Jak nazywał się legendarny założyciel Krakowa?
a) Lech
b) Krak
c) Wars

2. Dzielny szewczyk Skuba pokonał smoka za pomocą:
a) zatrutego jabłka
b) owcy wypchanej siarką
c) magicznego eliksiru

3. Kwadratowy plac w samym centrum Krakowa to:
a) Rynek Główny
b) Planty
c) Błonia

4. Melodia grana z wieży mariackiej to:
a) hymn
b) hejnał
c) apel

5. Na Rynku Głównym stoi pomnik:
a) Adama Mickiewicza
b) Juliusza Słowackiego
c) Fryderyka Chopina

6. Budynek, w którym sprzedawano niegdyś sukna, to:
a) Sukiennice
b) Pałac Krzysztofory
c) Szara Kamienica

7. Najmniejszym kościołem na Starym Mieście jest:
a) kościół św. Anny
b) kościół św. Barbary
c) kościół św. Wojciecha

8. Okrągły budynek zwany Rondlem to:
a) Barbakan
b) kopiec Kościuszki
c) fort „Św. Benedykt"

9. Słynne na całym świecie wawelskie tkaniny są nazywane:
a) gobelinami
b) kobiercami
c) arrasami

10. Dama na obrazie Leonarda da Vinci pozuje z:
a) gronostajem
b) kotem
c) królikiem

11. Kolorowe konstrukcje wykonywane w Krakowie przed świętami Bożego Narodzenia to:
a) lampiony
b) szopki
c) origami

12. Najsłynniejsze krakowskie pieczywo to:
a) cynamonowe bułeczki
b) obwarzanki
c) chleb świętojański

13. Coroczny pochód Lajkonika upamiętnia:
a) zwycięstwo zwierzynieckich flisaków nad Tatarami
b) dawne zwyczaje karnawałowe
c) przyłączenie Zwierzyńca do Krakowa

14. Jan Matejko był słynnym:
a) kupcem
b) malarzem
c) królem

15. Najwierniejszy krakowski pies nazywał się:
a) Dżok
b) Hachiko
c) Lassie

16. Najsłynniejsza „kwiatowa" aleja w Nowej Hucie to:
a) aleja Stokrotek
b) aleja Róż
c) aleja Goździków

Odpowiedzi: 1 – b, 2 – b, 3 – a, 4 – b, 5 – a, 6 – a, 7 – c, 8 – a, 9 – c, 10 – a, 11 – b, 12 – b, 13 – a, 14 – b, 15 – a, 16 – b

Domowy teatrzyk z papieru

„Dawno, dawno temu” albo „Za siedmioma górami, za siedmioma lasami”, a może „Był sobie król, był sobie paź i była też królewna...”. Jak rozpocząć bajkę?

Zdecydujcie sami! Wymyślcie interesujących bohaterów, porywającą akcję i spektakularne zakończenie lub zainspirujcie się krakowskimi legendami. Zabawcie się w domowy teatrzyk i wystawcie bajkę w formie sztuki dla najbliższej rodziny.

Potrzebujecie bloku technicznego lub tektury, kolorowego papieru, kredek, flamastrów, kleju, taśmy klejącej, nożyczek, wstążek, koralików, wykałaczek, patyczków... wszystkiego, co możecie znaleźć w domu i twórczo wykorzystać.

Użyjcie szablonów, które znajdziecie obok lub potraktujcie je jako inspirację do stworzenia własnych bohaterów. Odrysujcie kształty na kartce z bloku technicznego lub tekturze. Następnie wytnijcie i pokolorujcie lub wyklejcie kolorowym papierem. Z tyłu przyklejcie wykałaczkę lub patyczek... i *voilà!* Właśnie stworzyliście postaci do domowego teatrzyku. Nie zwlekajcie, już dziś zaproście domowników na wasze przedstawienie!

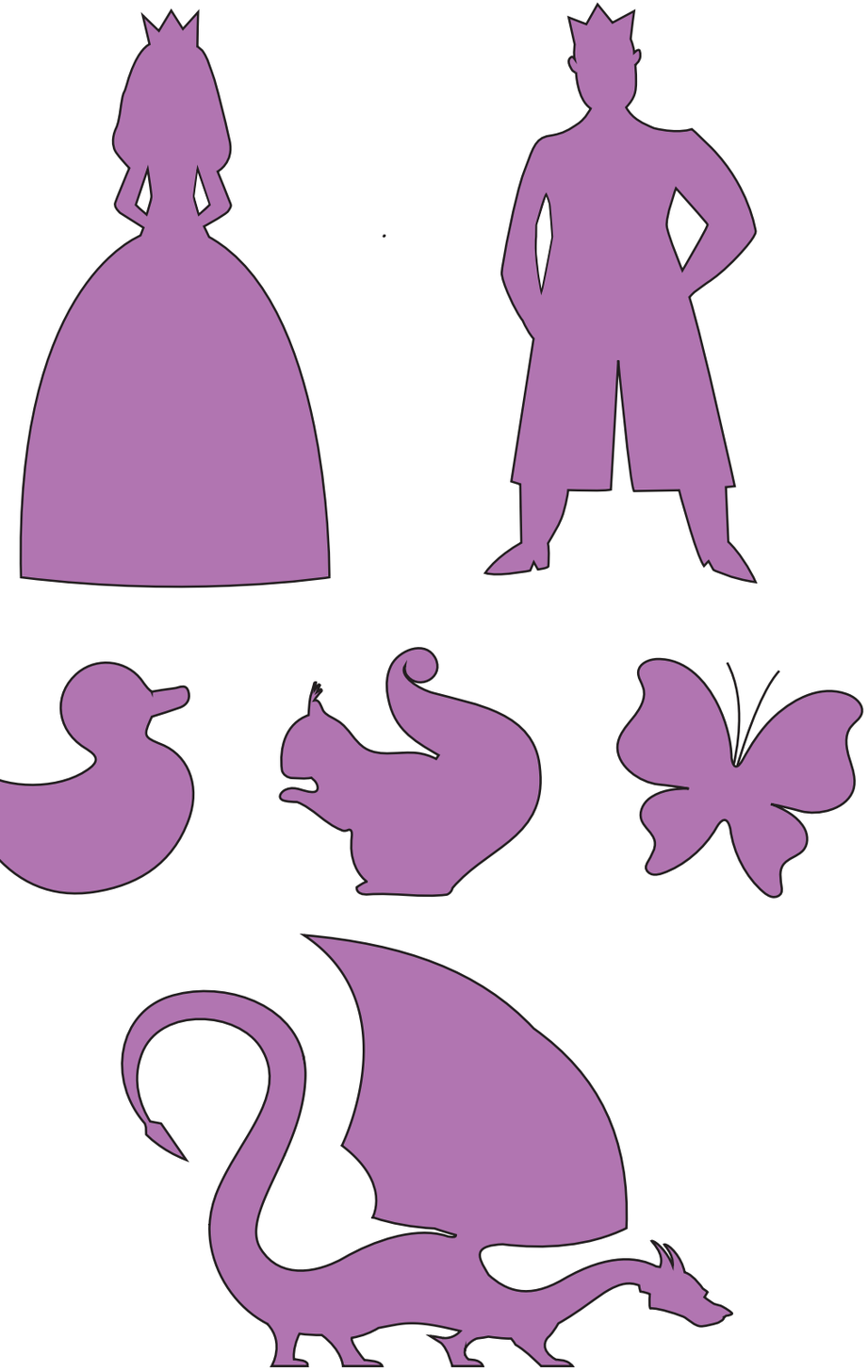

Niezwykły krakowski *fin de siècle*

Artyści łamiący społeczne tabu, kobiety burzące panujący ład, ekscentryczni kolekcjonerzy dzieł sztuki – to o nich rozmawiał Kraków na przełomie XIX i XX wieku.

W ciemne uliczki galicyjskiego Krakowa wkraczają słodko-gorzkie nurty artystyczne, nadciągające tu ze stolic Starego Kontynentu. Rozkwitają myśli o kruchości człowieka, jego przemijaniu, schyłkowości i słabości. Coraz więcej słyszy się o kobietach, które zaczynają walczyć o swoje prawa. Rolę opiniotwórczych salonów przejmują opanowane przez artystyczną bohemę knajpy i kawiarnie, które jak barometr informują o nastrojach panujących w mieście. Kim byli ludzie, którzy wywarli taki wpływ na ówczesny klimat miasta?

Prowokator cyganerii

Rok 1898. Do Krakowa pociągiem z Berlina przyjeżdża geniusz, mizogin, alkoholik, a przy okazji uznany już wówczas pisarz – Stanisław Przybyszewski. Krakowski świat artystyczny przywitał go z niemałym entuzjazmem, a wokół niego szybko uformował się osobliwy krąg „wyznawców" zafascynowanych poglądami i ekstrawaganckim stylem bycia artysty. Przybyszewski zamieszkał w narożnym budynku przy ulicy Karmelickiej 53, gdzie przyjmował zapatrzonych w niego adeptów sztuki, zwanych również „dziećmi Szatana".

Stanisław Przybyszewski, ok. 1900, fot. autor nieznany, wł. Muzeum Narodowego w Warszawie

Zaraz po dotarciu do Krakowa stanął na czele redakcji pisma artystycznego „Życie", na którego łamach propagował realizację modernistycznych postulatów w literaturze polskiej. Jego słynny manifest *Confiteor* uważany jest za jeden z ważniejszych tekstów programowych okresu Młodej Polski. Artystycznym *credo* pisarza było hasło „sztuka dla sztuki", w którym kryło się przekonanie o wyższości artysty nad przeciętnym człowiekiem, a nawet o jego boskich możliwościach.

Oprócz działalności literackiej Przybyszewski znany był z licznych skandali obyczajowych. To w Krakowie nawiązał romans z Jadwigą, żoną swojego przyjaciela Jana Kasprowicza, kontynuując jednocześnie związek z malarką Anielą Pająkówną. A przecież Przybyszewski przyjechał do Krakowa z żoną – norweską pianistką Dagny Juel, która zresztą porzuciła go i wyjechała z miasta w towarzystwie innego poety... Tym obyczajowym skandalem żyła niemal cała Galicja końcówki XIX wieku.

Jak na dekadenta i ekscentryka przystało, Przybyszewskiego pociągały sprawy ostateczne. Jego fascynacja odchodzeniem z tego świata była tak silna, że zaoferował umierającemu wujowi opiekę we własnym domu. Bynajmniej nie z troski – ponoć chciał doświadczyć bliskiego kontaktu ze światem umarłych. Był tak podekscytowany perspektywą śmierci wuja, że powtarzał w kółko: „Taki ci wspaniały suchotniczek w ostatnim stadium".

Pozostawiając po sobie zarówno szereg artystycznych drogowskazów, jak i obyczajowy niesmak, Przybyszewski w 1901 roku opuścił Kraków i przeprowadził się do Warszawy. Choć spędził pod Wawelem zaledwie dwa lata, istotnie przyczynił się do rozwoju krakowskiej cyganerii i zaznaczył kontrast między figurą artysty a mieszczańską socjetą. Udało mu się wnieść duch indywidualizmu do polskiej literatury, zdominowanej dotąd zbiorowymi punktami widzenia.

Wyemancypowana ateistka

Do końca XIX wieku kobiety były niemal nieobecne w sferze publicznej, a ich rola ograniczała się do opieki nad ogniskiem domowym. Jedną z pierwszych krakowskich emancypantek wyrażających niezgodę na ówczesną rzeczywistość była poetka, dramatopisarka i działaczka społeczna Marcelina Kulikowska.

Przyjechała do Krakowa w 1899 roku, tuż po ukończeniu studiów przyrodniczych w Genewie. To ewenement jak na tamte czasy – zaledwie garstka kobiet miała okazję studiować na zagranicznych uczelniach. Podjęła pracę w jednym z krakowskich gimnazjów żeńskich, jednak jej kariera nauczycielki szybko zakończyła się skandalem,

Jacek Malczewski, *Portret Feliksa Jasieńskiego z teką*, 1903, olej, wł. Muzeum Narodowego w Krakowie

który odbił się niemałym echem w ówczesnej Galicji. Pewnego razu Kulikowska odmówiła bowiem pójścia do kościoła wraz ze swoimi uczennicami, oświadczając, że jest „bezreligijna" i nie zgadza się to z jej wewnętrznymi przekonaniami. Jakby tego było mało, działaczka poparła kontrowersyjną wówczas teorię ewolucji człowieka. Wydarzenie to wzbudziło tyle emocji, że opisywała je nawet ówczesna prasa: „Ta sama pani tłumaczyła uczennicom jako najnowszą zdobycz nauk przyrodniczych, że człowiek jest tylko zwyczajnym zwierzęciem".

O ateizmie nauczycielki dosyć długo było głośno, a sama Kulikowska wykazała się niezłomną siłą charakteru i wiernością przekonaniom. Warto zaznaczyć, że jej ateizm miał wymiar osobisty – nie chciała wpływać na przekonania swoich uczennic ani nie kwestionowała sensu praktyk religijnych w szkole. Jej nonkonformistyczna postawa powodowała jednak liczne konflikty ze środowiskiem konserwatywnym i przyczyniała się do kolejnych niepowodzeń w pracy.

Do twórczości literackiej Kulikowskiej krytycy podchodzili z dystansem, zaś czytelnicy – z umiarkowanym zainteresowaniem. W swoich dziełach autorka często ubolewała nad własnym losem i szerzej – nad sytuacją kobiet w społeczeństwie. Nie mogła zrozumieć, dlaczego nigdzie nie słyszy się o uzdolnionych kobietach bądź nie daje się im szansy na lepszą edukację.

Niepowodzenia na wielu płaszczyznach i życiowe rozczarowanie pogłębiały u poetki rozstrój nerwowy. 19 czerwca 1910 roku w mieszkaniu w kamienicy przy ulicy Pijarskiej 3 Kulikowska odebrała sobie życie, strzelając z pistoletu w samo serce.

Ekscentryczny kolekcjoner

Kolekcjoner, esteta, dziwak, krytyk i propagator sztuki, pianista... Feliks „Manggha" Jasieński był niezwykle barwną osobowością młodopolskiego Krakowa. Dzięki swoim podróżom po Europie i Bliskim Wschodzie udało mu się stworzyć unikatową kolekcję sztuki, będącą owocem wielkiej życiowej pasji. Jasieński pojawił się w Krakowie w 1902 roku. Kolekcjoner dzieł sztuki zamieszkał przy ulicy św. Jana 1. Jego mieszkanie stało się kluczową przestrzenią dla krakowskiej śmietanki towarzyskiej – odbywały się tu liczne wieczory artystyczne, podczas których poruszano tematy związane ze sztuką, muzyką czy literaturą. Lokum było tak licznie odwiedzane, że przy drzwiach zawisła wielka dłoń z kartonu. Jej uściśnięcie musiało gościom zastąpić osobiste powitanie przez gospodarza, zmęczonego nieustannym przyjmowaniem nowych przybyszów.

W pozyskiwaniu dzieł do swojej kolekcji Jasieński, prawdziwy ekscentryk, uciekał się do praktyk wątpliwych moralnie. Był zaprzyjaźniony z wieloma krakowskimi artystami i często odwiedzał ich pracownie. Czyhał na moment nieuwagi gospodarza, wówczas łapał interesujące go dzieło, przerywał bezceremonialnie pogawędkę i natychmiast uciekał z łupem do domu. Krakowskie środowisko artystyczne było jednak tak oczarowane Jasieńskim, że wkrótce praktykę tę zaczęto uważać za wyróżnienie! Fakt, że dzieło skradł słynący z doskonałego gustu kolekcjoner, komplementował malarza i dowodził wartości artystycznej jego twórczości.

Jasieński znany był ze swojej fascynacji sztuką japońską. To właśnie z tytułu serii drzeworytów japońskiego artysty – Katsushiki Hokusaia – zaczerpnął swój pseudonim „Manggha". Pomimo intensywnych podróży, jakie odbywał, nigdy nie dotarł do Japonii, która na zawsze pozostała dla niego krainą niemal mityczną. Tę fascynację odzwierciedla kolekcja Jasieńskiego, w której znajdziemy ok. 6500 dzieł sztuki Dalekiego Wschodu. W 1920 roku kolekcjoner przekazał liczące ponad 15 tysięcy obiektów zbiory Krakowowi – trafiły one do Muzeum Narodowego. W 1994 roku z inicjatywy Andrzeja Wajdy otwarte zostało Centrum (dziś Muzeum) Sztuki i Kultury Japońskiej Manggha prezentujące dzieła zgromadzone przez Jasieńskiego.

***

Ślady działalności Przybyszewskiego, Kulikowskiej i Jasieńskiego – duch knajpianej bohemy, walka o równość społeczną czy dziedzictwo w postaci bogatej kolekcji dzieł sztuki – są obecne w Krakowie do dziś. A przecież to zaledwie garstka niezwykłych osobistości, które w tamtym czasie kreowały oblicze miasta. Nie zapominajmy także choćby o feministce Kazimierze Bujwidowej, architekcie Teodorze Talowskim (zwanym również „galicyjskim Gaudim") czy łamiącym tabu lekarzu, pisarzu i genialnym tłumaczu Tadeuszu Boyu-Żeleńskim. Jest się kim inspirować! **(wz)**

W dworze Mycielskich

Miejsce tchnące historią i kulturą upamiętnia dzieje rodziny hrabiego Władysława Mycielskiego, któremu Łuczanowice zawdzięczają swój rozwój i rozkwit.

Władysław Mycielski (1861-1939) mógłby zostać podkrakowskim Wokulskim. Uważał, że trzeba iść z duchem czasów i myśleć nowocześnie – dzięki temu można się nie tylko utrzymać, ale i wzbogacić, a równocześnie wzmocnić potencjał zacofanej i ubogiej Galicji. Ten wielki zwolennik postępu i innowacji był silnie związany z wsią Łuczanowice – obecnie stanowiącą osiedle Nowej Huty – a także z Dojazdowem, Kocmyrzowem i Głęboką. Odkąd w 1896 roku ziemie te stały się jego własnością, majątek rozkwitł dzięki dobrodziejstwom i wynalazkom wieku pary. To właśnie do hrabiego należał jeden z pierwszych samochodów poruszających się na terenie Galicji.

Mycielski odważnie i jednocześnie rozważnie inwestował pieniądze z posagu swojej małżonki Felicji Zakliki (1877-1943). Za najważniejszą w majątku innowację uważa się zbudowaną w 1897 roku mleczarnię, która od roku 1905 stała się Parową Mleczarnią Dóbr Łuczanowice. Przetwory nabiałowe, produkowane przez chłopów przyuczonych do pracy przy urządzeniach parowych oraz dzięki nowoczesnej jak na tamte czasy technologii, trafiały w specjalnych firmowych opakowaniach do sklepów oraz lokali w całym Krakowie i Zakopanem. O ich wysokiej jakości świadczy chociażby srebrny medal zdobyty na wystawie w Wiedniu w 1899 roku. Z czasem firma pod naporem rosnącej konkurencji zaczęła oferować nowe usługi, m.in. po mieście jeździły wozy, w których można było kupić produkty bez konieczności odwiedzania sklepów firmowych, wprowadzono dostawę do domu, a mleko i śmietanę dostarczano „we flaszkach hermetycznie zamkniętych".

Felicja i Władysław Mycielscy, 1897, fot. Józef Sebald, wł. prywatna

Nie zapominając o tym, że sukces interesu zależał od wykształcenia chłopów, hrabia Mycielski troszczył się o ich edukację. W należących do niego wsiach zakładał szkoły i finansował kursy dla swoich pracowników. Zarówno on, jak i jego małżonka znani byli z patriotyzmu lokalnego i poczucia egalitaryzmu. Pracę dawali jedynie ludziom urodzonym w ich dobrach lub majątkach sąsiednich. Ich potomstwo chowało się razem z dziećmi ze wsi, a cała rodzina brała udział w wielu wiejskich uroczystościach.

W gościnnym dworze Mycielskich bywali przedstawiciele arystokracji, świata nauki i kultury, czego świadectwem jest zachowana do dziś księga gości. Hrabia zlecił jego budowę Tadeuszowi Stryjeńskiemu w roku 1902. Dom z jednej strony wchłonął budynek nieczynnego kalwińskiego zboru, a z drugiej połączył się (pod kątem prostym) ze stojącym tam starym dworem wzniesionym w 1787 roku przez Marcjana Stanisława Żeleńskiego. W ten sposób powstał modernistyczny, kamienno-ceglany pałac przylegający do barokowo-klasycystycznego modrzewiowego domu na kamiennej podmurówce.

Przy dworze Żeleńskiego rósł podzielony na kwatery ogród włoski z rabatami kwiatowymi tworzącymi bogate ornamenty. W dalszej części znajdował się sad osłonięty wysokimi drzewami, w którego narożniku umieszczono kopiec widokowy z altanką. Kiedy powstał nowy dwór Mycielskich, wokół ogrodu zakomponowano rozległy park z dwoma stawami od południa. Drzewa sprowadzono z Wielkopolski od słynnego ogrodnika Augustyna Denizota – dobrane zostały tak, aby najokazalej prezentowały się jesienią. W ścianie drzew okalającej park pozostał prześwit, żeby w pogodne dni można było oglądać panoramę Tatr.

Dwa dwory w Łuczanowicach, ok. 1913, fot. autor nieznany, wł. prywatna

W roku 1931 posiadłość łuczanowicką przejął syn hrabiego Andrzej, który po ślubie z Marią Mańkowską w roku 1928 otrzymał od ojca wieś i folwark Dojazdów. Młody Mycielski poszedł w ślady stryja Jerzego, historyka sztuki, z którym odbył wiele zagranicznych podróży – poświęcił się pracy naukowej. Ukończył studia prawnicze na Uniwersytecie Jagiellońskim, gdzie w 1925 roku uzyskał też doktorat. Był wybitnym znawcą prawa konstytucyjnego i nauki o państwie oraz autorem wielu prac z tej dziedziny, a także wspomnień z czasów młodości w Łuczanowicach. Wykładał na Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie, gdzie mieszkał przez większą część roku wraz z rodziną. Łuczanowice były dla niego letnią rezydencją, w której gospodarowali nadal jego rodzice.

Podczas II wojny światowej dwór stał się dla rodziny Mycielskich miejscem schronienia. Andrzej brał wówczas udział w tajnym nauczaniu, za jego sprawą polskim partyzantom kryjącym się w Puszczy Niepołomickiej dostarczano nabiał z łuczanowickiej mleczarni. Sam też był członkiem Armii Krajowej. W 1945 roku Mycielscy zostali zmuszeni do opuszczenia posiadłości. Budynek dworu Żeleńskich uległ dewastacji i został rozebrany, a w murowanym pałacu umieszczono sklep, mieszkania prywatne oraz zlewnię mleka. Park również uległ daleko idącym przemianom – dziś niestety można podziwiać jedynie resztki jego dawnej świetności.

Obecnie oprócz mieszkań w dworze mieści się kaplica, a także Klub Aneks, oddział Ośrodka Kultury Kraków-Nowa Huta. Malownicze otoczenie oraz historia jego siedziby stanowią o wyjątkowości domu kultury, a dzięki bogatej ofercie zajęć i atmosferze przytulności klub cieszy się popularnością wśród mieszkańców Łuczanowic i okolic. W roku 2019 obchodzono 80-lecie śmierci Władysława Mycielskiego i 70-lecie Nowej Huty – dzielnicy, na której terenie znajduje się dwór. Z tej okazji Klub Aneks w ramach projektu *Mycielscy – hrabiowie, przedsiębiorcy czy naukowcy? Tajemnica rozkwitu Łuczanowic* proponował liczne wydarzenia, m.in. spacery badawcze, warsztaty, inscenizację historyczną, grę terenową czy wystawę historyczną, które pozwoliły ich uczestnikom lepiej poznać dzieje rodziny. Bo niewątpliwie warto pielęgnować pamięć o Mycielskich, słynących z umiłowania ojczyzny i pracy, dzięki którym w dobie nędzy galicyjskiej i surowych ograniczeń gospodarczych Austro-Węgier w łuczanowickich dobrach żyło się dostatnio i spokojnie. **(io)**

Tekst powstał w oparciu o materiały Ośrodka Kultury Kraków-Nowa Huta. www.krakownh.pl

Fot. Łukasz Kraczka

Piękno minionych epok

Dziewiętnastowieczne suknie olśniewają bogactwem kolorów, tkanin i dodatków. Jednak to, co na obrazach prezentuje się lekko i zwiewnie, nie zawsze było komfortowe w codziennym użytku.

Karnet: Kiedy myślimy o tym, co noszono w XIX wieku, przed oczami stają nam wspaniałe kreacje z filmów kostiumowych albo dawnych malarskich portretów. Czy faktycznie dają one dobre pojęcie o tym, w co się wówczas ubierano?

Magdalena Białek aka Retro Dancer: Nie do końca. Czasami kostium w filmie ma za zadanie raczej powiedzieć nam coś o charakterze postaci lub dodać ukryte przesłanie do jej motywów, niż nauczyć nas czegoś na temat dawnej mody. Trzeba być zatem ostrożnym. Jeśli chodzi o portrety, ich oglądanie nie da nam pełnego obrazu tego, co wówczas noszono, ponieważ mają one przedstawić portretowanego w jak najlepszym wydaniu. Nie zobaczymy na nich, jak wyglądała bielizna lub w co ubierano się do spania. Dobrze przedstawiają za to, jaki kształt sukni i jakie dodatki były modne w danej dekadzie – szczególnie w przypadku portretów młodych arystokratek.

Malarze często upiększali rzeczywistość, jednak sam krój tych sukni, ozdoby, misterne fryzury – to wszystko sprawiało, że kobieta wyglądała jak dzieło sztuki.

To prawda. W XIX wieku (mówię teraz o strojach najwyższych warstw społecznych) ogromną rolę odgrywał detal – w projektowaniu sukni dużą wagę przykładano do ozdobnego wykończenia. Królowała misterna koronka, tasiemki, riuszki, wstążki, jedwabne kwiaty – zwłaszcza w strojach balowych. Bycie „dziełem sztuki" wymagało jednak dużych wyrzeczeń. To, co konstruowało całą sylwetkę i było niezbędne dla osiągnięcia danego efektu, pozostawało niewidoczne – czyli bielizna, a także różnego rodzaju stelaże i usztywnienia. Aby podtrzymać kształt dużych rękawów modnych w latach 30. i później pod koniec wieku, potrzebne były specjalne wypełniacze z tkaniny lub drutu. Wyglądały jak małe poduszki, które zakładało się na ramiona. Talia i klatka piersiowa przez niemal cały wiek XIX były kształtowane przez różnego typu gorsety. Kiedy modne były pełniejsze, bardziej zaokrąglone biodra, montowano na nich wypełniacze także przypominające poduszki. Nasze prababcie stosowały również wypełnienia wszyte w staniki, czyli górną część sukni, albo wkładane do gorsetu – taki ówczesny „push up". Gdy modna była szeroka suknia w kształcie dzwonu, budowano efekt z halki z drucianych kół, czyli tzw. „klatki", na którą zakładano kilka warstw kolejnych halek.

Jak widać, ubiór dziewiętnastowiecznej damy składał się z wielu elementów. To dlatego codziennie rano przy ubieraniu się potrzebna była pomoc służącej?

Nie tylko rano. Każda szanująca się dama miała różne stroje na różne okazje i pory dnia. Co innego zakładano jako strój poranny, co innego na spacer; inny był fason sukni popołudniowej domowej, inny zakładano do obiadu. Jeśli trzeba było wyjść z wizytą, do opery, na bal – każda z tych okazji wymagała zmiany stroju. Nie wspominając już o fryzurze – niedopuszczalne było pokazanie się w rozpuszczonych włosach.

Suknia spacerowa z ok. 1870 roku, fot. Klaudia Bałazy

Komplet z lat 30. XIX wieku, fot. Justyna Miodońska

Kompletowanie garderoby było chyba bardzo kosztowne.

Zgadza się. Jeśli chciało się podążać za modą, co sezon należało zaopatrzyć się w nowe suknie. Było to o tyle trudniejsze niż dziś, że nie produkowano masowo gotowej konfekcji i nie udostępniano jej w sklepach (masowa produkcja zaczęła się upowszechniać dopiero pod koniec wieku XIX). Konieczne było zamówienie stroju szytego na miarę. Każda suknia była więc dopasowana do gustu właścicielki, choć korzystano z wzorów drukowanych w żurnalach modowych. Przyglądano się też temu, co w danym sezonie noszą osoby znane i bogate – podobnie jak dzisiaj. Ikonami mody były również członkinie rodów panujących, na przykład królowa Wiktoria.

Zajmujesz się szyciem strojów wzorowanych na modzie tamtych lat. Czy w Krakowie w XIX wieku można było zobaczyć na ulicach takie suknie, jakie wiszą w twojej szafie?

Nie wszystkie. Jak wspomniałam, dama miała różne stroje obowiązujące na różne okazje i pory dnia; ja z racji swojego zainteresowania tańcem historycznym mam najwięcej sukien przeznaczonych właśnie do tańca, a takie można było zobaczyć tylko wieczorami, w salach balowych. Natomiast jedna z moich ulubionych sukien powstała z inspiracji modą secesyjną, stylem, który szczególnie pasuje do Krakowa. Jest z nią tylko jeden problem: ma tren... Na początku XX wieku na Plantach wprowadzono zakaz noszenia sukien z opuszczonym trenem, bo damy zamiatające spódnicami ścieżki wzniecały za dużo kurzu. Są więc miejsca w Krakowie, gdzie nie mogłabym się w niej godnie pokazać *(śmiech)*. Inna suknia wzorowana jest na stylu paryskiego projektanta Paula Poireta, który w drugiej dekadzie XX wieku zrewolucjonizował modę. Jego projekty były jednak zbyt śmiałe jak na konserwatywny Kraków tamtych czasów. Mam na myśli chociażby historię pewnej elegantki, która zainspirowana zachodnią modą wyszła na krakowski Rynek ubrana w... spodnie. Niestety, spotkała się z tak agresywną krytyką, że musiała uciekać z powrotem do domu. Krakowianie nie byli jeszcze gotowi na „kobietę w gaciach".

Skoro już wiemy, że nie na Plantach – to gdzie można zobaczyć wykonane przez ciebie stroje?

Najlepsza okazja do zobaczenia mojej kolekcji kostiumów to prowadzone przeze mnie pokazy mody, podczas których modelki-aktorki-tancerki przybliżają widzom klimat danej dekady. Pokazy mają zawsze charakter przekrojowy – obejmują sto lub więcej lat historii mody – i są podporządkowane jakiemuś tematowi: w ubiegłym roku na Targach Retro i Vintage Kogel Mogel odbył się pokaz *Niewymowne. Historia bielizny 1800-1950*. Pokazaliśmy wtedy wiele oryginalnych elementów ubioru, np. koronkowy czepek i halkę z lat 20. czy gorset z lat 50. XX wieku.

Gorset z lat 50.? A czy kobiety nie zrzuciły ich właśnie w latach 20.?

To częsty błąd, a raczej – błędne uogólnienie. Owszem, w latach 20. kobieca sylwetka ogromnie się zmieniła – elegantki stylizowały się na „chłopczycę", dążono do smukłej sylwetki i ukrycia kobiecych kształtów. A jednak ten fenomen obejmował głównie młode pokolenie – starsze kobiety wciąż nosiły gorsety. Były też różne sposoby na spłaszczanie sylwetki do pożądanego kształtu. Gorset był więc obecny przez cały czas, tylko w różnych formach – gdy w latach 40. i 50. znów do łask wróciły wąska talia i figura klepsydry, powrócono do starych sposobów osiągania wymarzonej sylwetki. Zresztą, gorsety wciąż nie odeszły całkiem do lamusa – mamy nawet w Krakowie kilka gorseciarek, które nie narzekają na brak klientek i szyją gorsety zarówno dla rekonstruktorek, jak i dla dziewczyn chcących nosić je na co dzień.

Czy chodzenie w gorsecie jest niewygodne?

To zależy od tego, jaki rodzaj gorsetu nosimy: czy zakupiłyśmy pierwszy lepszy, czy został uszyty na nasz wymiar u gorseciarki, jak długo w nim jesteśmy, jak mocno go zaciśniemy. Ja zawsze powtarzam, że gdy mam na sobie gorset, czuję się tak, jakby ktoś mnie stale obejmował! Ale i tak nie jestem w stanie wytrzymać dłużej niż kilka godzin, zwłaszcza że na gorsecie wspiera się ciężar reszty stroju.

Suknia balowa z ok. 1850 roku, fot. Karol Szafrański – Odłamki Chaosu

Wspomniałaś, że suknie balowe stanowią największy procent twoich kostiumów. Czym wyróżniał się taki rodzaj stroju? Czy pozwalał wytrzymać w nim całą noc tańczenia?

Był lżejszy, ponieważ często wykonywano go ze zwiewnych i lekkich rodzajów tkanin: muślinu, szyfonu, satyny. Balowa toaleta – co paradoksalne, zważywszy na trwający niemal przez cały XIX wiek nakaz zasłaniania całych kobiecych nóg aż do kostek – pozwalała też na głębokie dekolty. Z drugiej strony w takich sukniach nadal były obecne wszystkie usztywnienia, czyli gorsety, klatki, wypełniacze. Kobiety chciały prezentować się na balach jak najlepiej, więc niektóre zaciskały gorsety mocniej niż zwykle. Omdlenia były wówczas normą, zwłaszcza że tańczących było dużo, powietrza mało, temperatura rosła po każdej polce czy mazurze. Do tego należało mieć założone rękawiczki – zarówno panie, jak i panowie. W różnych dekadach modne były różne długości rękawiczek – pod koniec wieku noszono takie kończące się nad łokciem. Aby wyglądały smukło na ręce, zapinano je na rząd małych guziczków. Na balach nie trzeba było nosić kapelusza, choć wpinano we włosy kwiaty, wianki i ozdoby z piór, a fryzury z użyciem wielu dopinek były ciężkie i niewygodne. Na szczęście w trakcie takich wydarzeń w małym pokoiku czuwała służąca, która ratowała zniszczone fryzury czy rozprute treny.

Kiedy dowiaduję się więcej na temat tego, jak naprawdę wyglądało życie w XIX wieku, podróż w czasie nie wydaje się już taka kusząca.

To prawda. To, co w dziewiętnastowiecznej kulturze nas najbardziej przyciąga, wygląda pięknie i elegancko, ale jest takie tylko z wierzchu. Tak naprawdę życie dziś to luksus w porównaniu z czasami naszych prababć i pradziadków. Ekstrawaganckie stroje i fryzury były domeną tylko wąskiej grupy społecznej. Należąca do niej kobieta była często sprowadzona do roli lalki, która ma być ozdobą salonu, nie odzywać się zbyt często i nie mieć własnej opinii.

Skąd wzięło się twoje zainteresowanie kulturą i modą XIX wieku?

W dzieciństwie uwielbiałam klimat książek i seriali historycznych. Pewnego razu wybrałam się na piknik dla miłośników XIX wieku – to było wspaniałe wydarzenie, cudowna eskapistyczna przygoda, która utwierdziła mnie w moim zamiłowaniu. Na kolejną

Suknia i kapelusz z ok. 1902 roku, fot. Paulina Kowalczyk

edycję postanowiłam uszyć swoją pierwszą suknię. Powstała z szyfonowej firany i gorsetu z sieciówki, ale jak na taką prowizorkę wyszła całkiem zgrabnie i dobrze udawała stroje z tamtych czasów.

Nadal masz ją w szafie?

Tak, i nadal z niej korzystam! Ostatnio wzięła udział w sesji zdjęciowej inspirowanej obrazem *Ofelia* Johna Everetta Millaisa. Weszłam w niej do wody – i chociaż było ekstremalnie, suknia przeżyła tę kąpiel.

Czy to miłość do dawnych tańców i strojów z epoki zainspirowała cię do stworzenia własnej grupy teatralnej odtwarzającej przedwojenny kabaret?

Częściowo tak. Zainteresowanie historią tańca XIX wieku pociągnęło mnie dalej – byłam ciekawa, co działo się na parkietach i na scenie także później, na początku XX wieku. Zauroczyły mnie rewiowe i burleskowe kostiumy: spektakularne pióropusze, ekstrawaganckie kreacje, suknie wyszywane milionami cekinów. Zakochałam się też w tańcach związanych z dawną sztuką estradową – tańcu serpentynowym (nowatorskim stylu stworzonym pod koniec XIX wieku przez amerykańską tancerkę Loie Fuller), kankanie, tańcu orientalnym tzw. złotej ery. Postanowiłam wziąć sprawy w swoje ręce i zorganizować spektakl, który sprawi, że widzowie będą mogli poczuć atmosferę dawnego kabaretu – i tak powstało La Folie! Retro Cabaret Show. Jesteśmy jedyną w Polsce grupą odtwarzającą dawny kabaret w całej jego różnorodności.

Co można zobaczyć podczas takiego show?

Wszystko! *(śmiech)* Głównym założeniem jest różnorodność numerów, ale wszystko, co pojawia się na naszej scenie, musi mieścić się w klimacie lat 1860-1950. Stąd mamy numery taneczne (w tym kankan tańczony w strojach wzorowanych na oryginalnych sukniach z okresu *belle époque*), polskie piosenki przedwojenne, numery musicalowe w broadwayowskim stylu, żonglerkę, pantomimę, improwizowaną komedię, burleskę, akrobatykę. Pracuje z nami grono młodych artystów, którzy tak jak ja pasjonują się stylem dawnych epok i mają ogromne pokłady talentu, energii i pomysłów na nowe numery. Mamy charyzmatycznego reżysera i konferansjera z USA, wspaniałych wokalistów potrafiących naśladować przedwojenną manierę, zawodowych tancerzy zakochanych w stylu retro, osoby ze środowiska cyrkowego. Współpracują też z nami komicy, teatr pantomimowy oraz jedyna krakowska performerka burleski. Kraków, jako ojczyzna Zielonego Balonika, a także artystycznej bohemy początku XX wieku, jest idealnym miejscem na przywołanie ducha paryskiej rewii i dekadenckich rozrywek.

Rozmawiała Izabela Osiadły

www.facebook.com/retro.danceress
www.facebook.com/la.folie.show

La Folie! Retro Cabaret Show, fot. Ilja Van de Pavert

Hafciarski kunszt

Mogilskie i bieńczyckie stroje ludowe zachwycały dbałością wykonania. Zdobiły je piękne hafty o ściegach płaskich, sznureczkowych czy cieniowanych, wykonane jedwabną, wełnianą lub bawełnianą nicią. Najsłynniejsze niegdyś w całym Krakowie hafciarki mieszkały właśnie we wsiach, które później stały się nowohuckimi osiedlami. Anonimowe artystki pochylały się nad misternymi dziełami zimą, wieczorową porą, siadając wspólnie przy świetle świec. Wykonywały prace na zlecenie lub do użytku domowego.

Czasy się zmieniły, jednak hafciarski ruch społeczny wciąż żyje w Nowej Hucie. Spotkanie dwóch rękodzielniczek: Pauliny Maciaszek z ARTzony Ośrodka Kultury im. C.K. Norwida i Karoliny Starostki-Kokoszki zainicjowało w 2018 roku projekt **Miejskie Hafciarki**. Inspirujące pomysły i kreatywne szablony Pauliny oraz techniczne przygotowanie i kunszt Karoliny sprawiły, że hafciarskie spotkania cieszyły się dużym zainteresowaniem. Dziś Miejskie Hafciarki zrzeszają 25 kobiet w wieku od 30 do 60 lat z całego Krakowa, na różnym poziomie zaawansowania. Spotykają się w ARTzonie, aby motywować siebie i innych do rozwoju. Wspólnie uczą się ściegów, dzielą nowinkami oraz szlifują warsztat rękodzielniczy. W tworzone dzieła angażują całe serce, a poprzez swoje wzory mówią o rzeczach ważnych i inspirujących.

Zwieńczeniem pracy Miejskich Hafciarek są coroczne wystawy w ARTzonie o wydźwięku społecznym i edukacyjnym. Pierwsza ekspozycja, zatytułowana *Nowa haftująca*, przybliżała historię i topografię Nowej Huty. Kolejna – *Włościanka* – zwracała uwagę na problem nadmiernego wykorzystywania plastiku w życiu każdego z nas. Tegoroczna prezentacja została natomiast zainspirowana przyrodą: *Natura haftu* przedstawia przekroje pni drzew. Pomiędzy słojami wyszyto opowieść o związku hafciarki z przyrodą, podkreśloną także materiałem – lnianym lub bawełnianym, barwionym przy wykorzystaniu roślin barwierskich, drzew czy ziół. Uzyskany kolor, kształt zabarwienia i zapach lasu unoszący się z płótna przypominają, że człowiek zawsze był, jest i będzie częścią dużo większego od niego świata natury. **(io)**

Tekst powstał w oparciu o materiały ARTzony Ośrodka Kultury im. C.K. Norwida. www.artzona.okn.edu.pl

Monika Fiołek, *Natura haftu*, fot. Małgorzata Hajto

Veronika Hapchenko, *Everything was beautiful and nothing hurt*, fot. Dorota Halberda

Ruiny i sztuka

„Pod ziemią, w sztucznym świetle, czas płynie wolniej, a temperatura, odgłosy i zapachy różnią się znacząco od tych na zewnątrz. Kameralna, niemal intymna przestrzeń, w której rozpycha się wapienna cembrowina dawnej baszty, skłania do myślenia i spojrzenia w głąb siebie" – mówi Artur Wabik, sprawujący opiekę kuratorską nad **galerią Baszta**. Nietypowa przestrzeń do kontemplowania sztuki powstała w ruinach XVI-wiecznej baszty. Dawne ufortyfikowanie mieści się w podziemiach Dworku Białoprądnickiego i przypomina o burzliwej historii pałacu, którego pierwszą architektoniczną wersję w pierwszej połowie XVI wieku wzniósł kanclerz wielki koronny, biskup krakowski Samuel Maciejowski. W latach 1550-1560 w okazałej letniej rezydencji przebywał biskup Andrzej Zebrzydowski i prawdopodobnie to on zbudował na terenie dworu system obronny, którego ślady możemy zobaczyć do dziś.

Galeria Baszta rozpoczęła swoją działalność w 2018 roku i jest częścią Centrum Kultury „Dworek Białoprądnicki". To miejsce stworzone z myślą o wymagających, ale niezwykle inspirujących wystawach, performansach i instalacjach typu *site-specific*. Jako przestrzeń „trudna", surowa i nieregularna mocniej wpływa na kształt i tematykę ukazywanych w niej dzieł, co stanowi odwrócenie relacji znanej dobrze z wnętrz tradycyjnych galerii – w formule *white cube* zupełna czystość i przezroczystość przestrzeni wystawienniczej ma na celu jedynie lepszą ekspozycję prac artystów. Do tej pory w galerii zaprezentowano dwanaście wystaw, które poruszały problem kondycji człowieka we współczesnym świecie, a zwłaszcza zależność między nim a otaczającym go środowiskiem naturalnym. Twórcy często sięgali po naturalne surowce i odpady. Ważnym aspektem instalacji była ich interaktywność – ekspozycje niejednokrotnie umożliwiały widzom wejście do wnętrza ruin baszty, by mogli tam na przykład brać udział w wykopaliskach (*The Tower*), poddawać się deprywacji sensorycznej (*To jest rewelacyjna dziura*) czy symbolicznie przelewać troski do czary goryczy (*Muzeum smutku*). **(io)**

Tekst powstał w oparciu o materiały Centrum Kultury „Dworek Białoprądnicki". www.dworek.eu

Dziedzictwo i nowoczesność

Średniowieczna kamienica kupiecka, arystokratyczna rezydencja, jeden z pierwszych dziewiętnastowiecznych salonów towarzyskich w mieście, biuro starosty, bank, gmach kierownictwa NSDAP na Generalne Gubernatorstwo, a następnie Komitetu Polskiej Partii Robotniczej, siedziba Wydawnictwa Literackiego (w latach 1956-1972), a także: Związku Harcerstwa Polskiego, szkoły tańca, księgarni, redakcji pisma „Student"... – przy Rynku Głównym 25 jak w soczewce skupiają się dzieje Krakowa, Polski i naszego regionu Europy. Od blisko trzech dekad pod tym adresem mieści się Międzynarodowe Centrum Kultury, instytucja powołana do istnienia podczas krakowskiego sympozjum Konferencji Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie w 1991 roku. Położona tuż przy dawnym ratuszu kamienica była świadkiem wielkich historycznych i politycznych wydarzeń, ale też organizowanych na głównym miejskim placu zabaw, jarmarków i przedsięwzięć kulturalnych. Przed jej oknami przez wieki toczyły się codzienne sprawy kolejnych pokoleń krakowian.

Reprezentacyjny pałac powstał w połowie XIX stulecia – z połączenia dwóch gotyckich kamienic. W XIV i XV wieku należały one do zamożnych krakowskich rodzin, które prowadziły interesy handlowe w całej hanzeatyckiej Europie. O złotych czasach krakowskiego handlu przypominają średniowieczne piwnice, obecnie odnowione i udostępniane na wystawy czasowe. Okres prosperity trwał także w okresie renesansu, gdy jeden z budynków należał do potomków słynnej augsburgskiej rodziny Fuggerów – europejskich potentatów finansowych, cesarskich i papieskich bankierów (od nich wywodzą się warszawscy Fukierowie). Przez pewien czas rozważano możliwość ulokowania w tym miejscu kościoła i klasztoru dla sprowadzonych do Krakowa w 1564 roku jezuitów. Ich przełożony uznał jednak, że zajęcie przez zakonników znacznej części rynku tuż obok ratusza nie zyska akceptacji krakowian i ostatecznie wczesnobarokowy jezuicki kościół św. św. Piotra i Pawła stanął przy ulicy Grodzkiej. Pod koniec XVI stulecia należące wcześniej do mieszczan kamienice wokół rynku były już najczęściej własnością szlachecką. To właśnie wtedy właściciel jednego z budynków tworzących obecny pałac, wojewoda sandomierski Stanisław Szafraniec – jeden z najznamienitszych senatorów różnowierców i mecenas sztuki (znany m.in. z renesansowej przebudowy zamku w Pieskowej Skale) – przekształcił swoją krakowską rezydencję w „kalwińską synagogę". Przez kolejne trzy wieki dom przechodził przez ręce magnackich rodów: Myszkowskich, Komorowskich, Drohojowskich, Szembeków. Gdy 24 marca 1794 roku Tadeusz Kościuszko składał historyczną przysięgę pod oknami kamienicy, jej właściciel generał Aleksander Szembek w patriotycznym uniesieniu „odprzągł konie od karety, a zaprzągł do działa".

Kamienica „Pod Kruki", fot. Paweł Mazur

Rozbiory Polski przypieczętowały upadek Krakowa, wyniszczonego już wcześniej wojnami i nękającymi mieszkańców epidemiami. Przejeżdżający przez miasto na początku XIX wieku Honoriusz Balzak nazwał je „trupem stolicy". Z czasem, wraz z rozwojem myśli romantycznej i historycznej oraz nastaniem względnej politycznej swobody w epoce autonomii galicyjskiej, Kraków odzyskał pozycję „duchowej stolicy" narodu. Powołanie w 1879 roku pierwszego polskiego muzeum narodowego w Sukiennicach przekształciło krakowski rynek w kulturalny salon miasta. Kamienicy przy Rynku Głównym 25 podobną funkcję nadała już wcześniej Anna z Tyszkiewiczów Potocka-Wąsowiczowa. Jedna z najbardziej intrygujących kobiet epoki romantyzmu (spokrewniona ze Stanisławem Augustem Poniatowskim) po klęsce powstania listopadowego przeniosła tutaj swój słynny warszawski salon. To właśnie Anetka – jak nazywali ją współcześni – przekształciła dwie przyrynkowe kamienice w pałac nazywany wówczas „Pod Krukami".

Na przełomie XIX i XX wieku na unowocześnionym rynku zbiegały się linie uruchomionego w 1902 roku tramwaju elektrycznego, pojawiły się też banki. Pierwszą tego typu instytucją w Krakowie był działający przy Rynku Głównym 25 od 1869 roku Galicyjski Bank Handlu i Przemysłu. Przebudowa przeprowadzona na potrzeby tej instytucji przez znanego z restauracji Sukiennic Tomasza Prylińskiego nadała fasadzie budynku jej obecny neorenesansowy charakter. W związku z wizytą cesarza Franciszka Józefa I w Galicji w 1880 roku zorganizowano iluminację pałacu – i była to pierwsza pod Wawelem publiczna próba z oświetleniem elektrycznym! Po 1919 roku działalność finansową w tym miejscu kontynuował Bank Małopolski, który przeprowadzał kolejne modernizacje. Niestety, wkrótce burzliwe dzieje XX wieku zmieniły nowoczesną „świątynię pieniądza" w złowrogi symbol obecności Trzeciej Rzeszy nad Wisłą, a potem w siedzibę komunistycznej władzy w Krakowie. Po transformacji ustrojowej 1989 roku dawny elitarny salon towarzyski znów stał się ważnym punktem na mapie kulturalnego życia miasta – miejscem dialogu dziedzictwa z nowoczesnością.

Na początku tego roku nakładem MCK ukazała się publikacja *Rynek Główny 25. Dzieje jednego adresu* – ta niezwykła „biografia" stworzona przez autorów reprezentujących różne profesje i rozmaite doświadczenia zabiera czytelnika w fascynującą podróż przez wieki. Przeczytamy tu m.in. o losach właścicieli i lokatorów od XVI wieku, różnych funkcjach budynku oraz jego przekształceniach na przestrzeni dziejów (aż po ostatnią przebudowę z początku XXI wieku), pierwszych dekadach Wydawnictwa Literackiego czy latach 80. XX wieku, gdy w kamienicy działała redakcja społeczno-kulturalnego dwutygodnika „Student". **(dd)**

Tekst powstał w oparciu o materiały Międzynarodowego Centrum Kultury. www.mck.krakow.pl

Rynek Główny 25 Dzieje jednego adresu

Fascynująca historia kamienicy „Pod Kruki" – siedziby Międzynarodowego Centrum Kultury

Zapraszamy do naszej księgarni internetowej: www.mck.krakow.pl/ksiegarnia

Międzynarodowe Centrum Kultury

Pomniki z Plant

Jakie historie skrywają milczące kamienne postaci, które mijamy, biegnąc w pośpiechu lub idąc spacerowym krokiem przez najsłynniejszy krakowski park?

Wydawać by się mogło, że Plant nie trzeba nikomu przedstawiać. Legendarny ogród otaczający najstarszą część miasta ufundowany został w 1815 roku na miejscu wyburzonych pozostałości średniowiecznych murów i od tego czasu jest ważnym miejscem spacerów i spotkań mieszkańców Krakowa. Przechadzając się pośród kasztanowców, topoli i kwietników z egzotyczną roślinnością, odnajdziemy tu wykonane z kamienia sylwetki – artystów, bohaterów historii i literatury czy zasłużonych dla Krakowa polityków.

U stóp Wawelu naszą uwagę przykuje parkowa ławeczka, na której przysiadło dwóch dyskutujących mężczyzn. Postaci wykonane według projektu Stefana Dousy przedstawiają matematyków **Stefana Banacha i Ottona Nikodyma**. Historia tej sceny sięga 1916 roku i pewnego letniego wieczoru, kiedy młody wówczas uczony Hugo Steinhaus, spacerując w okolicach Wawelu, usłyszał rozmowę o całce Lebesgue'a. Zaintrygowany faktem, że ktoś dyskutuje o pojęciu znanym jedynie matematykom, dołączył do konwersacji i opowiedział nieznajomym o naukowym problemie, nad którym wówczas pracował. Rozmawiającymi o całce mężczyznami okazali się matematyk-samouk Stefan Banach oraz gimnazjalny nauczyciel tego przedmiotu Otto Nikodym. Kilka dni po spotkaniu Banach przyniósł Steinhausowi gotowe rozwiązanie nurtującej go kwestii naukowej. Tak nawiązała się między nimi owocna dla świata nauki współpraca. Pomink odsłonięto w 2016 roku – jego obecność ma inspirować przechodniów do oderwania się od smartfonów i uważniejszego przyglądania się światu wokół. Kto wie, może odwiedzenie ławki matematyków przed ważnym egzaminem bądź rozmową o pracę przyniesie nam szczęście?

Ławeczka Stefana Banacha i Ottona Nikodyma, fot. Jan Nowak

Czy wiecie, że w 1888 roku na placyku naprzeciwko kościoła oo. Reformatów wzniesiono pomnik **Fryderyka Chopina**? Autorem brązowego popiersia kompozytora był Władysław Marcinkowski. Pomnik został rozebrany w 1931 roku z zamiarem postawienia okazalszego monumentu. Niestety, tym planom przeszkodziła II wojna światowa, a na kolejny projekt krakowianom przyszło czekać ponad pół wieku! W 2006 roku na Plantach w okolicach Filharmonii Krakowskiej odsłonięta została *Fontanna Chopina* według projektu awangardowej artystki Marii Jaremy z ośmioma tryskającymi wodą strunami w abstrakcyjnym fortepianie.

U zbiegu ulic Sławkowskiej, Basztowej i Długiej dostrzeżemy pomnik autorstwa Tomasza Oskara Sosnowskiego przedstawiający **Jadwigę i Władysława Jagiełłę**. Dzieło stanęło na Plantach w 500-lecie unii krewskiej. Problem w tym, że tak naprawdę chodziło o inną rocznicę i zupełnie inną parę panującą. Sosnowski wyrzeźbił bowiem Mieszka i Dąbrówkę – ich pomnik przeznaczony do Ogrodów Watykańskich miał upamiętnić 900. rocznicę chrztu Polski w 1866 roku. Plan ten nie został zrealizowany, a Sosnowski ponad 20 lat później postanowił podarować rzeźbę Krakowowi... Aby ukryć fakt, że w pierwotnym zamyśle przedstawiała ona innych bohaterów, pod nogami pary królewskiej umieszczono tarczę z herbami Polski i Litwy.

Jednym z ważniejszych pomników na Plantach jest obelisk upamiętniający przedsiębiorcę i społecznika **Floriana Straszewskiego**. Zapisał się on w pamięci krakowian jako pełen pomysłów aktywista działający na rzecz rozwoju miasta i współtwórca Plant. Zajmował się stroną finansową przedsięwzięcia, kierował robotami, a gdy miejski skarb nie przyznawał już więcej funduszy, Straszewski nie wahał się sięgnąć do własnej kieszeni, by wypłacić robotnikom wynagrodzenie. Pomnik na cześć szczodrego przedsiębiorcy został w 1874 roku wyrzeźbiony w polerowanym granicie tatrzańskim według projektu krakowskiego artysty Edwarda Stehlika. Warto zaznaczyć, że obelisk Straszewskiego jest nie tylko pierwszym pomnikiem, który stanął na Plantach, ale także w otwartej przestrzeni na terenie Krakowa.

Pomnik Jadwigi i Jagiełły, fot. Jan Nowak

Pomiędzy Teatrem im. Juliusza Słowackiego a ulicą Westerplatte napotkamy popiersie **Michała Bałuckiego**. Miejsce, w którym stanął pomnik – w okolicach teatru – nie jest przypadkowe, Bałucki zasłynął bowiem jako komediopisarz, publicysta i krytyk literacki. Zawdzięczamy mu także określenie „pipidówka" (wywodzące się z powieści *Pan Burmistrz z Pipidówki*) i piosenkę *Góralu, czy ci nie żal* będącą nieodłącznym elementem wielu polskich imprez. Choć w latach swojej największej aktywności artystycznej był uwielbiany przez publiczność, krytyka nie szczędziła mu uszczypliwości i złośliwych komentarzy. Kiedy pod koniec XIX wieku w modę weszły modernistyczne postulaty sprzeciwiające się mieszczańskiej moralności, Bałucki został niemal wyeliminowany z krakowskiego życia artystycznego. Jego twórczość przestała interesować dotychczas przychylną publiczność, a dla jego sztuk wymyślono nawet pogardliwy termin „bałucczyzna" oznaczający dzieła o niskich walorach artystycznych. Nieradzący sobie z falą krytyki i cierpiący na nerwicę Bałucki popełnił samobójstwo, strzelając sobie w skroń z rewolweru. Do tragicznego wydarzenia doszło w październikowy wieczór 1901 roku na krakowskich Błoniach. Jednak spokój nie był mu dany nawet po śmierci. Jego pomnik powstał na Plantach w 1910 roku ze społecznych funduszy, a po odsłonięciu spotkał się z... falą krytyki i złośliwymi komentarzami znawców sztuki. Fotograf i historyk Franciszek Klein pisał: „Sam tylko pomnik jest właściwie nieudany. Jest bowiem trochę za ciężki w kompozycji całości; stożkowaty, mało rozczłonkowany postument, zakończony niskim, przysadzistym popiersiem".

Na Plantach znajdziemy też unikalną **latarnię umarłych** z połowy XVII wieku. W miejscu, gdzie dziś się znajduje – w okolicach ulic św. Gertrudy i św. Sebastiana – stał niegdyś kościół św. Sebastiana i towarzyszący mu szpital dla wenerycznie chorych. Latarnia zaś spełniała funkcję zarówno informacyjną, jak i magiczną: informowała podróżnych o pobliskim miejscu związanym nieuchronnie ze śmiercią i dawała poczucie bezpieczeństwa, chroniąc przed... duchami, które mogły czaić się w ciemnościach. Kto wie, może tę ostatnią funkcję spełnia do dzisiaj?

Przemierzając Planty, nie zapominajmy także o sowach autorstwa Bronisława Chromego znajdujących się przy ulicy Podzamcze. Bez trudu odnajdziemy również popiersie Tadeusza Boya-Żeleńskiego. Warto wspomnieć też o pomniku legendarnego barda Bojana poświęconym pamięci Bohdana Zaleskiego znajdującym się przy ulicy Basztowej. Naszą uwagę z pewnością przykuje też zjawiskowa i tajemnicza Lilla Weneda – bohaterka dramatu Juliusza Słowackiego... Tych postaci jest tak wiele! Krakowskie Planty kryją szereg historii, które w zaciszu drzew zapraszają do poznawania bogatej kultury miasta. **(wz)**

Pomnik Michała Bałuckiego, fot. Jan Nowak

Krakowskie „naj"

Kto mieszka w Krakowie, ten wie, że to miejsce wielu „naj"... Prezentujemy cztery wybrane ciekawostki z historii miasta, które możecie przedstawić każdemu, kto zarzuci wam krakowską megalomanię!

Największy rynek średniowiecznej Europy

Gdyby w XIII wieku istniała Księga rekordów Guinnessa, Rynek Główny zostałby do niej wpisany jako największy plac Europy! Średniowieczni urbaniści, planując w 1257 roku układ przestrzenny dla populacji liczącej zaledwie trzy tysiące osób (dane na temat turystów z tamtych czasów są nieznane...), zdecydowali się na zaprojektowanie olbrzymiego placu o wymiarach 200 x 200 metrów. O ile przy dzisiejszej liczbie mieszkańców i odwiedzających jego wielkość ma swoje uzasadnienie, to wydana w XIII wieku decyzja budzi niemałe zaskoczenie.

Warto nadmienić, że dzisiejszy wygląd Rynku Głównego, ta zachwycająca nas przestrzeń, jest wynikiem XIX-wiecznej akcji porządkowej władz miasta, wskutek której wyburzone zostały liczne stojące tu (a czasem też walące się) budowle. Na najważniejszym miejskim placu od średniowiecza stały bowiem budynki pełniące funkcje handlowe, administracyjne i sądownicze: drewniane kramy, studnie, stragany, spichlerz, miejskie wagi, postrzygalnie, a także ratusz, z którego pozostawiono jedynie dobrze nam znaną wieżę.

Najstarszy ogród botaniczny w Polsce

Krakowski ogród botaniczny od 1976 roku wpisany jest do rejestru zabytków jako cenny obiekt przyrody, historii, nauki i kultury. Najbardziej sędziwe z rosnących tu drzew – liczący ponad 200 lat Dąb Jagielloński – jest prawdopodobnie rówieśnikiem ogrodu, który został założony w 1783 roku i jest najstarszym istniejącym ogrodem botanicznym w Polsce. Rozwijał się doskonale: już kilkanaście lat po otwarciu posiadał blisko 3000 roślin. Oprócz gatunków krajowych i leczniczych uprawiano tu rośliny egzotyczne. Odwiedzającym sprzedawano (lub wprost wręczano) ananasy, melony, arbuzy, pomarańcze, winogrona... Kiedy w szklarni po raz pierwszy zaowocowało drzewo bananowca (1791), dumny dyrektor ogrodu przesłał owoce do Warszawy, by spróbował ich król Stanisław August Poniatowski. Wdzięczny monarcha – ku radości dyrektora – wspomógł instytucję zgrabną sumką. Czy obaj marzyli o czasach, gdy banany będą dostępne w każdym sklepie?

Rynek Główny, fot. Wojciech Wandzel

Największy gotycki ołtarz w Europie

Czy wiecie, że słynny ołtarz w kościele Mariackim zawdzięczamy trzęsieniu ziemi? Kataklizm, który nawiedził tereny średniowiecznej Polski na początku lat 40. XV wieku, zniszczył m.in. sklepienie i dawny ołtarz w krakowskiej świątyni. Konieczne było zamówienie nowej nastawy ołtarzowej – jak się później okazało, największej tego typu w Europie i będącej wyjątkowym dziełem sztuki.

Jej autorem był pochodzący z Norymbergi Wit Stwosz, który pracował nad dziełem ponad 12 lat. Za swoją pracę został solidnie wynagrodzony: otrzymał kwotę równą rocznemu budżetowi miasta! Warto dodać, że gdy Stwosz tworzył swoje dzieło, pracował w pięćsetletnim drewnie, więc teraz liczy ono sobie około tysiąca lat.

Monumentalna struktura ołtarza, błyszcząca kolorami i złotem, tworzy szafiasty pentaptyk o wysokości 13 metrów i szerokości 11 metrów. Ołtarz wypełnia ponad 200 postaci wyrzeźbionych w lipowych klocach. Figury w głównej scenie, obrazującej Zaśnięcie Najświętszej Marii Panny, liczą niemal trzy metry. Podziwiając ołtarz, zwróćmy uwagę na jego niezwykły realizm. Stwosz nadał postaciom rysy współczesnych mu krakowian, oddając także takie szczegóły, jak zdeformowane dłonie, łysiejące głowy czy wyraźnie zarysowane żyły.

Najstarsza polska gazeta

Dziennikarskie życie Polski koncentruje się w stolicy – co do tego nikt nie ma najmniejszych wątpliwości. Jednak nawet ci, którzy w odwiecznej rywalizacji między dawną a dzisiejszą stolicą kraju biorą zawsze stronę Warszawy, muszą przyznać, że to Kraków jest kolebką polskich mediów.

To właśnie tutaj 3 stycznia 1661 roku ukazała się pierwsza w Polsce gazeta. Nosiła tytuł „Merkuriusz Polski" i wydawano ją w cyklu tygodniowym. Pierwszym polskim dziennikarzem był królewski sekretarz rodem z Włoch, Hieronim Pinocci. Trud wydawania gazety dzielił z drukarzem Janem Aleksandrem Gorczynem. Redakcja mieściła się w Domu Szoberowskim przy Małym Rynku (dzisiejszy nr 6). W Krakowie ukazało się 27 wydań „Merkuriusza". Mniej więcej pół roku po otwarciu pisma przeniesiono je do Warszawy, gdzie właśnie rozpoczynał się sejm. Przeprowadzka nie wyszła gazecie na dobre – ostatni, 41. numer opublikowano wkrótce po przenosinach, 22 lipca 1661 roku. Pismo upadło, a jego redaktor zmarł w nędzy, co polecamy pod rozwagę wszystkim przekonanym o wyższości Warszawy nad Krakowem... **(wz)**

Ołtarz Wita Stwosza w kościele Mariackim, fot. Paweł Mazur

KORZYSTAJ WYŁĄCZNIE ZE SPRAWDZONYCH ŹRÓDEŁ INFORMACJI O KORONAWIRUSIE!

Infolinia NFZ: 800 190 590

bezpłatna całodobowa Telefoniczna Informacja Pacjenta
o postępowaniu w sytuacji podejrzenia zakażenia koronawirusem

Powiatowa Stacja Sanitarno-Epidemiologiczna w Krakowie

- telefony alarmowe: *600 876 214*, *602 263 605*
- telefony informacyjne: *12 684 40 32*, *12 684 40 33*, *12 644 91 33, wew. 120, 133, 136, 139*

Oddziały zakaźne i obserwacyjno-zakaźne w Krakowie

- Szpital Uniwersytecki – Oddział Chorób Zakaźnych, ul. Jakubowskiego 2
  telefon całodobowy / telefon do lekarza dyżurnego oddziału zakaźnego: *12 400 20 00*
- Szpital Specjalistyczny im. S. Żeromskiego – Oddział Obserwacyjno-Zakaźny, os. Na Skarpie 67
  telefon całodobowy / telefon do lekarza dyżurnego oddziału zakaźnego: *12 622 93 53*

Pomoc osobom starszym

- Zakupy dla seniora – dla mieszkańców Krakowa powyżej 60. roku życia mieszkających samotnie lub z drugą osobą w podeszłym wieku lub z niepełnosprawnością oraz niepełnosprawnych po 18. roku życia, którzy nie opuszczają domu:
  887 202 948 (pn.-pt. 8.00-14.30), *senior@mops.krakow.pl*

Pomoc osobom przebywającym w kwarantannie domowej

- zgłoszenia potrzeb żywnościowych:
  887 202 946, *887 202 947* (pn.-pt. 8.00-19.00, sb., nd. 10.00-14.00),
  kontakt@mops.krakow.pl lub poprzez policjanta nadzorującego kwarantannę
- wsparcie psychologiczne:
  Ośrodek Interwencji Kryzysowej: *12 421 92 82* (całodobowy), *502 273 430*, *500 741 575*
  Ośrodek Poradnictwa i Terapii Rodzin: *12 262 92 99*, *12 633 35 31*
  Krakowski Instytut Psychoterapii: *12 423 02 28*, *783 222 263*,
  12 644 12 66 wew. 21 i 24, *12 682 11 50*, *692 960 436*

INICJATYWY POMOCOWE

Zrobienie zakupów, wykupienie lekarstw, wyprowadzenie psa na spacer, a nawet znalezienie dachu nad głową na czas kwarantanny – w obliczu walki z epidemią te prozaiczne czynności mogą sprawiać wiele kłopotów. W najtrudniejszej sytuacji znalazły się osoby niepełnosprawne, starsze i samotne. O wsparcie proszą też ci, którzy stoją na pierwszej linii frontu – pracownicy służb medycznych. Nie zabrakło na szczęście ludzkiej życzliwości i zaangażowania: powstało wiele inicjatyw, uruchamianych zarówno przez instytucje, jak i oddolnie zwołujące się grupy, wyrażające chęć bezinteresownej pomocy i umacniających sąsiedzką solidarność. Potrzebujecie wsparcia? A może to wy chcecie wyciągnąć pomocną dłoń? Poniżej zamieszczamy wybór inicjatyw pomocowych.

#CateringDlaSeniora

www.facebook.com/fitlabcatering
zrzutka.pl/5ua6bm
tel. 735 998 448

Zaproponowana przez firmę FitLab Catering i jej partnerów akcja społeczna zapewnia całodzienne wyżywienie dla osób starszych i potrzebujących. Koszty zestawów są pokrywane częściowo dzięki prowadzonej internetowo zbiórce, resztę dopłacają organizatorzy akcji. Zestaw składa się z czterech zbilansowanych posiłków (śniadanie, zupa, danie główne i kolacja) i kosztuje 40 zł. Wpłacając środki, można pomóc osobom starszym na dwa sposoby: przekazując dane seniora, któremu chcemy zapewnić wyżywienie przez określoną przez nas liczbę dni, lub fundując posiłki podopiecznym filii nr 7 Miejskiego Ośrodka Pomocy Społecznej w Krakowie, z którym organizatorzy przedsięwzięcia nawiązali współpracę.

IHELPYOUapp

www.ihelpyou.app
tel. 22 267 17 17 (infolinia czynna w godz. 9.00-22.00)

Aplikacja na komputer lub telefon, która tworzy platformę międzysąsiedzkiej pomocy. Za jej pośrednictwem możemy poprosić wolontariusza o wyprowadzenie psa bądź zrobienie dla nas zakupów. Dla osób niekorzystających ze smartfonów i komputerów twórcy uruchomili także infolinię, której konsultant pomoże w znalezieniu wolontariusza.

Kraków pomaga

www.krakowpomaga.pl
tel. 731 894 500 (tylko w sprawach pilnych!)

Inicjatywa aktywnych mieszkańców Krakowa, którzy chcą wspomóc podczas walki z epidemią krakowską służbę zdrowia, osoby przebywające w kwarantannie, osoby starsze, a także każdego, kto w wyniku epidemii znalazł się w trudnej sytuacji życiowej. Projekt skierowany jest do firm, restauracji, sponsorów i osób indywidualnych, które w bezinteresowny sposób chcą nieść pomoc potrzebującym, np. dostarczając posiłki i zakupy. Istnieje również możliwość otrzymania wsparcia. By zostać wolontariuszem lub uzyskać pomoc, wystarczy wypełnić formularz zgłoszeniowy na stronie internetowej.

Maseczki dla krakowskich medyków

www.facebook.com/maseczkikrakow

Grupa na Facebooku, która jest odpowiedzią na rosnące zapotrzebowanie pracowników medycznych na maseczki ochronne. Do działania może przyłączyć się każdy, kto umie szyć!

Mieszkanie dla medyka

Wraz z rozwojem epidemii coraz więcej lekarzy, pielęgniarek i ratowników trafia na obowiązkową kwarantannę. Inicjatywa „Mieszkanie dla medyka" łączy potrzebujących pracowników medycznych i najemców skłonnych do bezpłatnego udostępnienia lokalu na czas przymusowej izolacji. Aby udostępnić lub znaleźć lokal, należy wyszukać grupę „Mieszkanie dla medyka – Kraków i okolice" na Facebooku.

Nie pozwolę ci się zamknąć

www.kig.pl/nie-pozwole-ci-sie-zamknac

Akcja Krajowej Izby Gospodarczej opierająca się na systemie zaliczek na poczet usług i produktów, które zakupimy w przyszłości. Za jej pośrednictwem możemy wesprzeć ulubionego fryzjera, cukiernię lub zakład kosmetyczny, gdyż wystawianie paragonów bądź faktur zaliczkowych umożliwi mniejszym zakładom utrzymanie się w czasach przestoju.

Uwolnij złomka

www.facebook.pl/groups/uwolnijzlomka

Zdalna praca i szkoła przez internet? Bez komputerów ani rusz! Za pośrednictwem tej grupy możemy zarówno przekazać sprzęt komputerowy potrzebującym osobom prywatnym czy instytucjom, jak i zgłosić zapotrzebowanie na niego.

Widzialna Ręka / Visible Hand

To grupa na Facebooku, za której pośrednictwem można zaoferować lub zwrócić się o pomoc w czasach koronawirusowej izolacji: zrobić zakupy sąsiadom, wyprowadzić psa, podzielić się wiedzą fachową lub po prostu porozmawiać. Inicjatywa łączy kilkadziesiąt lokalnych grup – w tym również społeczność krakowską („Widzialna Ręka Kraków") – i z dnia na dzień rośnie w siłę. Wszystkie działania odbywają się dobrowolnie i są nieodpłatne.

Przedstawiamy listę krakowskich lokali gastronomicznych, które oferują jedzenie na wynos lub z dowozem. Posiłki można zamawiać, kontaktując się bezpośrednio z wybranym miejscem lub przez popularne aplikacje, takie jak Pyszne.pl, Uber Eats czy Glovo. Aktualizowana na bieżąco baza znajduje się również na stronie www.krakow.pl/biznes.

#

3 ZIÓŁKA ul. Mogilska 11, tel. 795 995 007, www.bar3ziolka.pl
27 PORCJI al. Kasztanowa 1, tel. 502 439 997, www.27porcji.pl

A

ALBERTINA RESTAURANT & WINE ul. Dominikańska 3, tel. 570 136 720, www.albertinarestaurant.pl
ALDENTE BISTRO ul. Spółdzielców 3, www.aldentebistro.pl
ALMOND CATERING ul. Kurniki 9, www.almondcatering.pl
ANDROMEDA ALFA ul. Gęsia 22a, tel. 12 342 81 42, www.andromeda.jordan.pl
AQUARIUS bulwar Czerwieński 81, www.aquariuskrakow.pl

B

BAR KRAKUS ul. Limanowskiego 16, tel. 12 656 68 83, www.barykrakow.pl
BAR JANOSIK ul. Wiewiórcza 2, tel. 12 645 00 51, www.barjanosik.eu
BAR MIESZCZAŃSKI ul. Wlotowa 2, tel. 12 356 50 93, www.barykrakow.pl
BAR ORIENTALNY AN NAM ul. Szewska 25, www.barannam.pl
BAR POD FILARKAMI ul. Starowiślna 29, tel. 12 422 73 02, www.barykrakow.pl
BAR PROMYK ul. Wysłouchów 8, tel. 12 654 60 65, www.barykrakow.pl
BAR SMAKOSZ ul. Mogilska 58, tel. 12 413 67 14, www.barykrakow.pl
BAR TARGOWY ul. Daszyńskiego 19, tel. 12 421 14 37, www.barykrakow.pl
BAR UNIWERSYTECKI ul. Czysta 5, tel. 515 876 070, www.barykrakow.pl
BAR ZDROWIE ul. gen. Jasińskiego 30, tel. 12 430 68 45, www.barykrakow.pl
BIAŁA RÓŻA ul. Straszewskiego 16, tel. 728 891 072, www.restauracjabialaroza.pl
BISTRO BENE BY TOMASZ LEŚNIAK ul. św. Krzyża 17, tel. 789 093 622, www.bistrobene.pl
BISTRO MARCHEWKA al. Jana Pawła II 232, tel. 533 490 012
BISTRO RUCOLA ul. Lea 116, tel. 731 035 513
BONJOUR CAVA ul. Brodzińskiego 4 | ul. Koło Strzelnicy 2, tel. 790 228 843
BONJOUR PHO ul. Krupnicza 12, tel. 517 352 666

C

CATERING & WAWELSKIE BISTRO – SPÓŁDZIELNIA SOCJALNA RÓWNOŚĆ ul. Bernardyńska 3, tel. 692 335 226, www.spoldzielniarownosc.pl
CHAŁKA RESTO BAR ul. Meiselsa 8, tel. 517 214 438
CHIMERA ul. św. Anny 3, tel. 603 603 429, www.chimera.com.pl
CHŁOPSKIE JADŁO ul. św. Jana 3, www.chlopskiejadlo.pl
CORLEONE ul. Poselska 19, www.corleone.krakow.pl
CROWN PIAST HOTEL & SPA ul. Radzikowskiego 109, www.hotelpiast.pl
CUKIERNIA CZARODZIEJ ul. Karmelicka 15 | ul. Kronikarza Galla 24A, tel. 12 638 52 44 | ul. Wrocławska 5A, tel. 12 634 51 05, www.czarodziej.krakow.pl
CZYLI PIZZA ul. Orlińskiego 1, tel. 662 595 059

D

DADDY'S PIZZA ul. Krowoderska 28, tel. 885 104 010
DAGRASSO ul. Czarnowiejska 97A, www.dagrasso.pl
DAJWÓR 3 PIZZA ul. Dajwór 3, www.dajwor3pizza.pl
DĄBSKIE JADŁO ul. Dąbska 18D, www.dabskiejadlo.pl
DOBRY RZEŹNIK pl. Imbramowski 179/118, tel. 730 304 242
DOLC&SALATO GIORGIO TIDONA ul. ks. Machaya 1/1, www.dolcandsalato.pl

E

EDO FUSION ASIAN CUISINE ul. Miodowa 8, www.edofusion.pl
EDO SUSHI BAR ul. Bożego Ciała 3, www.edosushi.pl
EFES KEBAB ul. Basztowa 17, www.kebabkrakow24.pl
EMALIA ul. Romanowicza 5/9A, tel. 578 364 376, www.emaliazablocie.pl
ENOTEKA PERGAMIN ul. Grodzka 39, tel. 797 705 515, www.enotekapergamin.pl

F

FABRYKA PIZZY ul. Józefa 34 | ul. Lubomirskiego 41 | ul. Kijanki 2 | ul. Lubostroń 22G/5 | ul. Orlińskiego 5 | ul. Stańczyka 14, www.fabrykapizzy.pl
FAMILY BISTRO ul. Królewska 55, tel. 690 969 000, www.familybistro.pl
FELIX CHICKEN ul. Królewska 47, tel. 530 000 330, www.felixchicken.pl
FELIX CHICKEN DRIVE al. 29 Listopada 155A, tel. 500 142 939, www.felixchicken.pl
FIT & FULL ul. Polonijna 5/A, tel. 667 042 037, www.fitfullbistro.pl
FLOMARO FRENCH BISTRO & SHOP ul. Krupnicza 14, tel. 662 828 370, www.flomaro-dostawa.pl
FLOW REST AND CAFE ul. Stachowskiego 4, tel. 575 475 000, www.flowrestauracja.pl
FRESH ul. Jasnogórska 1, tel. 12 293 20 80
FRYTKI BELGIJSKIE ul. św. Wawrzyńca 16 | pl. Nowy 4B/10 | ul. Kobierzyńska 113 | ul. Witosa 19A | ul. Bulwarowa 43, www.frytkibelgijskie.pl

G

GALERIA PIEROGÓW ul. Kopczyńskiego 16, tel. 12 359 42 21
GALERIA TORTÓW ARTYSTYCZNYCH ul. Romanowicza 1, tel. 780 112 139
GAVI RESTAURANT pl. Kossaka 6, tel. 12 424 11 11, www.gavirestaurant.pl

Fot. Jacek Kabziński

GĄSKA KUCHNIA POLSKA
ul. Limanowskiego 1, tel. 604 957 571, www.gaskarestauracja.pl
GOŚCINNA CHATA PIEROGARNIA
ul. Beskidzka 30, tel. 508 413 524

H

HANDELEK ul. św. Filipa 14, tel. 882 906 818, www.handelek.com
HUMMUS AMAMAMUSI
ul. Meiselsa 4, tel. 533 306 288, www.hummus-amamamusi.pl

J

JADŁODAJNIA U KOLEJARZY
ul. św. Filipa 6, tel. 12 346 49 63, www.jadlodajnia-krak.pl

K

KA VEGAN UDON & SUSHI
ul. Rakowicka 15A, tel. 790 237 779
KARCZMA MARIO
ul. Wodna 17, tel. 518 188 552, www.karczmamario.eatbu.com
KEBAB POD 13 pl. Wolnica 13, www.kebabpod13.pl
KEBAB U BUŁY ul. Majora 141, tel. 514 577 194
KWANT BISTRO ul. Radzikowskiego 69, tel. 12 626 18 00, 694 66 19 63, www.kwantbistro.pl

L

LE SCANDALE GARDEN pl. Nowy 9, tel. 519 157 859, www.scandalegarden.pl
LUNCH BAR MARCO ul. Biskupia 2, tel. 537 890 375

M

MIEJSCÓWKA ul. Józefińska 4, tel. 574 619 575, www.miejscowka.eu
MIŁA BAR MLECZNY ul. Bosaków 11, tel. 12 413 12 37 | ul. Łąkowa 29, tel. 12 417 24 23 | ul. Kniaźnina 4, tel. 12 648 75 89 | os. 2 Pułku Lotniczego 1G, tel. 12 649 85 15
MISKI ul. Lea 17B, tel. 690 969 639
MONKEY BUSINESS PIZZA & MORE ul. Brodzińskiego 3, tel. 603 225 224, www.monkeybusiness.pl
MO-JA CAFE & BISTRO
ul. Starowiślna 14, www.cafemoja.pl
MOO MOO STEAK & BURGER CLUB
ul. Sienna 9, tel. 12 422 20 53, www.moomoo.com.pl
MOLÁM THAI CANTEEN & BAR
ul. Rajska 3, www.molam.pl

N

NOWOHUCKI SŁOIK
os. Niepodległości 3A, tel. 798 816 242, www.nowohuckisloik.pl
NOLIO ul. Krakowska 27, tel. 12 346 24 29, www.nolio.pl

P

PIEC NA ZABŁOCIU ul. Ślusarska 3/2, tel. 533 112 352
PIEROGARNIA TBILISURI ul. Długosza 3, tel. 502 208 451
PIZZA DOMINIUM ul. Bora Komorowskiego 37 | ul. Podgórska 34, www.dostawa.pizzadominium.pl
PIZZERIA & MULTIPUB BARBAKAN
ul. Lipska 51, tel. 503 402 960
PIZZERIA AL FORNO ul. Dąbska 18D, www.pizzeria-alforno.pl
PIZZERIA BABILON ul. Budryka 2 | ul. Skarżyńskiego 7, www.pizzababilon.pl
PIZZERIA BELLA ANTONINA al. Kasztanowa 1, tel. 12 257 10 36, www.27porcji.pl
PIZZERIA BOSCA ul. Pszona 10/3, tel. 668 105 283, www.pizzeriabosca.pl
PIZZERIA TRZY PAPRYCZKI ul. Poselska 17, www.trzypapryczki.krakow.pl
PIZZERIA TUTTI SANTI
ul. Zakopiańska 62B, tel. 600 17 17 04, www.tuttisanti.pl
POCO LOCO ul. Czysta 9, tel. 690 800 805, www.pocolocokrakow.pl
POD NORENAMI ul. Krupnicza 6, tel. 661 219 289, www.podnorenami.pl
POWER FOOD PIZZA ul. Długa 28, www.power-food.pl

R

RANNY PTASZEK ul. Augustiańska 5, tel. 517 656 246, www.rannyptaszek.pl

S

SKOTNICKA 105, ul. Skotnicka 105, tel. 579 931 737, www.s105.pl
SMAKNISBISTRO.PL ul. Konarskiego 2, tel. 500 010 808, www.smaknisbistro.pl
SMAKOWITY PRZYSTANEK ul. Sławka 17, www.smakowityprzystanek.pl
SO!COFFEE ul. Wielopole 32, tel. 604 941 726
SUFEAT WEGAŃSKA KUCHNIA NOWOPOLSKA ul. Długosza 2, tel. 668 168 168
SUMO BISTRO, ul. Floriańska 24, tel. 731 011 619
SPAGHETTERIA PIZZA & PASTA
ul. Kobierzyńska 142A, www.spaghetteriakrakow.com
SPHINX ul. św. Jana 3, www.sphinx.pl

T

TASCA RUCZAJNIK ul. Ruczaj 39, tel. 664 994 500, www.tasca-ruczajnik.pl
TBILISURI ul. Meiselsa 5, tel. 572 525 185
THE PIZZA ul. Wysłouchów 53 | ul. Lubelska 16-18 | ul. Orlińskiego 1, www.thepizza.pl
TRATTORIA PERGAMIN NULLO
ul. Nullo 42, tel. 12 341 79 32, www.trattoriapergaminnullo.pl
TRZY KACZKI ul. Obrońców Tobruku 29a, tel. 790 339 794, www.trzykaczki.pl

W

WAVELOVE ul. Podchorążych 3, tel. 501 342 354, www.wavelove.pl
WESOŁA ul. Rakowicka 17, www.wesolacafe.pl
WINA GARAGE ul. Józefitów 8, tel. 502 927 940
WOK OPEN KITCHEN ul Meiselsa 14, tel. 696 459 957, www.wokkrakow.pl

Y

YATAI SUSHI OTSUMAMI BAR
Rynek Podgórski 14, tel. 787 812 247
YETI PIZZA ul. 2 Pułku Lotniczego 1G, tel. 730 448 521
YOUMIKO SUSHI ul. Józefa 2, tel. 500 468 193, www.youmikosushi.pl

Z

ZAKRĘCONA KAWIARENKA ul. Trynitarska 6, www.zakreconakawiarenka.pl
ZIELONYM DO GÓRY ul. Lwowska 1, tel. 572 503 421

Ż

ŻÓŁTY SMOK ul. Klonowica 31, tel. 12 655 51 41, 880 290 292, www.zoltysmok.pl

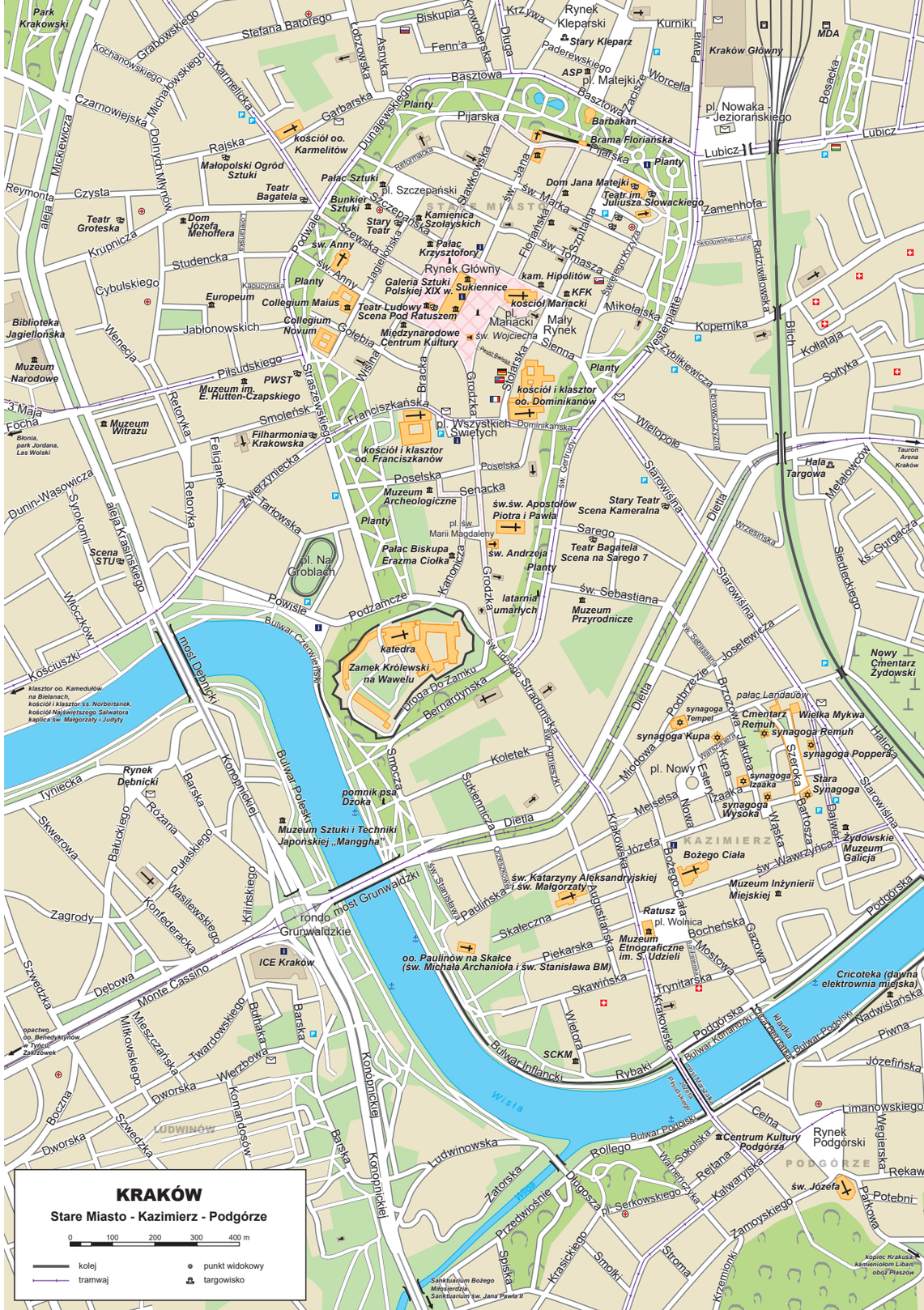

Kraków

JACEK MAJCHROWSKI
PREZYDENT MIASTA KRAKOWA
ZAPRASZA

Widzimy się za rok!

loading...

fmf

KRAKOW FILM MUSIC FESTIVAL

25—30.05 2021

WWW.FMF.FM

KRAKOWSKIE BIURO FESTIWALOWE – INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA

organizatorzy:

kbf

RMF Classic

EUROPE FOR FESTIVALS
EFFE LABEL 2019-2020

PROGRAM

MISTERIA PASCHALIA 2.0

5.04 / 20.00
NIEDZIELA PALMOWA

SON OF ENGLAND

2018

6.04 / 20.00
WIELKI PONIEDZIAŁEK

SELVA MORALE E SPIRITUALE

2017

7.04 / 20.00
WIELKI WTOREK

IL TERREMOTO

2017

8.04 / 20.00
WIELKA ŚRODA

MESSE DES MORTS

2017

9.04 / 20.00
WIELKI CZWARTEK

MISERERE MEI DEUS

2019

10.04 / 20.00
WIELKI PIĄTEK

TRISTES ERANT APOSTOLI

2019

11.04 / 20.00
WIELKA SOBOTA

LU CUNTU DE LA PASSIUNI

2019

12.04 / 20.00
NIEDZIELA WIELKANOCNA

SAMSON

2018

13.04 / 20.00
PONIEDZIAŁEK WIELKANOCNY

ODY I ARIE

2018

ORGANIZATORZY

Kraków kbf

PARTNER DLA KRAKOWA

GRUPA autoremo BUKOVINA RESORT

MECENAS KBF

SUEMPOL

PARTNER STRATEGICZNY

KRAKÓW AIRPORT im. Jana Pawła II

PARTNER

WODOCIĄGI Miasta Krakowa
Jesteśmy z Wami. Każdego dnia.

STRATEGICZNY PATRON MEDIALNY

mezzo

PATRON MEDIALNY

dwójka POLSKIE RADIO